

Sławomir Sierecki



Skaliste
gniazdo
Taurów

Skaliste gniazdo Taurów

*„... drogę ukaż,
którą najprędzej zejść do piekieł można.
Niech nazbyt skwarna nie będzie ni mroźna.”*
Arystofanes

Sławomir Sierecki

**Skaliste gniazdo
Taurów**

**Wydawnictwo Morskie
Gdańsk 1976**

Okladkę wykonała

TERESA DYMALSKA

Redaktor:

Maria Jasik

Redaktor techniczny:

Agnieszka Obst

Korekta:

Regina Osowicka, Halina Węglińska

Wydawnictwo Morskie. Gdańsk 1976.

Wydanie I.

Nakład 40 000 + 250 egz.

Ark. wyd. 7,69. Ark. druk. 11,75.

Oddano do składania 911976 r.

Podpisano do druku i druk ukończono w lipcu 1976 r.

Zakłady Graficzne w Gdańsku,

ul. Świętojańska 19/23.

Zam. 570 G-J

Cena zł 25,-

1. Pokusa Złotej Bogini

Zdarzyło się to w dwa lata po drugiej zbrodni, jakiej dokonano w pałacu Pelopidów, w pałacu Agamemnona Atrydy.

Była wiosna. Góry motały mgły, a pod ich całunem każdy krzak wydawał się zaczajonym mordercą. Zbrodnie zdarzały się bowiem w tym czasie coraz częściej. Mordowano żebraków i władców, kupców i wojowników. Nawet całe miasta ginęły niespodziewanie i wędrowcy, którzy szukali do nich drogi, wioząc na osłach towary, znajdowali nagle zgliszcza i ruiny. Żadne, najbardziej warowne, miasto nad morzem nie czuło się bezpieczne.

Do obrony miałem ze sobą tylko sztylet i gdy znalazłem się w wąwozach pełnych mgieł, uświadomiłem sobie, że popełniam szaleństwo, ale tylekroć je już popełniałem, że ten jeden raz nie był wyjątkiem. Szedłem szybko, a kiedy promienie słońca – kryjącego się za górami Peloponezu, po tamtej stronie zatoki – ozłociły szczyty ostatnim pożegnaniem przed nadejściem nocy – przyspieszyłem jeszcze kroku, skacząc z kamienia na kamień, wybierając drogę trudniejszą, lecz krótszą.

Znałem tu każdy wąwóz, noc jednak lubi płatać figle. Mogłem się po prostu pomylić, wejść nie w tę gardziel jaru, nie dostrzec szlaku wydeptanego przez kozice i owce.

W nozdrza uderzył mnie nagle swąd ogniska. Nie zbłądziłem

więc. Instynkt zaprowadził mnie bezbłędnie. Wydało mi się dziwne, że od tak dawna powtarzające się moje wędrówki mają zawsze ten sam koniec. Wiedziałem, że zastanę dziewczynę w szałasie lub przed szałasem i że będzie sama. Wiedziałem – to zresztą źle powiedziane – wierzyłem, że spotkamy się. Właśnie tak... wierzyłem.

– Nikotele!

Stała odwrócona tyłem i grzebała patykiem w ognisku – wiedziałem ją więc dobrze – smukłą, z rozpuszczonymi włosami zwijającymi się na końcach w spirale loków. Ubrana była w strój pasterzy – długi wełniany płat materii spinany na ramionach i wiązany w pasie – z boku odkrywający nogi aż do biodra. Wolałem ten ubiór niż pałacowe obfite szaty, działał bowiem na innie podniecająco. Tłumaczyłem to sobie w ten sposób, że od najmłodszych lat spędzałem czas nie w pałacach, ale wśród pasterzy. Być może powód tego był zupełnie inny, lecz kiedy zobaczyłem Nikotele stojącą przed ogniskiem, wiedziałem, że muszę ją tego wieczoru osiąść. Zresztą zdarzało się to już nieraz, kiedy trafiałem w te strony, a teraz, mając od jej ojca – starego Fokosa – przyzwolenie na przyprowadzenie jej do domu ze stancy pasterkiej, byłem stokroć pewniejszy, że mi się to uda – nikt bowiem nie mógł nam w tym przeszkodzić. A ona?... Tak, była to dziwna dziewczyna, bardziej pasterka niż córka właściciela licznych stad – ale w kraju mojego ojca nawet rycerze przypominali pastuchów, nie było tu takich junaków jak w Argolidzie, Attyce lub Beocji.

Nie wiem, czego spodziewała się po moich odwiedzinach, skoro wiedziała, że nigdzie nie zagrzeję długo miejsca, że wciąż

nosi mnie po świecie, a nawet obecny dłuższy pobyt wcale nie zapowiadał zmiany mojego charakteru. Ostatnio wdałem się w głupią historię w Mykenach i nagle znalazłem się w niebezpieczeństwie. Długo musiałem potem prosić ojca o przebaczenie i obiecywać poprawę, choć było to tylko formalnością, o czym wiedział tak samo dobrze on, jak i ja. Zdawał sobie sprawę, że za jakiś czas znów wyruszę szukać przygód, sławy, a może i... śmierci. Nikotele wiedziała także o tym, może więc dlatego za każdym razem nasze uściski były gwałtowne, a oddanie jej poprzedzone walką. Była to walka chyba tak samo zaplanowana z góry, jak owe przeprosiny ojca, przed otrzymaniem przebaczenia, odpuszczenia win i błogosławieństwa. Ale walczyłem z nią – trzeba to przyznać – za każdym razem, używając całej swej siły i umiejętności, była to bowiem dziewczyna wychowana nie w pałacach Myken, lecz wśród gór. I umiała walczyć.

Kiedy zbliżałem się teraz do niej, oczekiwałem również walki, byłem jednak pewny jej wyniku, a w pewności tej umacniał widok jej tańczących na wietrze włosów i łopoczącego płatu materii, który opinał jej figurę, rozpalając żar w moich lędźwiach. Wiatr wiał z jej strony ku mnie, nie mogła więc usłyszeć moich kroków, a mnie natomiast wydało się, że czuję zapach jej ciała. Zresztą może był to tylko zapach traw pachnących, które zbierałem kiedyś na zboczach Parnasu, a może złudzenie... Następny podmuch przyniósł bowiem już tylko swąd palonych w ognisku gałęzi.

– Nikotele!

Nie powinienem był wołać, a podejść ostrożnie z tyłu, potem rzucić się na nią, zwalić na trawę i zgwałcić. Bywało, że tak czyniłem. Ale chyba teraz było coś w tej scenie – w postaci Nikotele

na tle ogniska, w splotach jej włosów i łopoczącym płacie materii, co onieśmieliło mnie. Może wydała mi się podobna do wróżki, a może do leśnej nimfy...

Odwrociła się gwałtownie. Nie wydała mi się przestraszona.

– Pyl! – krzyknęła jakby zdumiona i uradowana. – Pyl! – powtórzyła.

Zatrzymałem się. Nie, zupełnie nie mogę dziś pojąć mojego postępowania. Ba, ale ona też była tego wieczoru inna, niepodobna do Nikotele, jaką znałem w czasie poprzednich spotkań.

– Pyl, rozmawiałam z ogniem. Rzuciłam w płomienie ziele z świętego gaju. Chciałam, żebyś tu przyszedł... Teraz... Zaraz... To chyba bogowie, to ich wola cię tu sprowadza.

Byłem niezgrabny jak młody chłopak, który po raz pierwszy kładzie się z dziewczyną. Nie było przy tym żadnej walki, żadnych mocowań, za to bardziej pachniały trawy i jej włosy. Zresztą straciłem wkrótce rozeznanie, co jest włosami, a co trawą, co płaszczem moim, a co jej okryciem, gdzie gorąco jej ud i jej brzucha, a gdzie żar ogniska. Sądzę, że gdybyśmy wtedy przetoczyli się nadzy przez ognisko, żadne z nas nie odczułoby bólu, a nawet nie zostałyby żaden ślad ognia na naszym ciele. Bogowie patrzyli, chyba na nas gdzieś z gór, z ugwieżdżonego nieba i radowali się widząc takie kochanie – znani z nich przecież podglądacze i rajfurzy.

Wciągnęła mnie potem do szałas pasterskiego i tam zasnęłam na jej łonie, podczas gdy ona palce wplatała w me włosy, szepcząc tylko co chwila jedno i to samo słowo – moje imię:

– Pyl.. Pyl... Pyl...

W pewnym momencie obudziłem się nagle. Zdawało mi się,

że to pod wpływem zimna, a może dlatego że odczułem brak jej pieśszcót.

– Niko... – szepnąłem. Ale ona nic nie odpowiedziała, tylko bardzo wolno przyciągnęła do mnie mój krótki sztylet i rękojeść niemal wepchnęła do mojej dłoni.

– Co się stało, Niko? – nie rozumiałem, o co jej chodzi.

– Tam ktoś stoi. Ktoś jest... – szepnęła.

– Gdzie?

– Koło ogniska. To nikt z naszych ludzi. Ktoś obcy i ma broń.

Wolno, wolniutko wysunąłem z pochwy sztylet i czułem, jak gwałtownie wracam do pełnej przytomności. Zamiast chłodu chlusnęło mi do czaszki gorącem. Spojrzałem przez wejście do szałasu i rzeczywiście zobaczyłem obcego. Stał dość daleko, ale refleksy ognia grały wyraźnie na jego tarczy i ostrzu włóczni. Na pewno nie był to ani pasterz, ani podróżny...

– Kim jesteś?!

Rzuciłem to pytanie, kiedy już stałem wyprostowany, trzymając mocno w dłoni sztylet. Między mną a nieznajomym płonął ogień i może dlatego ani on, ani ja nie mogliśmy rozpoznać naszych twarzy. Gorące powietrze to kurczyło, to wydłużało nasze postacie, bardziej czyniąc nas podobnymi do dusz z Hadesu niż do ludzi. Usłyszałem za plecami jakiś szelest. To Nikotele zapinała odzież pasterską i – byłem tego pewny – sięgała po ukrytą włócznię. Wychowano ją w dawnych obyczajach, kiedy kobieta musiała posługiwać się włócznią nie gorzej od mężczyzny.

– Pytam: kim jesteś i po co tu przybyłeś? – powtórzyłem gromko.

Wtedy nieznajomy okrążył ognisko, postąpił kilka kroków ku

mnie i nagle rzucił na ziemię tarczę i włócznię. Wtedy go poznałem. Był to Orest syn Agamemnona!

Rzuciliśmy się ku sobie w objęcia i długo, bez słowa, trwaliliśmy tak – opasani ramionami jak para kochanków chłonna żar swych ciał. Wreszcie on przemówił pierwszy.

– Wiedziałem, że tu cię zastanę. Bałem się, że w ciemnościach zbłądę, nie znajdę drogi. Ale bogowie nie pozwolili ztracić się w tym labiryncie ścieżek. Szedłem za swądem ogniska. Jak wilk...

Zobaczył Nikotele i zamilkł.

– Pamiętasz ją? – zapytałem, uśmiechając się do niego i odступując na krok, aby odsłonić dziewczynę. – To córka Fokosa. Nikotele. Kiedyś, dawno, bardzo dawno...

Chciałem mu opowiedzieć, jak to bawiliśmy się wspólnie, kiedy jeszcze Orest przebywał na wygnaniu, na dworze mojego ojca króla Fokidy, po tragicznym zgonie Agamemnona, ale nie pozwolił mi dokończyć, bo i on już ją poznał.

– Piękna jesteś, Nikotele – powiedział. – Piękna – powtórzył.

Nikotele przyglądała mu się bez lęku, z ciekawością, ale widać było, że go nie rozpoznaje. Zmienił się bowiem od czasu, gdy przebywał w Fokidzie. Policzki i brodę pokrył mu zarost. Zmężniał. Nabrał pewności siebie w ruchach, w intonacji słów. Nie był to już dawny Orest – wygnaniec. Orest – dziecko i Orest – młodzieniec.

Po jakimś czasie rozłożyliśmy się koło ogniska, a Nikotele wyciągnęła z ukrycia gliniane naczynie pełne chłodnego wina. Zauważyłem, że siadając koło ogniska Orest przysunął do siebie

włócznię i tarczę – znać, że ostatnie lata nauczyły go mieć się na baczności.

Pytałem go, czy zjawił się na długo, zapraszałem do grodu ojca, choć nie byłem pewny, jak mój rodzic go przyjmie po tym, co zdarzyło się w Mykenach.

Odpowiadał powoli, krótkimi zdaniami, a niekiedy mruczał coś pod nosem, w rodzaju: „tak”, „aha”, „nie”, „być może”. Jednocześnie spoglądał bystro na Nikotele, jakby zgadując, kim jest ona dla mnie, lub rzucał szybkie spojrzenia za siebie, jakby bał się, że ktoś go podejdzie z tyłu. Czy był to strach, czy tylko ostrożność? Słyszałem ostatnio o nim niewiele. Podobno – gnany wyrzutami sumienia – jak mówiono – przemierzał dalekie morza. Sądono go za zbrodnie w Atenach. Nie wiedziałem jeszcze, jak się ów sąd zakończył. Wiedziałem, że uczyniono wokół niego atmosferę duszną i ponurą. Nie dziwiłem się, że szukał ucieczki z dala od achajskich brzegów. Nie mogłem się za bardzo tym wszystkim interesować, aby samemu nie popaść w kłopoty. Pomogłem mu przecież w dokonaniu tego czynu, za którego spełnienie ścigały go obecnie Erynie. Czy bałem się? Chyba nie. Po prostu nie wiedziałem, co dzieje się z Orestem, nie znałem jego zdania na temat intryg, jakie wokół niego motano, nie mogłem mu więc pomóc. Ojciec mój wybaczył mi udział w spisku, choć także znał część prawdy, a część kłamstw, jakie przywędrowały do nas z Peloponezu i Attyki.

Orest był synem wodza wszystkich królów achajskich – słynnego Agamemnona, który powiódł Achajów przeciw Trojanom. Gdy Agamemnon wrócił z wyprawy na Troję, został przez swą żonę i jej kochanka Ajgista, a własnego brata stryjecznego,

zamordowany. Ajgist pojął wdowę po Agamemnonie i zawładnął tronem Myken. W tej sytuacji Orestowi groziła śmierć i przyjaciele ukryli go, a następnie przywieźli do mojego ojca, króla Fokidy. Orest był wówczas dzieckiem. Wyrastaliśmy razem – niemal rówieśnicy – otaczani wszędzie jednakową opieką i szacunkiem. Gdy Orest wyrósł na dzielnego młodzieńca i nauczył się walczyć, wyprawił się z przyjaciółmi do Myken, aby własną ręką dokonać wymiaru sprawiedliwości. Zabił Ajgista i ja byłem przy tym. Była to pierwsza śmierć, jaką oglądały moje oczy tak blisko...

Zbrodnia – pomyślałem wówczas – jest zawsze tylko zbrodnią, obojętnie czy dokonuje się jej z zemsty, w poczuciu wymiaru sprawiedliwości, w obronie własnej, czy w skrytobójczym napadzie. Ale nie potępiałem ani siebie, za to, że pomogłem Orestowi w tym dziele, ani Oresta. Zabójstwo jest prawem życia – tak uczyły wyrocznie, tak uczyli kapłani i sławni aojdowie, którzy śpiewają chwałę mężów. Śmierć jest częścią życia. Nawet wyrocznia radziła dług krwi spłacić krwią. Ale po dokonaniu tego czynu, ci sami ludzie, którzy namawiali do jego dokonania, nagle zamilkli, a pytani o zdanie, odsyłali pytającego do sądu bogów i mędrców. Mówili o zwyczajach, które zostały podeptane, i o krwi, która popłynęła, a przecież to nie Orest pierwszy gwałcił zwyczaje i nie on pierwszy przelał krew.

Wreszcie narodziło się kłamstwo, a Orest nie potrafił się mu przeciwstawić. Niewielu ludzi znało prawdę, ale i tych znających prawdę nie pytano o zdanie. Nawet wędrowni pieśniarze – aojdowie – zaczęli śpiewać pieśni o podwójnej zbrodni w domu Agamemnona Atrydy. I chociaż kłamali, ich słowa uważano za

świadectwo prawdy.

– Szukałeś mnie? – zapytałem nagle Oresta.

– Tak. Szedłem do ciebie.

– Skąd przybywasz?

– Mój okręt zostawiłem w Zatoce Saronijskiej, po tamtej stronie przesmyku. Na Zatokę Koryncką wpłynąłem w małej łodzi, wraz z trzema towarzyszami. Nie chciałem być zauważony przez nikogo – zaczął nagle mówić pełnymi zdaniami, jakby ożywił się. Czy ten cud sprawiło wino Nikotele?

– Ale nosisz broń. Czy myślisz, że z taką tarczą i włócznią wezmą cię tu za pasterza, jeżeli spotkasz kogo na drodze?

– Nie mogłem przybyć nie uzbrojony. Moich towarzyszy zostawiłem u brzegów, a sam. podążyłem do Delf.

– Do Delf?

– Tak. Aby znaleźć potwierdzenie wszystkiego, co mnie spotkało. Wracam właśnie stamtąd. Czeka mnie jeszcze jedno, ostatnie zadanie, które przywróci mi władzę nad Mykenami i ześle spokój.

– Gdy Herkules zgodził się, podobnie jak ty, wykonać jakąś trudną pracę, zaraz po wykonaniu jej, wynajdywano mu inną.

– To będzie ostatnie zadanie.

– Kto ci je zlecił?

– Kalchas Drugi. Tak nazywają go, ponieważ nosi takie samo imię jak ów wróżbita bez skazy, który towarzyszył Achajom w wyprawie na Troję.

– I dla wykonania tego ostatniego zadania potrzebujesz mnie, Oreście?

– Tak. Potrzebuję ciebie, Pyladzie. Ale i ty potrzebujesz mnie.

– Coś robił od czasu naszego rozstania w Mykenach, po śmierci Ajgista?

– Tułałem się. Pływałem z piratami, wiele widziałem, wiele przemyślałem. Jak długo nie zajmę tronu w Mykenach, czyhać będzie na mnie śmierć. Zawsze i wszędzie. Na każdym kroku. Żeby nie zostać zabitym, trzeba zabijać, Pyl. To okrutne, ale innej rady nie ma. I to grozi także tobie. Będziesz musiał nosić ze sobą włócznię, jeśli nie zechcesz zostać zabitym, w górach, w szałasie, w domu...

– Chcą mnie zabić?

– Jesteś jedynym świadkiem, który może obalić wszystkie oszczerstwa, jakie się na mnie rzuca. Na mnie – prawowitego spadkobiercę tronu Atrydy. Byłeś wtedy ze mną w Mykenach, gdy zginął Ajgist. Widziałeś wszystko.

– Zabiłeś mordercę swego ojca. Miałeś do tego prawo. Masz prawo do tronu Myken.

– Tak, ale tej nocy umarła także moja matka.

– Wiem o tym, słyszałem, jak mówiono, że sama zadała sobie śmierć. Słyszałem też, że zabił ją któryś z niewolników.

– O śmierć mojej matki obwinia się mnie.

– To kłamstwo. Byłem z tobą cały czas. Nie zrobiłeś tego.

– Nie mam świadków, Pyladzie. Nie mam świadków, którzy potwierdziliby moją niewinność. Wędrowni aojdowie śpiewają już pieśni o mojej rozpaczce po zabiciu Ajgista i jego żony, a mojej matki, i nazywają mnie matkobójcą. Miałem kilka razy ataki choroby, które widziałeś u mnie, jeszcze kiedy byliśmy razem, tu, w Fokidzie.

– Pamiętam. Padałeś na ziemię i wiłeś się w bólach. Potem

traciłeś przytomność. Męczyły cię demony.

– Teraz przypisano to Eryniom. Prześladowają mnie Erynie, ponieważ zabiłem matkę. Tak mówią,

– Ależ to oszczerstwo!

– Poradzono ani nie zaprzeczać. Zagrożono, że inaczej nie oczyszczą mnie z winy.

– Jak to? Miałeś potwierdzić rzecz, która narodziła się w czyjejs wyobraźni?

– Tak. Pokazano mi dziesięciu świadków, którzy oświadczyli, że widzieli, jak zabijałem własną matkę. I ty mi w tym dziele miałeś pomagać, Pyladzie. Tak stwierdzono u ołtarza Ateny, w jej mieście. Moją dwuletnią tułaczkę wśród piratów uznano jako pokutę.

– A była to rzeczywiście pokuta?

– Gdzież tam! W kompanii piratów niepokoiłem bogate wybrzeża. Nauczyłem się zabijać, rabować, grać w kości, zniewalać dziewczęta, jeżeli bronią się przed napaścią, nauczyłem się kierować okrętem, poznałem wszystkie wiatry i poznałem tajemnice czytania z gwiazd. Ale nazwano to pokutą.

– Nic nie rozumiem.

– Bo też nic tu pojmować rozumem nie należy. To tak jakbyś chciał zrozumieć wolę bogów. Czy można zrozumieć wolę bogów? Czy możesz w ich działaniu znaleźć choć odrobinę rozsądku? Najlepszym przykładem była Troja, którą opiekowali się także bogowie, i najlepszym przykładem wyprawa Achajów, która miała tyle przeciwności, ale zakończyła się krwawą rzezią Trojan. Gdzie byli wówczas bogowie Trojan? Wyrocznia delficka mówi wyraźnie. WYKONUJ – NIE – SPRZECIWIAJ SIĘ.

– Może to znaczyć także: NIE WYKONUJ, SPRZECIWIJ SIĘ!

– Ale znaczy zawsze, jeżeli chodzi o bogów: WYKONUJ I NIE SPRZECIWIJ SIĘ!

– Więc kłamać kazali ci bogowie?

– Nie, mój drogi Pyladzie. Kłamać kazali mi ludzie, ale bogowie potwierdzili ich wolę.

– Nadal nic nie rozumiem.

– Ależ to bardzo proste. Po zabójstwie mojego ojca Agamemnona zasiadł na tronie Ajgist. Jego stryjeczny brat, którego na ten tron wprowadziła moja własna matka. Byli tacy ludzie w Atenach, którym zależało na ostatecznym złamaniu potęgi Myken – pomogli więc zabić Agamemnona, a synowi jego przybyć później do Myken i pomścić śmierć ojca. Ów syn Agamemnona przybył jednak nie sam, ale z przyjacielem Pyladem, synem króla Fokidy. Zemsta została dokonana. Zginął samozwańczy król. lecz oto dziwnym trafem zginęła także królowa która była matką mściciela. Moją matką. Zgładzony został jeden król i drugi król, i matka królowa. Krew splamiła tron Myken. Czy był gdziekolwiek tron bardziej unurzany we krwi. A przecież nikt nie mówi ni słowa, ilu niewolników i sług Agamemnona zginęło razem ze swym panem i jaki był odwet za tamtą zbrodnię, kiedy zginął Ajgist i moja matka.

– Miałeś zająć tron i opanować sytuację.

– Ale Orest syn Agamemnona nie zasiadł na tronie. Na tronie, dziwnym trafem, zasiadł Aletes syn Ajgista – samozwańcze go króla a ja, Orest, znów poszedłem na tułaczkę.

Powoli, jak w tańcu siedmiu zasłon, zbliżaliśmy się do sedna tajemnicy. Nie wiedziałem wtedy jeszcze, że ostatnie zasłony nieprędko zostaną zrucone. Noc wydała mi się duszna.

Nikotele wstała i dorzuciła gałęzi do ognia. Buchnęły płomienie syjąc iskrami. Dziewczyna miękkimi, kocimi ruchami obezšla ognisko i dolała nam wina. widziałem wzrok Oresta błędzący za nią, ale nie dostrzegłem w nim pożądania. Chodziło chyba o co innego – mój druh zastanawiał się, czy Nikotele przeszkodzi mu w namówieniu mnie na jakąś szaleńczą wyprawę.

– Czy wiesz, kto zabił moją matkę Klitajmestrę? – zapytał nagle.

– Nie wiem, Oreście.

– Właśnie na tym polegała moja słabość, gdy zarzucono mi, że ja to zrobiłem. Twierdzono, że dokonałem tego ja z... twoją pomocą. Jedni widzieli we mnie potwora, inni współczuli mi słysząc, jak rozpacz miota mną, aż padam na ziemię i wiję się w bólach. Zaczęto śpiewać pieśni o rozpaczycy Oresta – matkobójcy. Gdy spróbowałem zaprzeczać, dostrzegano w tym moją przewrotność i tchórzostwo, moją nikczemność.

– A sąd w Atenach?

– Przyznałem się tam do zbrodni i przed ołtarzem Pallas Ateny serdecznie żałowałem swej winy. Gdybym tego nie uczynił, nie żyłbym dziś. Z piętnem matkobójcy nie jestem dla nich tak groźny. Za to w Mykenach, których potęga nikogo już nie straszy, żyje i panuje dziś syn Ajgista – Aletes. Dla niego jednego jestem jeszcze groźny i to jego zbiry dybią na moje życie. I na twoje także. Ale ty jesteś także niebezpieczny dla Ateńczyków – znasz przecież prawdę i nigdzie nikomu nie oświadczyłeś jeszcze, że wierzysz w kłamstwo o matkobójstwie, że sam widziałeś, jak Orest zabijał matkę. A będziesz musiał to uczynić, jeżeli ze strony Aten chcesz mieć spokój. Ateny rosną w siłę. To będą wkrótce

drugie Mykeny, mój drogi...

- Będę musiał oświadczyć, że kłamstwo jest prawdą?
- Nie inaczej.
- Przerazasz mnie, Oreście. Gdzie więc jest teraz prawda? U bogów?

– Tu – Orest wskazał na włócznię, potem ujął ją i lekko unióś w górę. – Siła. Rozumiesz? Oto gdzie jest prawda.

Nikotele znów wstała. Wydawało mi się, że odgadła już, z czym przyszedł tu Orest i próbowała działać, zanim jeszcze wyłoży wszystkie swe tajemnice. Znów mignęła w rozcięciu jej szaty noga aż do biodra. Poczułem, że krtać ściska mi pożądanie. Co znaczyć miał sąd w Atenach i groźba zemsty ze strony Aletesa wobec tych nóg, bioder i piersi?

– Ni – ko – te – le... – powiedziały moje usta nie wydając żadnego głosu, żadnego szeptu, ale ona musiała to wezwanie usłyszeć, bo uśmiechnęła się.

– Mówiłem ci, że czeka mnie jeszcze jedna praca, która pozwoli wydostać się z tego labiryntu.

– Jeszcze jedno kłamstwo?

– Nie. Tym razem nie chodzi o słowa, ale o czyn. Jeżeli przywiozę do kraju Achajów złoty posąg Artemidy, który stoi w świątyni na skalistym wybrzeżu kraju Taurów, obiecano mi pomoc w odzyskaniu tronu w Mykenach.

– Wierzysz w tę obietnicę?

– Gdy przywiozę tu ów posąg Złotej Bogini, niepotrzebne będą mi już żadne obietnice, żadne słowa.

– A jaka byłaby moja rola w tym dziele?

– Jeżeli chcesz uniknąć skrytobójczej włóczni zbirów Aletesa, jeżeli nie chcesz być ciągnany na sądy przed ołtarz Ateny, a

jednocześnie jesteś wciąż jeszcze tym samym Pyladem, którego pamiętam, moim druhem, pojedziesz ze mną do skalistego gniazda Taurów po Złotą Boginię. A kiedy wrócimy, weźmiesz w wieczyste władanie jeden z warownych grodów Argolidy, który sobie wybierzesz, razem z setkami owiec, z pasterzami, oraczami i całym bogactwem. I może wtedy, mając siłę, spróbujemy zwyciężyć kłamstwo. Za przyzwoleniem bogów oczywiście – dodał jakby z przekąsem.

– Chcesz więc wrócić na tron Myken?

– Widzisz, Pyl, cały świat zmienił się od czasów naszego dzieciństwa. Wtedy wydawało się wszystko proste i jasne – były wielkie państwa i wielcy wodzowie. I były szlachetne dążenia i szlachetne czyny. Mówiono nam, że najazd na Troję przedsięwzięto wyłącznie dlatego, ponieważ porwana tam została Piękna Helena. Nie w głowie było nam przypuszczać, że pojechała do Troi z własnej woli, a jej wyjazd potrzebny był tylko Achajom, aby żądę zdobyczy okryć płaszczem świętego oburzenia wobec pogwałcenia dobrych obyczajów. My i dobre obyczaje? To już przeszłość, Pyladzie. Minęły już i nie wrócą Mykeny mojego dzieciństwa. Stoją tam jeszcze mury, ale nie jest to już centrum władzy. Kto z władców liczy się dziś z tym biednym krajem, gdzie na rumowisku głazów nazywanych Mykenami zasiada przybłąda Aletes, syn takiego samego przybłądy Ajgista? Liczą się dziś nie tradycje dobrych obyczajów i nie szacunek dla prawdy, ale dzielność wojowników, ale ilość włóczni i strzał, chyżość okrętów... Idą czasy, w których żaden gród, żaden port nie będzie czuł się bezpieczny. W tych czasach potrzebna jest mi nie stolica i nie łąki pełne owiec, ale nade wszystko wojenne obozowisko

i zaprawiona w boju drużyna. Wtedy dopiero będziemy mogli mówić o stadach i o gajach oliwkowych. Potrzebuję Myken, ale – gdy żadne drogi, żadne morza nie są już bezpieczne – Myken innych niż te, które pamiętam.

– Czy twój ojciec, król królów, Agamemnon, myślał inaczej?

– Były to inne czasy, Pyladzie. Wówczas jeszcze wilki nie rozmnożyły się tak licznie jak obecnie. Wtedy porywały pojedyncze owce z naszych stad. Dziś mordują całe stada. To dziwne, że piraci z Berytos lub Tyru nie zawinęli jeszcze do Zatoki Saronńskiej. Niedługo jednak... Jeżeli chcę ocalić to, co jeszcze zostało się ze spuścizny ojca mego, króla królów, Agamemnona, muszę się spieszyć i muszę mieć dzielnych wojowników. Jeżeli nie chcę się lękać – muszę sam budzić strach.

– A Fokida?

– Kraj twojego ojca się nie liczy. Przeszedłem kawał drogi z Zatoki Korynckiej aż po Delfy i nikt mnie nie zatrzymał. Jadłem i piłem u pasterzy. Brałem to, na co miałem ochotę – nikt niczego mi nie bronił. Widzieli moją włócznię i tarczę i milczeli. Fokida to kraj wieszczbiarzy i pasterzy. Gdy zjawi się tu jakikolwiek najeźdźca, nikt go nie powstrzyma. Jesteś dziedzicem wiatru i ziół polnych, dzwonek owiec i szczekania psów. I dlatego namawiam cię dziś: chodź ze mną, ruszajmy na wyprawę po posąg Złotej Bogini, przywieźmy to cudo tu, na ziemię Achajów. Znajdziemy wówczas tyle włócznie gotowych słuchać naszych rozkazów, ile tylko zechcemy!

Umilkł. W ognisku trzaskały suche gałęzie, od gór niosło się

pokrzykiwanie pasterzy. Nikotele usiadła naprzeciwko nas. Nie wiem, czy wiele pojęła z naszej rozmowy, choć padały tu imiona ludzi, o których musiała słyszeć. Ja sam zresztą byłem oszołomiony. Sprawa, o której myślałem, że odeszła w niepamięć, nagle wróciła w tak potwornym kształcie, jak ciało nadobnego młodzieńca złożone do grobowca i odkopane po miesiącu z ziemi, ukazujące całą ohydę trupiej zgnilizny. Porównanie to nie wydało mi się przesadzone. Tak, cały dom Atrydów cuchnął zbrodnią. Szalony byłem, że nie odkryłem tego wcześniej, że pozwoliłem się wciągnąć w tę rozgrywkę, że razem z Orestem udałem się do Myken, aby pomóc mu w odzyskaniu tronu. Jaki był koniec tej wyprawy? Musieliśmy obaj uciekać. My – prawi mściciele i rzekomi zwycięzcy. Straciliśmy się wówczas z oczu na długo. Ja wróciłem do Fokidy, Orest ruszył w świat. O tym, co działo się dalej, dochodziły do mnie tylko echa, ale nie myślałem, że cała historia obrośnie kłamstwem, jak dom obrasta bluszczem, i że Orest sądzony będzie jako matkobójca.

– Gdzie znajduje się Tauryda? – spytała nagle Nikotele.

– Gdzieś nie opodal Kolchidy, do której wybrała się kiedyś po złote runo banda Jazona, w kraju centaurów i Amazonek... Nie spotkałem jeszcze ani jednego człowieka, który oglądał tę skalistą ziemię. Podobno wszystkich, którzy lądowali na brzegach Taurydy, czekała tam śmierć. Taurowie nie lubią obcych, a zwłaszcza Achajów – odpowiedział wolno Orest, grzebiąc ostrzem włóczni w żarze spalonych gałęzi. – Droga do Taurydy prowadzi koło Troi, przez Bosfor Tracki i Niegościnne Morze... Ale jeźeli

posąg jest we władaniu ludzi, a nie bogów, można będzie go zdobyć.

Wydało mi się, że w marzeniach Orest żegluje już na pokładzie swego okrętu ku dalekiemu lądowi, mając u swego boku mnie – wiernego druha – Pylada. Nagle uczułem dotyk ciepłej dłoni dziewczyny. Nikotele posunęła się na kolanach ku mnie i, spoglądając mi w oczy, zapytała:

– Czy istotnie, Pyl, chcesz jechać? Znam cię na tyle, aby wierzyć, że ani przyjaźń do Oresta, ani strach przed Aletesem, ani niepokój o ateńskie sądy nie mogą cię skłonić do przedsięwzięcia tej podróży, a jedynie ciekawość przygody, nawet gdyby miała być ostatnią. Mimo to, Pyl, radzę ci – nie jedź. To sprawa Oresta, nie twoja. Orest ma liczną drużynę...

Nie wiem, czy wierzyła w potęgę swej perswazji, czy też mówiła tak, bo po prostu powinna była tak mówić. Ja milczałem. Wtedy chwyciła mnie silniej za rękę i nagle gwałtownie pociągnęła w stronę szafasu. Zrozumiałem ją i przyznałem jej w duchu rację. Była kobietą i miała prawo wyklądać swoje argumenty, które zmusić potrafiłyby niejednego do działania wbrew rozsądkowi i wbrew przyrzeczeniom. Ale w tym geście była chyba także wola bogów.

Nie opierałem się i dałem się wciągnąć w mroki, będąc obojętny na to, jak zachowanie moje i Nikotele oceni Orest. Jeszcze przez króciutki moment widziałem jego zgiętą sylwetkę, widziałem, jak kiwając się, jakby sennie, ostrzem włóczni grzebie w stosie płonących gałęzi. Potem zwałem się na posłanie z wysuszonych traw, pachnące aromatami wszystkich ziół, które mącą umysł, a które zbiera się o północy na górskich uroczyskach w

blasku księżycy. Słyszałem szelest zrzuconej pośpiesznie pasterkiej odzieży, brzęk odrzucanego sztyletu, który nosiła zawsze przy sobie, stuk sandałów spadających na kamienie u wejścia do szałasu. A potem objęły mnie jej gładkie, drobne, ale mocne ręce – tak różne w uścisku od rąk Oresta.

– Nikotele! Ni – ko – te – le... – szepnąłem, dotykając policzkiem żaru jej twarzy, wyczuwając tętno pulsujące na jej szyi i smakując tajemnicę jej warg. Zanurzałem się w rozkosz, w zapomnienie, w noc...

Była moją pierwszą kobietą. Oddała mi się w tym samym miejscu rok, a może półtora roku temu, chyba świadoma, że czyni w ten sposób więzienie dla mnie w swoich ramionach. Kiedy odchodziłem, pragnąłem powrotu. Jej ojciec Fokos był jednym z tych panów, którzy niewolników traktują jak rodzinę i oczekują od nich tego samego. Był to człowiek prosty w obyczajach, dzielny, hołdujący starym tradycjom – może jedynie do Nikotele tych zasad nie stosujący. Miał owiec i kóz więcej niż mój ojciec, coraz bardziej tytułarny król Fokidy, z dnia na dzień tracący władzę i autorytet. Nikotele zaś była czarownicą lub za taką uchodziła. Nocą widywano ją jak uzbrojona w łuk i włócznię włóczy się po górach. Strzały z jej łuku były zawsze celne – w blasku słońca i gwiazd – podobnie niezawodna była jej włócznia. Biada śmiałkowi, który sprowokowany jej urodą zapragnąłby posiadać dziewczynę wbrew jej woli. Dlatego może Fokos przymykał oczy na jej kaprysy, na nocne włóczęgi po górach i chyba na nasze spotkania, o których już zapewne donieśli mu słudzy, A może pewny był jej zwycięstwa nade mną?

– Nikotele!...

Była czarownicą, znała się na ziołach i umiała przyrządzać z nich niezwykle napary. Podobno gadała z owcami, z kotami, z ptakami, z lasem, ze strumieniem, z wiatrem... Wiedziałem, że wszędzie tam pełno jest różnych duszków, że w lesie siedzi gdzieś koźlonogi Pan, a wokół źródeł płasają wodne nimfy, ale nigdy ich nie widziałem. Cudem więc było spotkanie na każdym kroku takiej zgrai duchów, a tym bardziej prowadzenie z nimi rozmów. Mówiono, że Nikotele potrafi zamówić czyjeś ozdrowienie, ale i zamówić także śmierć...

– Nikotele!...

Wiedziałem, że pragnie mnie posiadać na własność, mieć do mnie prawo absolutne, żądając przy tym pełnego oddania. Ale gdybym właśnie to życzenie jej spełnił, chyba utraciłbym ją na zawsze...

W takich chwilach jak ta, zatracałem się stopniowo zupełnie, przestawałem odczuwać żar i chłód, słyszeć dalekie pokrzykiwania pasterzy i trzask płonącego chrustu. Nie rozróżniałem już blasku światła ani granatowej ciemności nocy. Było tak, jak powiedziałem – zanurzałem się w coraz to gęstszy mrok, w pustkę i w ciszę... W śmierć...

– Ni – ko – te...

Wracało uczucie chłodu, poczułem zapach płonących gałęzi, usłyszałem szum wiatru i dalekie szczekanie psów pasterskich...

Gdy w jakiś czas później wyczołgałem się z szałas na dwór, wieczór przeszedł w noc, a ognisko przygasło, Orest siedział nieporuszenie na tym samym miejscu, trzymając w dłoni włócznię i ostrzem jej rozgrzebując purpurowy, zapiekły żar. Usłyszał szelest traw i podniósł głowę. Spojrzał na mnie tak jak wówczas,

gdy gotowaliśmy się dwa lata temu do ataku na dwór Ajgista. Było coś w tym spojrzeniu zniewalającego. Na Artemidę, która miała patronować naszej wyprawie, czy nie znalazłem się w pułapce? Za mną Nikotele, rozkosz sięgająca granic najdalszych i najwspanialszych – śmierci. Przede mną Orest, syn króla królów, pirat., człowiek oskarżony o matkobójstwo, twardy, a równocześnie chory, ścigany przez zbirów Aletesa i – jak śpiewają aoidowie – przez Erynie. Wódz o nieokiełzanych ambicjach, wojownik o męznym, ale kamiennym sercu. Już raz przez niego wpakowałem się w straszliwą historię. Widziałem, jak po stopniach pałacu króla królów spływa krew... I moje ręce także splamiły się krwią. Chciałem o tym wszystkim zapomnieć przebiegając górskie szlaki Fokidy. Miało to by mi się nie udać?

Nikotele i Orest... Ale czy tylko? Był jeszcze zew niezwyklej podróży, otchłań morskich dali z rysującym się na horyzoncie tajemniczym łodem. Nie rzekł mi, kto mu o tym posągu Artemidy powiedział, kto przekonał, że wyprawa warta jest zapłacenia ceny najwyższej – życia.

Stałem wyprostowany przed ogniskiem, czując żar wygasającego płomienia na całym ciele. Byłem zupełnie nagi, a w oczach moich płonęło chyba jeszcze piętno najpiękniejszej śmierci, którą przeżywałem z Nikotele za każdym razem, gdy tarzaliśmy się w miłosnych uściskach.

Powoli Orest podniósł się także, opierając się na włóczni. Chwilę tak staliśmy naprzeciwko siebie jak dwa bogi występujące z mroków nocy przed ołtarz ofiarny, na którym właśnie spalono jagnię wydarte z brzucha ciężarnej owcy i zioła z Dodony...

Uśmiechnąłem się nagle i Orest uśmiechnął się także.

– A teraz na Taurydę! – zawołałem.

Podniósł w górę włócznię i tarczę, głowę odrzucił w tył i wydał okrzyk, który mógł być równie dobrze wyrażeniem radości, co i wezwaniem bojowym. Odpowiedziało mu echo w wąwozach i dolinach.

– A teraz na Taurydę! – powtórzył i wbił ostrze włóczni w żar ogniska, aż fontanna iskier strzeliła daleko na wszystkie strony, pocałunkami ognia sięgając mojego ciała.

2. Żegnajcie, brzegi Achai!

Jeżeli staliście się podejrzliwi w stosunku do narratora – inną bowiem wersję zbrodni w pałacu Agamemnona Atrydy przekazywano wam od dzieciństwa, nic na to nie poradzę. Mówicie zapewne – nie zgadzają się fakty opowiedziane tutaj, z tym, co przekazała wam pieśń. Co innego jednak uwierzyć faktom, a co innego uwierzyć pieśni! Orest syn Agamemnona nie był matkobójcą – to ja wam mówię, ja, który byłem obecny, gdy razem z Elektra dokonywaliśmy zamachu na Ajgista zabójcę Agamemnona. Czy jest rzeczą złą karać śmiercią morderców?

Przypomnijmy – z czwórki dzieci Agamemnona – najstarsza Ifigenia, zwana też Ifianassą, zginęła tajemniczo w Aulidzie, w czasie koncentracji wojsk przed wyprawą na Troję. O tym zaginięciu będzie jeszcze mowa później. O drugiej córce – Chryzotemis – tu nie wspomnę, bo nie odegrała w dramacie żadnej roli. Co innego Elektra. Była ona duszą spisku przeciwko mordercom

ojca. Pozostawała w stałym kontakcie z dawnymi stronnikami ojca na dworze w Mykenach i z tymi, którzy przebywali na emigracji. A na czele emigrantów stała właśnie wówczas najmłodsza latorośl rodu – syn Orest, wychowywany na dworze mego ojca, króla Fokidy. To on przybył pod Mykeny, aby dokonać się sprawiedliwość. Pomagały mu w tym także Ateny, zależało bowiem Ateńczykom na ostatecznym złamaniu potęgi Myken. A co skuteczniej mogło złamać tę potęgę, jeżeli nie łańcuch przewrotów pałacowych i zbrodni?

Ateńczycy byli mistrzami intryg. Potwierdziła się prawda, że pieśń o faktach ma większą siłę niż same fakty. Gdy sądzono Oresta w Atenach, nie liczone się z faktami, ale z legendą o nich. Ba, znaleźli się potem „naoczni świadkowie”, którzy mogli potwierdzić legendę. Widzieli oni rzekomo, jak Orest wbijał nóż w pierś matczyną i słyszeli, jak błagała go ona o darowanie życia.

To kłamstwo. Znaleźliśmy wówczas jego matkę martwą. Ze sztyletem w sercu. A kto tego dokonał, nie wiemy do dzisiaj. Jeszcze tego samego dnia aoidowie ateńscy zawiedli pieśń o „strasznej zbrodni Oresta – matkobójcy”.

Taką to pajęczynę namotał wokół Oresta pająk z Aten.

Orest był moim przyjacielem i został nim. Postanowiłem mu pomóc, cokolwiek by go spotkało. Czyż można się dziwić, że zgodziłem się wyruszyć z nim razem na poszukiwanie Złotej Bogini? A zresztą cóż miałem czynić w Fokidzie – biednym kraju, którego władca miał mniejszą władzę niż byle kapłan z Delf?

Po zamachu w Mykenach ojciec mój wyrzekł się mnie. Potem rozpaczał – i z powodu mojego udziału w tym zamachu, i z

powodu swej klątwy. Ułatwiłem mu przebaczenie. Wróciłem i rzuciłem się do nóg. Był uszczęśliwiony. Wkrótce spadły na kraj klęski, a na ojca choroba. Marniał w oczach, nie opuszczał dworu, a z nim razem słabła coraz bardziej Fokida. Jeżeli istniała wciąż jeszcze, to dzięki takim ludziom jak Fokos, ojciec Nikotele. Byli to rycerze zarazem i wieśniacy, prości w obyczajach i prości w mądrości życia. Ubierali się jak pasterze, włóczęgami władali nie-zgorzej. Ich córki i żony nie stroniły także od wojaczki i polowań. Gdyby żyła moja matka, to zapewne ona by rządziła Fokidą. Ale, niestety, zmarła dawno i ojciec mój był samotny, coraz bardziej chorowity, zgorzkniały i słaby. Wiedziałem, że jeżeli teraz powiem mu, że postanowiłem wyruszyć z Orestem na morze w poszukiwaniu Złotej Bogini, grozić mi będzie przekleństwem, ale potem wybaczy, puści w drogę, a nawet pobłogosławi gałązką oliwną i wawrzynu.

– A teraz na Taurydę!

Ten okrzyk był tylko hasłem. Przed wyruszeniem na Taurydę należało załatwić wiele spraw.

Jeszcze tej nocy razem z Nikotele skłoniliśmy głowy przed szlachetnym Fokosem, jej ojcem. Był zadowolony, sądzę, że syn władcy Fokidy (jakkolwiek nędzne było to władztwo) prosi go o darowanie mu córki za małżonkę. I przyznaję tu – nie było to zgodne z obyczajem – nic bowiem mój rodzic o tym postępku nie wiedział. Nie tak wyglądały zaręczyny w naszych stronach. Ale czasy – jak już powiedziałem – były niezwykle i coraz mroczniejsza groza, niczym burzowa, ogromna chmura kładła się cieniem na kraje achajskie. Na północy zjawiali się nieznani wojowie nazywający siebie Dorami. Pod ich toporami pękały pancerze

achajskie, a na ich pancerzach tępiły się nasze włócznie. Jeżeli siła była wykładnikiem prawdy, nie mogły już trwać stare obyczaje, nawet bogowie na Olimpie byli w tym czasie skłóceni. Cóż więc dziwnego, że wojownik idący na nową wyprawę pojmował za żonę niewiastę w pośpiechu, bez wymaganego rytuału, biorąc jedynie bliskich i bogów za świadków, aby tylko miał kogoś, kto czekać będzie jego powrotu.

Orest towarzyszył mi jeszcze na dworze Fokosa, gdy razem z Nikotele stroili nam młodzieńcy i dziewczęta głowy w wieńce, ale potem wyruszył na południe, nad Zatokę Korynecką, do swych towarzyszy. Ja zaś udałem się do ojca, licząc że dostanę kilku wojowników, sługi i złoto, musiałem bowiem wyposażyć okręty. We dworze ojca panował nastrój niepewności, widziałem strach w oczach sług. Mówiono o Dorach i ojciec pokazał mi topór – ciężki topór z żelaza, z owej słynnej „czarnej miedzi”, która rozbija najlepsze nasze tarcze. Mój ojciec był człowiekiem już bardzo starym, a wobec wzrostu potęgi wyroczni w Delfach, rola jego jako władcy malała z każdym dniem. Mimo że Delfy leżały z dala od Aten, największe wpływy zaczęli mieć tam Ateńczycy, bacząc pilnie, aby Fokida – królestwo mojego ojca – nie próbowała rosnąć w siłę. W Tebach, stolicy Beocji, mój ojciec miał także rzekomych przyjaciół, którzy mówili o nim ze czcią tak długo, jak długo Fokida im nie zagrażała. W Orchomenes, mieście konkurującym z Tebami, śmiano się natomiast z niego. Tak – śmiano się! I nazywano królem pasterzy! A przecież jego to woje już toczyły potyczki z ludem następującym z północy.

Wziąłem z Fokidy ojcowskie błogosławieństwo, żelazny

topór Dorów, kilku dzielnych wojowników i kilku służących. Mieliśmy także złoto i miedź, za co mogliśmy wyposażyć statek. To śmieszne – władca Fokidy nie miał wówczas ani jednego okrętu!

Na dwóch sporych łodziach przepławiliśmy się przez zatokę i spotkaliśmy się z Orestem. Pokazałem mu topór Dorów i powiedziałem, w co wyposażył mnie ojciec. Ucieszył się. Planował wyprawić się na Taurydę na dwóch okrętach, teraz stawało się to możliwe.

Potem przepławiliśmy się na wody Zatoki Saronńskiej. Tam czekał na nas okręt wojenny, na którym Orest przemierzył już niejedno morze. Był to typowy okręt fenickich piratów – lekki i zwrotny, pstro wymalowany. Wzdłuż biegła galeryjka, gdzie stały dzbany z wodą i winem, leżała żywność i broń. Niżej – po dwa rzędy wiosłarzy z każdej strony, wiosłarzy, którzy równie dobrze pracowali wiosłem jak włócznią. Sternikiem był Hattasz – pirat hetycki, o którym mówiono, że z zamkniętymi oczami przeprowadzi okręt między Scyllą i Charybdą. Dziób okrętu był opancerzony i miał kształt ostrego taranu – służył bowiem do dziurawienia okrętów przeciwnika. Wiedziałem, że część „pokutnej” włóczęgi spędził Orest na pirackich wyprawach i żalowałem, że po wypadkach w Mykenach rozstaliśmy się. Byłbym dziś bogatszy o te przeżycia, które były jego udziałem.

Nadszedł więc czas, aby teraz Orest powiedział tak, jak ja w obozie pasterskim: „A teraz na Taurydę!”. Ale okazało się, że jeszcze wyniknąć miały nowe kłopoty i nie było nam pisane na Olimpie tak szybko opuścić brzegi Achai...

Oto w dniu, w którym już mieliśmy podnieść żagle, straż

rozstawione na brzegu doniosły nam o grupie wojowników zbliżających się ku nam z oliwnymi gałązkami pokoju. Jakież było nasze zdumienie, gdy w nadchodzących wojownikach rozpoznaliśmy dziewczęta fokijskie, chyżonogie pasterki z dworu Fokosa. Na ich czele szła Nikotele, bardziej podobna do młodzieńca niż do kobiety – szczupła, gibka, z krótko przyciętą czupryną, niosąca w prawej dłoni oszczep, w lewej gałązkę oliwną.

– Nikotele, oszalałaś? – zapytałem niezbyt pięknie moją niewiastę z Fokidy, demonstrując wobec wszystkich mój sprzeciw. Ale prawdę mówiąc, ciężko było mi z nią się rozstać. Sam nie wiem, co tak bardzo ujmowało mnie w jej postaci – Orest żartował, że jej podobieństwo do chłopca, gdyż sam towarzystwo chłopców przedkładał nad niewieście. Może i to, ale sądzę, że owo coś, co wiąże mężczyznę z kobietą, a okryte jest tajemnicą. Nie należy nigdy próbować rozwiązać tej tajemnicy. Nikomu się to jeszcze nie udało i zapewne nikomu nie uda. Dlaczego bowiem, gdy spostrzegę trzy piękne dziewczęta – wiem, że pragnę nie tej pierwszej ani nie drugiej, ale akurat trzeciej? Parys też nie był świadom, dlaczego dokonał takiego a nie innego wyboru w lasku Ida.

– Nie sprawię ci kłopotu, a zapewne przydam się wyprawie. Jest wiele czynności wśród mężczyzn, które wykonywać może najlepiej kobieta. A jeżeli przyjdzie do walki – nie wiem, czy wielu z załogi okrętu Oresta sprosta mi we władaniu włócznią...

Wiedziałem o tym, ale sprzeciwiałem się dalej, nie chcąc popaść w niezgodę z Orestem.

– Na morzu wszystkie prace, nawet takie, które na lądzie spełniają tylko kobiety, wykonują mężczyźni – odpowiedziałem.

– A co do włóczni, w twoje zdolności nie wątpię. Nie wiadomo jednak, ilu spośród tych żeglarzy, których tu oglądasz, wróci z powrotem. To wyprawa wojenna, Nikotele.

– Wojna nadciąga do Achai z północy. Nie wiadomo czy jutro jakiś oddział Dorów nie przemknie grzbietami gór na pastwiska Fokosa. Znasz siłę ich toporów, mieczy i włóczni. Jednak nam los przeznaczony tam i tu. A tu przynajmniej będziemy razem.

Zapytałem o radę Oresta.

– Służek jej nie wezmę na okręt, bo nie ma nic gorszego niż kobiety na okręcie. Ale Nikotele – to rzecz inna. Twoja ona. Nikt nie śmie nawet na nią łakomie popatrzeć, bo sam się z nim rozprawię. A moich oczu jej obecność nie będzie kłuć – bardziej to z urody chłopak niż dziewczyna. Niech zostanie. Ostrzeż ją tylko, że żeglarze w upale rozdzielają się z wszystkiego, co mają na sobie – niech więc do takiego widoku się przyzwyczai. Jej zaś tak czynić nie wolno. Niech będzie dla załogi chłopcem – Nikotelos, a nie Nikotele. Zmieniłeś się, Pyladzie, od czasów naszej wczesnej młodości i uszanuję to. Moim zdaniem – nie ma szlachetniejszego uczucia jak to, które rozkwita między dwoma młodzianami, tak jak było między nami na górskich łąkach Fokidy. Ale zmieniamy się. To oczywiste. Weź więc Nikotele za rękę i wprowadź na pokład okrętu. Ale służki jej, czy towarzyszki, niech wracają, skąd przyszły. Wpół to Amazonki – nie obawiam się więc o ich bezpieczeństwo w czasie powrotnej drogi. Kto rękę wyciągnie ku ich piersiom lub udom, już swej ręki nie znajdzie.

I tak oto Nikotele została na okręcie. Sam ją wprowadziłem

za rękę na pokład i razem z nią patrzyłem, gdy odchodziły jej towarzyszki, smukłe i gibkie jak ona. Patrzyła za nimi cała załoga, póki nie zginęły za skalnym załomem. A ja pomyślałem wówczas – czas, aby zaczęła się już nasza wielka przygoda.

Nie zaczęła się jednak.

Orest bowiem postanowił przedtem opłynąć burzliwe brzegi Peloponezu, aby dotrzeć do Pylos, gdzie władał Nestor, i tam załatwić jeszcze jedną sprawę. Mój przyjaciel miał od dawna przyrzeczoną córkę Menelaosa i Heleny, Pięknej Heleny, która była pretekstem całej tej trojańskiej awantury. Córka Menelaosa miała na imię Hermione i była ponoć bardzo piękna. „Tak piękna jak Helena i tak mądra jak Menelaos” – mówiono o niej. Gdy Orest popadł w tarapaty i ślub trzeba było odwlec, Nestor – na którego dworze przebywała wówczas Hermione – postanowił wydać dziewczynę za męża za Neoptolemosa syna samego Achillesa. Orest zdecydował ostrzec Nestora, że wyrusza na wyprawę, z której powróci królem Myken, i Hermione, jemu przyrzeczona, jemu się należy.

Wyrocznia rzekła mu, bo i o to zapytywał, że na potomków Achillesa siłę znajdzie w Delfach. Skoro więc dowiedział się, że woje, którzy ze mną razem przybyli na okręt, pochodzą z okolic Delf, był pewny zwycięstwa. Tak, zwycięstwa, bo przekonał się, że ostateczne sprawy rozwiązuje najlepiej oręż. Gdyby okazało się, że Hermione była już żoną Neoptolemosa, mógł liczyć na to, że pojmie za żonę... wdowę.

Opłynęliśmy więc skaliste przylądki Peloponezu, z zadumą spoglądając ku brzegom Argolidy. Tu bowiem mieliśmy powrócić,

aby rozprawić się ostatecznie z samozwańcami na tronie Myken. No i wreszcie zjawilo się Pylos ze swymi pałacami i strojnymi elegantkami, jakich nawet w Atenach nie uświadczysz, a jakie spotkać można było w dawnych czasach w pałacach Knossos na Krecie. Moda przetrwała tam istotnie z dawnych czasów potęgi króla Minosa – kobiety dalej obnażały piersi, malując sobie sutki purpurową ochrą i wkładając na głowy przybrania dzwoniące od złota. Moja Nikotele w najlepszym swym stroju wyglądała tu dziwnie, ale jej naturalna uroda więcej uwagi zwracała niż dzwoniące ozdobami suknie miejscowych kobiet.

Nikotele włożyła szatę białą, złożoną z dwóch sztuk materiału, spiętą złotymi spinkami na ramionach i przepasaną szerokim skórzanym pasem, nabijanym złotymi guzami. Wielka złocista klamra z wyobrażeniem głowy byka spinała ramienny pas. Jej smukłe nogi widoczne były w rozcięciach szaty, co wzburzało opinię miejscowych kobiet, które za rzecz naturalną uważały odkrywanie piersi, ale pod obfitą szatą kryły nogi. Gdy szliśmy do pałacu Nestora, Nikotele chciała wziąć ze sobą włócznię, ale ją od tego odwiódłem, uważając, że i tak nasza drużyna bardziej przypomina wyprawę piratów niż odwiedzinę przyjaciół. Mógłby więc Nestor zwątpić w nasze pokojowe cele, tym bardziej iż rzeczywiście nie były one pokojowe.

Orest istotnie bardziej hołdował płci męskiej niż kobiecej i wolał towarzystwo chłopców niż dziewcząt. A jak mi opowiadał – w Berytos i Tyrze chadzał nie do domów publicznych – najstynniejszych przecież na wszystkich wybrzeżach, ale do łaźni, gdzie usługiwali młodzieniaszkowie z Tracji. Jednak zwyczaj jest

zwyczajem, musiał więc posiąść za żonę Hermione i spłodzić z nią potomków, połączyć krew Atrydów z krwią latorośli królów Sparty. Jak mizernie mierzyłem ja w moim związku, skoro wystarczała mi córka Fokosa, pół pasterza a pół rycerza. A przecież i ja byłem synem królewskim.

Zastanawiałem się wówczas, czy nie jestem zbyt lekkomyślny w moich poczynaniach i czy nie ma właśnie racji Orest planując wszystko dalekowzrocznie. Przyznał się do oszczerczego zarzutu, jaki na niego rzucono, że jest matkobójcą, aby znaleźć poparcie w zdobyciu tronu. Planował teraz wyprawę po Złotą Boginię, następnie powrót, małżeństwo z Hermione i zajęcie Myken... A ja nic nie planowałem – ciesząc się z przygody i mając u swojego boku gorące ciało Nikotele. Ale jeżeli istnieje coś takiego jak szczęście – o którym wiele, ale bardzo mętnie opowiadają pieśniarze – miałem je w tej awanturycznej drodze ze sobą.

Ogromne zainteresowanie wywołał w Pylos mój żelazny topór Dorów? Oglądały go dziesiątki mężczyzn, a nawet owe uszmin-kowane bogato i dzwoniące ozdobami kobiety. Oczywiście inne było to zainteresowanie tutaj niż w mojej ojczystej Fokidzie. Tam była to realna groźba najazdu wrogów lepiej uzbrojonych – tu nie było tej grozy, nie wyobrażano sobie bowiem, że kiedykolwiek jacyś barbarzyńcy z północy mogliby dojść aż tak daleko. – Mury Pylos są nie do zdobycia – mówili mi chępliwie. Cóż miałem odpowiedzieć? Milczałem. Już bowiem wówczas przewidywałem, że żelazne topory Dorów rąbać będą kiedyś bramę miasta króla Nestora.

Sam Nestor był już starcem i jego zachowanie wzbudzało

podejrzanie, czy władca ten w pełni panuje jeszcze nad swoim umysłem. Gdy pokazałem mu topór, wodził po nim ręką jak dziecko cieszące się z nowej zabawki i powtarzał:

– Czarna miedź, czarna miedź, na wszystkich bogów, więc coś takiego może istnieć?

Dowiedziałem się tam o śmierci Menelaosa i o tragicznym końcu Pięknej Heleny. Polikso, która nienawidziła Heleny za to, że spowodowała wojnę, w której zginęło tylu dzielnych mężów (a wśród nich mąż Polikso), kazała swoim służącym przebrać się za Erynie i napaść na najpiękniejszą ongiś kobietę świata. Mówię „ongis”, bo uroda jej była już bardziej legendą. Służebne okryły się czarnymi opończami, wzięły niegroźne polne węże do rąk i napadły na Helenę. Nawet się nie broniła, gdy związały jej ręce, założyły pętlę na szyję i wciągnęły na gałąź drzewa. Tak umarła kobieta, w której urodzie pieśniarze wędrowni dopatrywali się głównej przyczyny jednej z najkrwawszych wojen.

W Pylos dowiedzieliśmy się też, że Hermione została wydana za mąż za Neoptolemosa. Ale zawiodły go nadzieje, że wyda mu ona potomka. Wówczas to kapłani doradzili, aby Neoptolemos udał się do Delf i złożył tam ofiarę. W swoich wędrówkach był bowiem kiedyś w Delfach i zbezczescił to święte miejsce.

Pamiętam ów wieczór w pałacu Nestora, gdy władca Pylos podejmował nas wieczną, pytając co słyhać w Orchomenes, w Tebach, w Atenach. Gdy odpowiadaliśmy mu, wydawało mi się, że nic nie trafiało do jego świadomości. Było mu stale zimno, kazał okrywać sobie nogi futrem i rozniecać ogień. Widziałem

wówczas znów Hermione, którą poznałem w krwawe dni w Mykenach, gdy ginął Ajgist i gdy umierała od skrytobójczego ciosu Klitajmestra. To wtedy Menelaos przyrzekł ją Orestowi. Hermione była piękną kobietą, poważną, a nawet jakby pogrążoną w głębokim smutku. Kto wie – może przewidywała już, że nie zobaczy więcej swego męża – Neoptolemosa, a stanie się to z woli Oresta. A przecież w czasie wieczery nawet na nią nie spojrział.

Mówili mi starzy ludzie, że w całej Wielkiej Achai zapanowały obecnie dziwne obyczaje, deprecjacyjne tradycje. Matka – uosobienie życia i najwyższe dobro – została przesunięta do roli strażniczki dzieci, kuchni i dobytku w zagrodzie albo pałacu. Żona była tylko służebnicą, starszą wśród służebnic domowych, zmuszoną do powolności wobec wybryków męża – nawet wówczas, gdy sypiał z jej niewolnicami. To, co zaistniało między mną a Nikotele, mogło wielu obserwatorów wprowadzić w zakłopotanie – zachowywałem się trochę niezwykle, otaczając tę dziewczynę czcią, jakby mi nie wystarczało samo sypianie z nią. Niektórzy mówili, że zabójstwo Klitajmestry i przypisanie tego czynu Orestowi konieczne było dla obalenia kultu Wielkiej Matki Królowej wszelkiego stworzenia. Gromowładny Zeus był znudzonym mordercą, wypatrującym sponad chmur Olimpu ładnych kobiet i pomagającym mężczyznom bezwzględny i twardym – i taki był wzorzec postępowania z kobietami.

Orest nie wymienił dotąd z Hermione ani jednego słowa, ale nie jestem pewny, czy nie przekazał jej w jakiś sposób wiadomości, że mąż jej Neoptolemos zginie, bo zginąć musi, i że on, Orest, wróci tu po nią, aby zasiadła z nim razem na tronie Myken. Co

mówię – „zasiadła z nim razem”; w Mykenach stał już tylko jeden tron – dla króla. Wróci więc tutaj, aby zabrać ją do Myken – do komnat niewieścich. Będzie ją tam odwiedzał między jedną wyprawą a drugą, między polowaniem, a zabawą z młodzieńcami argolidzkimi.

Gdy w czasie naszej biesiady nagle Nestor przestał zadawać pytania, Orest i Hermione milczeli, a ja pogrążyłem się w myślach, wtedy wszedł pieśniarz – aoid i zaczął śpiew o wielkiej wyprawie na Troję i o upadku domu Atrydy, który utonął we krwi. Kiedy zaczął drżącym głosem opowieść o tym, jak to Orest matkobojca uciekł z miejsca zbrodni ścigany przez Erynie, mój przyjaciel pobladł, wstał i bez należącego uszanowania dla władcy Pylos opuścił salę. W megaronie upadł i zaczął się wic w bólach, becząc jak zabijane jagnię. Był to atak jego choroby, ale nikt nie przyszedł mu z pomocą, wszyscy byli bowiem pewni, że męczą go Erynie...

I tak rozstaliśmy się z kolorowym, bogatym Pylos, ze zdzieciniałym Nestorem i smutną, bladą Hermione. Zabraliśmy Oresta na okręt, a raniem załoga podniosła żagiel i uderzyła wiosłami w wodę. Należało się spieszyć.

Zrozumiałem wówczas, że jestem świadkiem zakończenia pieśni bohaterskiej o ludach Achai. Bohaterowie wojny trojańskiej byli już tylko starymi i śmiesznymi ludźmi żyjącymi przeszłością. Chwała ich czynów pokrywała się zielonym nalotem czasu, jak nie czyszczona broń z brązu. Wymagali czci i szacunku wobec jakichś dokonań, które może były prawdziwe, a może tylko wymyślone przez pieśniarzy. Krwawa rozprawa z Troją przypominała

dziś świąteczne zabawy młodzieży, luna nad płonącym miastem – zorzę wieczorną, a płacz Trojanek pędzonych w niewolę – świergot ptaków! Taka jest potęga czasu, że najstraszniejsze wydarzenia ubiera w barwy i zapachy miłe dla oka i ucha. Ten ogień płonącej Troi nikogo już nie parzył, a mordercy dożywali szczęścia w kolorowych pałacach, zdziecinniali i słabi. Nie zauważali, jak giną razem z nimi dawne obyczaje. Byli tak pewni swej wielkości, że zlekceważyli zupełnie ich pielęgnację i wielkość Achai murszała jak drewniana budowla, którą wiatr, słońce i deszcz powoli obracają w ruinę. Teraz potrzeba było tylko jednej potężnej wichury, aby ta budowla rozsypała się doszczętnie, grzebiąc pod szczątkami herosów wojny trojańskiej – zdziecinniałych, słabych głuptaków. Co miało nastąpić po tym – nie wiedziałem.

– Wolę nasze pastwiska niż ulice Pylos – powiedziała do mnie Nikotele – wolę szałas pasterskie niż pałace Nestora. U nas nawet słońce jest inne.

Znów odbywaliśmy tę samą drogę wokół Peloponezu, zaglądając w głąb zatok i śledząc chmury ponad łąkami Argolidy. Wróciliśmy w to samo miejsce, skąd przeprawiliśmy się na wody Zatoki Saronckiej. Tam wysadziliśmy na ląd moich delfickich wojów i obiecaliśmy czekać, aż uczynią wszystko, co im poleciłem. Przyrzekli wypełnić dokładnie moją wolę, która zgodna była z życzeniem Oresta.

Wrócili po dwóch tygodniach wszyscy, przynosząc tarczę ze znakiem Achillesa i włócznię trojańską. I tarcza, i włócznia należały do Neoptolemosa, który poległ w Delfach, nie opodal ołtarza ofiarnego i pytyjskiej jaskini, u stóp białych skał i cmentarnych, smukłych cyprysów.

Hermione została wdową.

Czy było jeszcze coś, co wiązało nas z lądem achajskim? Nie.

Ostatni wieczór spędziliśmy u brzegów wyspy Salaminy. Nie-
bo było granatowe, jak opończa, na której ktoś pozawieszał setki
srebrnych ozdób gwiazdnych. U podnóża skał płonęły ogniska,
przy których żeglarze-wojownicy wiedli rozmowy, grali w kości
lub śpiewali. Potem przyszedł z głębi wyspy pieśniarz – aoid – i
zapropozował nam wysłuchanie jednej z swoich pieśni. Nazywał
się Amintor.

– A o czym chcesz śpiewać, Amintorze? – zagadnął go
Orest.

– Może być o Agamemnonie, którego nazywano królem kró-
lów.

– Czy tylko go tak nazywano, czy był nim w istocie? – pytał
Orest.

– Pieśń mówi, że był nim w istocie, ale ja wiem, że był to
tylko tytuł. Agamemnon niewart jest pieśni.

– Jeżeli nie o Agamemnonie, to może zaśpiewasz nam o Kli-
tajmestrze, jego żonie.

– Wszyscy o niej śpiewają, jak zabiła Agamemnona, jak po-
tem razem z Ajgistem zawładnęli tronem Myken. Wszyscy o niej
śpiewają, ale niewarta jest pieśni. Była królową z sercem portowej
dziwki. A o kurtyzanach nie warto śpiewać pieśni...

– A może znasz pieśń o Oreście ich synu? – pytał dalej
Orest.

Patrzyłem na niego z niepokojem. Nawet w blasku ognia do-
strzegłem bladeść jego twarzy i bałem się, że znów nadejdzie atak
choroby. Nikotele, która siedziała obok mnie, przywarła cała do

mojego boku, przerażona tym dialogiem. Wojownicy przestali grać w kości, rozmawiać. Śpiewy ich umilkły...

– Jestem jedynym aojdem, który nie śpiewa o bólu Oresta matkobójcy i o tym, jak ścięły go Erynie – powiedział Amintor.
– Nie śpiewam o tym, w co nie wierzę.

– Nie wierzysz w Erynie?

– Nie wierzę w zabójstwo Klitajmestry przez jej syna Oresta.

– Dlaczego nie wierzysz?

– Nie wiem. Na to nie ma odpowiedzi. Po prostu nie wierzę.

Wolę śpiewać o sprytnym Odyseuszu, o pojedynku Achillesa z Hektorem albo o sądzie Parysa.

– A w tamte zdarzenia wierzysz?

– To nie ma znaczenia – odparł wymijająco aojd. – Śpiewam, bo śpiewam.

– A znasz historię okrętu „Argos” i wyprawy Jazona po złote runo?

– Znam.

– To zaśpiewaj nam o tym.

– Chętnie.

I tak oto w tę gwiazdzistą noc u brzegów Salaminy popłynęła pieśń o wyprawie dzielnych żeglarzy do dalekiej Kolchidy i o ich wodzu Jazonie. Zaświeciły się oczy drużynie, która biwakowała na brzegu morza, żeglarze i wojownicy poczuli się bowiem Argonautami, przed którymi otwierały się wrota ku wielkiej, wspaniałej przygodzie życia, o jakiej pieśni śpiewać będą kiedyś aojdowie. A kiedy zasypiali – kto wie, może śniło im się złote runo i wyniosłe góry Kaukazu, gdzie jęczał Prometeusz, który wykradł z Olimpu tajemnicę ognia.

Potem ogniska przygaśły, a Nikotele przytuliła się jeszcze mocniej do mnie. Okryłem ją szczelniej płaszczem i sam także

przymknąłem oczy. Ale pod powiekami długo jeszcze widziałem blask ogni i długo w uszach brzmiał mi śpiew Amintora sławiącego męstwo Argonautów na czarnych i wzburzonych wodach Niegościnnego Morza.

Następnego dnia pożegnaliśmy brzegi Achai.

3. Ku wschodowi słońca

Jeżeli od brzegów Achai płynąć stale na wschód, napotkać można wybrzeża niewiele różniące się od naszych stron ojczystrych. Takie same znajduje się tam sikały, takie same zatoczki, które zapraszają wprost do wyciągnięcia na brzeg łodzi i okrętów. Takie same dojrzewają tam oliwki i takie same winogrona... Lud żył tam ponoć przyjazny nam, a my byliśmy również jego przyjaciółmi. Ale od pewnego czasu wszystko się w stosunkach naszych zmieniło i zarówno my, jak i mieszkańcy tych brzegów, w każdym żaglu, jaki pojawia się na horyzoncie, wietrzą niebezpieczeństwo. Niektórzy przypisują to wielkiej wyprawie Achajów na Troję, ale ja uważam, że coś zmieniło się na tych wybrzeżach znacznie wcześniej. Może od czasu upadku Knossos, może od bitwy pod Kadesz? Nie wiem. Dość że obecnie ci, którzy dobijają do brzegu, muszą nie tylko baczyć na podwodne skały, ale także trzymać mocno w garści włócznie i miecze...

Orest znał chyba te okolice, a może wiódł go nieomylny instykt żeglarza i umiejętność, jaką zdobył na statkach pirackich.

Bez większego trudu dobiliśmy do Efezu, skąd skradziony został złoty posąg Artemidy.

Efez... Co znaczyła ta nazwa – nie wiedziałem, choć różnie próbowano ją tłumaczyć. Ale tłumaczenie nazw nie ma najmniejszego sensu. Co bowiem znaczy Hatti? Albo Ugarit? Albo ziemia Kem? Jeśli nawet coś znaczy, to dla ludów morza Hatti oznaczało tyle co „wróg”, Ugarit – tyle co „port pełen bogactw”, a ziemia Kem – tyle co „bogactwa kraju faraonów”. Efez oznaczał więc przybytek bogini Wielkiej Matki, Kybele lub Artemidy – chociaż były to boginie różnych ludów, inaczej czczone, przez innych kapłanów. Ale oznaczały to samo. A kiedy później stanęła tam wspaniała świątynia – oddawano cześć bogini z Efezu na Wschodzie i Zachodzie.

Skąd wiem, co było potem?

Umówiliśmy się przecież, że uwierzyliście w wiarygodność mojej relacji, skąd więc to pytanie? Uwierzyliście już w tyle nieprawdopodobnych opowieści i w tak kunsztowne kłamstwa, czemu więc nie wierzyć mnie – Pyladowi z Fokidy, który miał później wiele różnych imion. Tammuz, Apulejusz, markiz de Saint Germain i T.E. Lawrance – to tylko niektóre z nich, o innych zamilczę. Wyobraźcie więc sobie, że oto Pylad siedzi naprzeciwko was, w fotelu, popija kawę i opowiada wam tę autentyczną historię. Trudno wam to sobie wyobrazić? Więc nie pytajcie więcej. Przystańcie, że wszystko, co tu opowiadam, jest prawdą i że pamięć nie myli mnie, gdy piszę: Dobiliśmy oto po dalekiej podróży do ujścia rzeki Kaistros na azjatyckim brzegu, płosząc ogromne chmary ptactwa. Homer także wspomina o tym w pieśni drugiej „Iliady” w czterysta sześćdziesiątym pierwszym wierszu.

Sprawdźcie to i znalazłszy potwierdzenie, nie podnoście więcej tego tematu. Zaufajcie mnie, jak ja zaufałem Orestowi, Jak zaufałem wążemu kadłubowi jego okrętu, wiatrom morskim i samemu morzu, a wreszcie nawet Nikotele, co może wydać się zupełnym szaleństwem, jaki bowiem mężczyzna czyni rozumnie, ufając jakimukolwiek morzu i jakiegokolwiek kobiecie?

Wylądowaliśmy więc i wciągnęliśmy okręt na brzeg, rozbijając obok obóz. Orest rozstawił dość gęsto strażę. Oczywiście gęsto, na ile pozwalała na to liczebność naszego oddziału. Nie wiedzieliśmy, czego możemy na wybrzeżu oczekiwać. Wydawało się nam, że nasze przybycie nie zostało przez nikogo zauważone, a my właśnie chcieliśmy nawiązać kontakt z tutejszym ludem. Orest zamierzał dotrzeć do miejsca kultu Artemidy, gdzie stać miał kiedyś ów złoty posąg zrabowany przez piratów i zawieszony na Taurydę. Chodziło mu o uzyskanie informacji na temat wielkości posągu – musieliśmy przecież przywieźć go na okręcie – i okoliczności rabunku, pragnął także coś niecoś dowiedzieć się o owej tajemniczej Taurydzie.

Amintor – aojd, który podążał za nami i którego Orest cenił wysoko nie tylko za kunszt pieśniarski, ale i za mądrość – radził zachować szczególną ostrożność. Od czasu porwania posągu miejscowa ludność bardzo nieprzychylnie odnosiła się do przybyszów. Kluczem, który mógł otworzyć serca tutejszych ludzi, było pono wyznanie, że jest się ofiarnikiem Wielkiej Bogini Matki.

– Nie zapominajcie – mówił do nas, gdy siedliśmy wieczorem przy ognisku, w wąwozie dawnego dopływu rzeki – nie zapominajcie –powtarzał – że Artemida to dla Achajów władczyni

zwierząt, czyli Potnia Theron, to władczyni rzek, czyli Potnia, to pani lasów i ostępów skalnych, znakomita łuczniczka, to królowa wielkich polowań. A tymczasem tutaj oznacza ona wszystko – początek i koniec, życie i śmierć, radość i ból, mądrość i chytryść. Jest Herą i Ateną równocześnie w osobie szybkołokiej bogini, Demetrą i Korą. W Lidii mówią na nią Kybele. Ale ogólnie czczą w niej Wielką Matkę. Pramacierz bogów i ludzi, strumieni i lasów. Stawiają jej w ostępach skalne trony – u źródeł szemrzących strumyków. Różnie składa się jej hołdy. Nawet z ludzi. Attis na jej rozkaz pozbawił się męskości, aby dowieść, jak bardzo ją miłuje i bywa tak, że kapłani w czasie obrzędów ku jej czci wzajemnie się kastrują. Nie zdziwcie się więc, jeżeli powita was kapłan kastrat, jeżeli w ogóle zechcą z wami rozmawiać. I jeszcze coś – tutejsi ludzie uważają Achajów za barbarzyńców...

– Dlatego że nie czcimy ich świętych rzek i skał? – zaśmiał się prostacko Orest, ale w głosie jego wyczułem niepewność.

– Nie, nie dlatego. Szacunek dla kobiety-matki to nie tylko składanie ofiar u stóp skalnych tronów. To reguła prawa. I reguła ta określa wiele spraw. A cóż o tym Achajom wiadomo? Dowiedli po zdobyciu Troi, że kobiety dla nich liczą się tylko jako źródło rozkoszy, zamieniali się kochankami jak wojownicy wymieniają się mieczem albo rzemieniem do sandału. Czyż trzeba przypominać spór o Bryzejdę w obozie pod Troją albo niewolę Trojanek po spaleniu świętego miasta? Gdy nie ma czci do kobiety-matki, nie ma czci do nikogo...

– Mówisz tak, jakbyś sam czcił Wielką Matkę, zacny Amin-
torze.

– Wszyscy ją czcimy, ale nad różnymi częściami świata inni bogowie roztoczyli opiekę – tak jak inni bogowie opiekują się wyspami na Wielkim Morzu, krainami w samej Achai, miastami i twierdzami. Mówią, że nad Achają kiedyś także władzę miała Wielka Matka, zanim nie przeszła ona w ręce Gromowładnego. Nad Achają panuje dziś Zeus i małżonką jego jest Hera, a nie Artemida. I o władzę Gromowładnego szło, kiedy sądził cię, Oreście, zacny areopag w mieście Ateny. Gdyby skazano cię na śmierć za zabójstwo matki – Klitajmestry – oznaczałoby to powrót władzy nad światem achajskim Wielkiej Macierzy Bogów. Ponieważ wybaczone ci – oznacza, że władzę utrzymał Gromowładny. A to z kolei oznacza, że obyczaję nasze różnić się będą coraz bardziej od obyczajów mieszkańców ziemi, nad którą władzę sprawuje dalej Wielka Matka. Tutaj nie możesz się nawet przyznać, że sądzono cię za matkobójstwo. Zabiliby cię, zanim wytłumaczyłbyś im, że jesteś niewinny, że oskarżenie było fałszywe. Tutaj nie śmiesz nawet podawać się za Oresta, syna Agamemnona. Niech wodzem prezentuje się tutaj Pylad – syn władcy Pokidy, któremu obca była sprawa najazdu na Troję.

Tak radził nam pieśniarz Amintor. Udaliśmy się na spoczynek nie podjąwszy żadnych decyzji na dzień następnny.

Spąłem pod jednym płaszczem z Nikotele i choć z gór szły chłodne powiewy wiatru, grzaliśmy się zarem naszych ciał. Zasnęliśmy, szepcząc sobie nawzajem wyznania miłosne, które mimo bogactwa ich treści, zamykały się tylko w dźwiękach naszych

imion. Ja mówiłem do niej cicho „Nikotele”, na co ona odpowiadała mi tylko „Pylad”. I taki był nasz dialog miłosny przed snem.

Rankiem okazało się, że na okolicznych wzgórzach biwakują obcy wojownicy. Nasze lądowanie było więc spostrzeżone, a nocą, kiedy zapadliśmy w sen, otoczono nas, zostawiając jedyną drogę wolną – ku morzu. Obcy wojownicy nie chcieli zapewne napadać, widzieli bowiem nasze uzbrojenie i zdawali sobie sprawę, że nie jesteśmy kupcami, a ich atak i tak musiałby natknąć się na nasze strażę. Nie mogli więc liczyć na to, że nas zaskoczą.

– Twoja kolej teraz – rzekł do mnie Orest, gdy spoglądaliśmy ku wzgórzom pełnym obcych wojowników. – Zgodnie z radą Amintora, obejmij dowodzenie i wejdź w układy z barbarzyńcami. Zostawili nam wolną drogę do morza, licząc, że wycofamy się bez słowa i bez wymiany ciosów. Pomylili się. Jesteśmy przygotowani na najgorsze.

Wyszedłem więc ku tamtym, niosąc włócznię i tarczę, ale mając u boku Nikotele, w białą szatę przyodzianą i wysoko nad głowę trzymającą gałąź oliwną. Ustaliliśmy bowiem między sobą, że spróbujemy forteli, z których my, Achajowie, słydełliśmy na całe wybrzeża od Ilionu do ziemi Kem. Gdyby nie nasze fortele, może nawet Troja nie ległaby w gruzy?

– Kim jesteście i z czym przybywacie?

Pytanie to padło z wzgórz, gdy razem z Nikotele znaleźliśmy się już w połowie drogi między naszym obozem a obcymi wojownikami.

– Jestem Pylad z Fokidy. Ziemi, na której czci się Wielką Macierz Bogów. Z ziemi, która ani jednego okrętu nie wysłała przeciw Troi. A obok mnie jest kapłanka z świętego przybytku

naszej ziemi. Chcą mówić z waszym królem i waszym kapłanem.

– Czego chcecie? – pytał nas znów ten sam głos.

– Oddać pokłon Wielkiej Matce Bogów. Słyszeliśmy, że stąd porwany został święty posąg ze szczerego złota i zawieszony na Morze Niegościnnie, na skalistą ziemią nazywaną Tauryda. Złożyliśmy ślubowanie, iż dotrzemy tam, zdobędziemy posąg i przywieziemy go w miejsce poświęcone Wielkiej Matce Bogów.

Tym razem dość długo czekaliśmy na odpowiedź, wystawieni na widok obcych wojów. Wiedziałem, że w każdej chwili mogą polecieć ku nam oszczepy lub strzały, przed którymi nie zdołaliśmy uciec. Naszą śmierć pomściłby Orest, ale nam niewiele już z tego by przyszło. Nie bałem się o siebie, ale o Nikotele, chociaż uspokojenie pewne dawała mi świadomość, że zginęlibyśmy razem. Bałem się bowiem, że Orest i jego piracka banda nie uszanowałiby Nikotele, gdybym ja tylko sam zginął.

Nie rzucono jednak oszczepów. Po jakimś czasie wyszło ku nam kilka dziewcząt w białych szatach, także z gałązkami oliwnymi nad głowę, a przodownica grupy skłoniła przed nami głowę i nakazała iść za sobą. Poszliśmy więc dalej wąwozem, który stawał się coraz węższy i dzikszy. Dołem płynął wąty strumień, co kazało przypuszczać, że prowadzą nas do jego źródła. Istotnie, niezadługo ukazało się nam miejsce znane ze słyszenia jako skalny tron bogini. Była to niezbyt głęboka jaskinia, raczej obszerna nisza – częściowo naturalna, a częściowo wykuta w skale. U stóp skały szemrało źródło. Stał tam kamienny ołtarz, obok którego siedziało kilka dziewcząt uderzających rytmicznie w

mosiężne talerze i nucących jakąś pieśń.

Wyszedł ku nam starzec z obfitą siwą brodą. Ubrany był w białą szatę, a chociaż podpierał się laską pasterską, podtrzymywały go jeszcze dziewczęta. Głowę siwowłosego starca i głowy dziewcząt zdobiły zielone wianki.

Skłoniłem się przed starcem i zapytałem, czy pozwoli, aby towarzysząca mi kapłanka rzuciła garść świętych ziół naszej ziemi na ołtarz. Jak widzicie więc – kłamstwo gonilo tu kłamstwo, ale Amintor radził przecież nie liczyć się z zasadami bogów, pod których opieką nie przebywaliśmy, a wyrocznia nakazała zdobycie złotego posągu, nie ograniczając sposobów wykonania tego zadania. Bronią naszą były włócznie, była umiejętność żeglugi, ale było także kłamstwo. Czy tamci ufali nam? Chyba tylko częściowo. Zdawali sobie bowiem sprawę z tego, że naszą bronią jest również kłamstwo; sami zapewne po tę broń sięgali.

I tak oto rozpoczął się nasz dialog złożony z półprawd i półkłamstw, prowadzony jednak pod gałązkami oliwnymi. I oni liczyli na korzyści zgadując nasze nieprawdy, jak my zgadując ich nieprawdy. I ani ich, ani nasze nieprawdy nie wydały nam się groźne. Natomiast istota była ważna dla nich i dla nas – chcieliśmy rzeczywiście odebrać Złotą Boginię barbarzyńcom i z tego zdawał sobie sprawę ów siwowłosy kapłan równie dobrze, jak Orest – wódz naszej wyprawy.

– Nazywają mnie Kleant – powiedział starzec, a zarówno jego wymowa, jak i samo imię, kazało mi domyślać się w nim przybysza z Achai. Nie pytałem go jednak o to. – Niech kapłanka achajska rzuci święte zioła waszej ziemi na ołtarz Wielkiej Matki,

choć, widzisz, święty tron jest pusty od czasu, gdy dokonano tu świętokradztwa. Ty, wędrowcze, usiądź na tym oto głazie. Ja spocznę naprzeciwko ciebie. A teraz, gdy już spocząłeś, mów, czego chcesz od nas.

Głos jego był niski, brzmiący metalicznie i przez chwilę pomyślałem, że nasz aoid żartował chyba, mówiąc wczoraj o kastracji kapłanów.

– Chciałem dowiedzieć się, jak ciężki i jak wielki jest posąg bogini. Jakiego okrętu potrzeba, aby go uwięzić barbarzyńcom z Taurydy.

– Ci, co go zrabowali, mieli taki sam okręt jak wasz – udźwigniecie więc święty posąg na pokładzie waszego żaglowca. Jest to wielki kloc drewna, z którego bogowie uczynili podobiznę Wielkiej Matki. Posąg kryty był złotą blachą, zwiezioną tu z różnych stron ziemi. Złota szata zdobna była cennymi kamieniami, z których każdy nosił w sobie siłę magiczną księżycy, słońca i planet. Gdy dotknął się szaty jakikolwiek barbarzyńca – marł natychmiast...

– A jednak porwali posąg barbarzyńcy – rzekłem przekornie.

Od źródeł strumienia znów rozległo się dzwonienie mosiężnych talerzy i głośniejsz zabrzmiały głosy kapłanek. Spojrzałem w tamtą stronę i zobaczyłem, jak ku niebu bucha kłęb dymu. To płonęły zioła rzucone przez Nikotele, zioła, które zabrała z naszego posłania na pokładowej galeryjce okrętu, posłania z traw fokijskich. Wielka Matka Bogów powinna była nas za to ukarać, ale gdyby ukarała, nie mogłaby przecież radować się później z kłęski Taurydów.

– To był spisek achajski – powiedział ponuro kapłan. – To Achajowie wydali posąg w ręce barbarzyńców.

– Achajowie?

– Tak. Wodzem ich był wówczas król królów, Agamemnon, łotr nad łotry. Ajgist, ten sam, który potem zagarnął tron w Mykenach, wszedł w kontakt z Taurami znad Morza Niegościnnego, stronnikami Troi. Posąg zrabowali wspólnie Agamemnon i Ajgist, którzy przybyli tu do miejsca Wielkiej Matki Bogów, nazywanego Efezem. Zbzechścili kapłanki, wymordowali wielu wojowników i kapłanów, zabrali posąg.

– Nigdy nie dotarł on do Achai.

– Mówiłem ci, że Taurowie byli przyjaciółmi Trojan. Za cenę posągu zobowiązali się, że nie przyjdą w pomoc Troi. Ajgist był tym, który zawiózł posąg na Taurydę, gdy flota Achajów zbierała się w Aulidzie.

– Tam właśnie mówiono o gniewie Artemidy, który wstrzymał okręty Achajów przed wyruszeniem na Troję. Gniew ten spowodować miało zabicie w gaju Artemidy świętej łani.

– Tak, to prawda. Gniew Artemidy wstrzymał wówczas flotę, ale nie chodziło o świętą łanię, lecz o rabunek posągu z Efezu. Wielka Macierz Bogów u Achajów jest patronką polowań.

– Agamemnon postanowił wówczas złożyć w ofierze Artemidzie własną córkę Ifigenię. Ale nie doszło do tego, jak mówiła pieśń, gdyż Artemida uprowadziła cudownie Ifigenię wprost z ofiarnego ołtarza. Ofiarowano łanię.

– Cudu tam nie było, po prostu łajdak Agamemnon sprzedał Taurom własną córkę jako Wielką Kapłankę Złotej Bogini. Zajął się tym Ajgist.

– Ależ to nie zgadza się z tym, co śpiewają o wojnie trojańskiej aoidowie.

– Nie wierz pieśniom, młodzieńcze. Prawda jest zwykle inna niż pieśni. Złoty Posąg i Wielka Kapłanka – to była cena, jaką zapłacił Agamemnon za to, że Taurowie nie poszli na pomoc Troi. Plany rozbójnicze Agamemnona sięgały zresztą dalej. Zdobyć Troi otwierało mu drogę na Morze Niegościnnie, a tam w pierwszym rzucie pokonać chciał Taurydę. Gdyby mu się to udało... Marzył o zdobyciu Kolchidy.

– Szlakiem Jazona?

– Tak. Szlakiem Jazona. Złote runo dalekiej Kolchidy spędza dalej sen z oczu niejednego rozbójnika. Tylko dostać się tam trudno. Mało kto pływał ostatnio przez Bosfor Tracki na Morze Niegościnnie. Po upadku Troi handel z Synopą, Kolchidą i Taurydą niemal zamarł.

– Jeżeli więc popłyniemy na Taurydę, spotkamy tam nie tylko Złotą Boginię, ale także jej kapłankę, córkę Agamemnona?!

– Tak. I to jest wasza jedyna szansa. Taurowie bowiem zwykli przybyszów, którym nie ufają, zabijać. Waszą nadzieją może być więc Ifigenia, jeżeli jeszcze żyje.

– Gdzie szukać nam pilotów, którzy poprowadzą statki na Morze Niegościnnie, do Taurydy?

– Chyba tylko w Ugarit. To, co wiem o Taurydzie, wiem od żeglarza z Ugarit, Saonasza. On jako ostatni widział posąg i widział Ifigenię, i wrócił szczęśliwie, a to już był cud Wielkiej Matki Bogów, ponieważ Taurowie nie zwykli puszczać wolno intruzów, którzy lądowali na skalistych wybrzeżach tego półwyspu lub wyspy u północnych krańców Morza Niegościnnego.

W głowie kręciło mi się od tych wiadomości, wywracały one bowiem nasze, utrwalone przez aoidów, przez plotkę i opowieści starych wojowników, wyobrażenie wojny trojańskiej. Tak, zawsze podejrzewałem, że kłamstwem było to, co mówiono o porwaniu Pięknej Heleny. Nawet jeżeli to porwanie nastąpiło, to sam nie wiem dziś, czy stary Menelaj nie dopomógł w jego dokonaniu. Achajowie chcieli wzbudzić we własnym kraju święty gniew przeciw Trojanom. Gniew łatwo mógł zamienić się w zbrojny czyn, gdy uświadomiono sobie, ile bogactw trojańskich można zrabować, ilu niewolników uprowadzić. Potem już niewiele było potrzeba, aby z Aulidy wyruszyły czarne okręty Achajów. Plany Agamemnona wydały mi się możliwe do wykonania – skierowanie uderzeń na Ugarit, Berytos czy Tyr nie miało sensu. Na takie wyprawy Achajowie byli za słabi. Natomiast w wyprawach na Morze Niegościnnie, nazywane także Morzem Czarnym ze względu na jego kolor w zimowe, sztormowe dni, nie mieli konkurentów. Kupcy z Ugarit trafiali tam rzadko, a drogi lądowe były zupełnie nieprzejezdne, ze względu na bandy rozbójników grasujące na szlakach handlowych. Było więc prawdopodobne, że po Troi mogła przyjść kolej na Taurydę, a potem na złotodajną Kolchidę.

To, co mówił w tym uroczysku nad strumieniem kapłan Kleant, wydawało się prawdopodobne. Trochę zastanawiała ta otwartość i bezpośredniość, z jaką zostałem przyjęty, ale jak dotąd nic nie wskazywało na to, że należało z większą ostrożnością traktować przyjęcie w ujściu Kaistros. Rozejrzałem się dookoła, ale na okolicznych wzgórzach nie zobaczyłem wojowników. Koło mnie był tylko starzec i młode kapłanki. Czekałem na powrót Nikotele.

Kleant tymczasem ją mnie wypytywać o sprawy dziejące się na lądzie achajskim. Mówił z prawdziwym ukontentowaniem o końcu złotego wieku Myken, aprobował mord Agamemnona dokonany przez Klitajmestrę i mord Ajgista, ale rzucał przekleństwa na Oresta, mówiąc wprost, że gdyby w swojej włóczędze (o której słyszał, jako o ucieczce matkobójcy przed Eryniami) postawił stopę na ziemi nad Kaistros, zginąłby natychmiast od ciosów mieczy i włóćni. A więc dobre były rady aojda Amintora i słuszny pomysł, abym to ja właśnie przedstawił się jako wódz wyprawy.

– Wracaj więc, przybyszu, do swoich. W tym miejscu, gdzie stanąłeś, aby rozmawiać ze mną, nasze kapłanki złożą kilka baranów. Upieczecie je sobie, a wieczorem weźmiecie udział w obrzędach ku czci Wielkiej Macierzy Bogów. Wszyscy. Złożymy ofiary na rzecz udanej wyprawy na Taurydę.

Wróciliśmy z Nikotele do obozu, kiedy Orest gotował się już wyruszyć na poszukiwanie nas lub naszych ciał. To, co opowiedziałem mu, uczyniło na nim wielkie wrażenie. Walił się bowiem w proch kult wielkiego ojca, który tkwił u niego w sercu i który kazał mu podnieść broń na Ajgista. Ale – jak już powiedziałem – historia ta była tak przejrzysta obecnie, tak prawdopodobna, że należało teraz tylko odszukać w Ugarit żeglarza Saonasza, namówić go, aby stał się pilotem naszej wyprawy i popłynąć na Taurydę, tam odnaleźć Złotą Boginię i siostrę Oresta, a córkę Agamemnona – Ifigenię.

Gdy zgodnie z obietnicą, kapłanki złożyły w pobliżu naszego obozu zarżnięte barany, Orest polecił wykroić kawałki mięsa i

rzucić je ptactwu kołującemu nad ujściem rzeki. Martwe ptaki były dowodem, że jednak otwartość, z jaką przyjęto nas, pozostawiała wiele do myślenia. Barany ofiarowane nam przez mieszkańców wybrzeży zakopaliśmy więc, a upiekliśmy te, które przywieźliśmy na pokładzie okrętu. Sądziliśmy, że mieszkańcy wybrzeży nie spostrzegą tej zamiany i zdziwi ich może fakt, że mimo zjedzenia baranów – żyjemy.

Potem pospiesznie zepchnęliśmy nasz okręt z plaży na morze i wiosłarze ujęli krzepko za wiosła.

Znacznie później dowiedziałem się przypadkowo, że kiedy odbijaliśmy od wybrzeży, na jednej ze skał stał kapłan Kleant, podtrzymywany przez dwie młode kapłanki.

– Nie myślałem, że są tak przebiegli. Był wśród nich ten łajdak, matkobójca Orest! Myślałem, że złoży kości na tym wybrzeżu, ale zdarzyło się inaczej. A to ich nędzne oszustwo z rzekomą kapłanką, która rzuciła suszone chwasty na ołtarz ofiarny! Ech, czekajcie wy, Achajowie! Nie myślcie, że wrócicie żywi z wyprawy na Taurydę! O, Wielka Matko Bogów, racz okazać swój gniew i zemścij się tak, jak tylko potrafią mścić się bogowie...

Mimo prawd, których nie kryły obie strony, był to więc pojedynek na kłamstwa i one uzyskiwały tu rangę pierwszeństwa. Cofam więc wszystko, co powiedziałem poprzednio na chwałę faktów. Nie wiercie w fakty, moi drodzy. Wiercie w to, co śpiewają wam aoidowie. Gdy zaczniecie porównywać fakt z faktem i tak w końcu nie odnajdziecie prawdy, fakt będzie bowiem przeczył faktowi, a w pieśni kłamstwo do kłamstwa pasuje jak miecz do pochwy.

– A teraz popłyniemy do Ugarit – mówił do mnie Orest, gdy brzegi Azji stały się już szafirową linią na horyzoncie. – Już niedługo ujrzysz jego cyklopowe mury i złote dachy świątyń.

4. Purpurowa mgła

Łądarka ukazała się nam o świcie, razem z porannym brzaskiem, jako sina linia oddzielająca rozplomienione wschodem niebo od fiołkowej wody. Niemal natychmiast ze wstaniem słońca wiatr osłabł, a wkrótce zupełnie zamarł. Morze uspokoiło się.

– Tam leży Ugarit, perła wybrzeża kupców – powiedział do mnie Orest, gdy podniosłem się z żeglarskiego postania, zostawiając gorące, skulone w zwojach płaszczka ciało śpiącej Nikotele.

– Tam leży Ugarit – powtórzył, wskazując dłonią horyzont, choć jeszcze nic nie było widać, ale ja mu wierzyłem, nie spotkałem bowiem dotąd tak doskonałego żeglarza. Nie tracił nadaremnie czasu, gdy wyrwał się z Myken, gnany – jak powiadano – wyrzutami sumienia, ścigany przez Erynie.

Płynęliśmy całą noc – nie pierwszą i chyba nie ostatnią, a na nocne rejsy ważą się jedynie najlepsi żeglarze. Jedni obawiają się, że nocny szkwał zdryfuje ich statek na nadbrzeżne skały, inni lękają napotkania w ciemności statku podobnego śmiałka, inni znowu piratów, a są wreszcie i tacy, którzy wierzą w złe demony, w syreny i inne widma kuszące żeglarzy. Orest nie był ryzykantem. Nocą nie żeglował w pobliżu brzegów, ale gdy miał pomyślny wiatr w żaglach, a do przebycia morze, na którego obszarze nie

spotkał przedtem nigdy wysp, ruszał w podróż, żeglując bez omyłki według gwiazd.

Pod żaglem płynęliśmy cały czas, co pozwoliło załodze zasnąć. Czuwał tylko sternik, młody wojownik trzymający wachtę, no i Orest, bo był to człowiek, który zasypiał jedynie wtedy, gdy bogowie czuwali za niego. A wiadomo, że bogowie czuwają za nas jedynie wówczas, kiedy nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo.

Gdy wstało słońce, a wiatr zamarł, Orest polecił zbudzić swoich żeglarzy i zezwolił na skromny posiłek. Najeść się mieliśmy wszyscy dopiero na lądzie. Pozwolił nawet na wypicie kubka wina, ale też było to niezbędne, aby krew zaczęła szybciej płynąć w żyłach, czekała bowiem wszystkich ciężka praca: należało ująć za wiosła. Należało zwinąć żagiel główny (bo niekiedy, wzorem wschodnich żeglarzy, stawiano także pomocniczy) i już na wiosłach doprowadzić okręt do celu.

Słyszałem, że w niektórych krajach nad Wielkim Morzem Śródziemnym, nad Wielką Wodą albo Wielką Zieloną Wodą – jak o tym morzu mówiono na Peloponezie – przy wiosłach sadzano także niewolników. Niewiele – wierzcie mi – znaczył taki okręt, którego lotność i zwrotność zależała od bata dozorca. Pracować przy wiosłach nie było zresztą żadną hańbą, a raczej była to sposobność do okazania męskiej siły i wytrwałości, a także umiejętności. Sam Orest siadał często obok swych żeglarzy, chwytając za wiosła, co oni witali zawsze gromkimi okrzykami na jego cześć. Potem rozlegały się ich pieśni, których rytm odmierzał uderzenia wiosel.

Tego ranka także i ja popróbowalem pracy przy wiosłach, ale rychło musiałem zejść z ławki, bojąc się, że ból dłoni uniemożliwi mi potem sprawne władanie bronią, gdyby zaszła tego potrzeba. Żeglarze Oresta mieli dłonie jak skały i praca przy wiosłach ich umiejętnościom walki włócznią, toporem czy mieczem nie zagrażała. Zmęczony okryłem się płaszczem i zasnąłem, tuląc się do rozgrzanego ciała Nikotele. Wydawało mi się, że wciąż jeszcze jestem tu obcy, tak samo jak moi ludzie z Fokidy, którzy nie dorównywali żeglarzom Oresta w morskim rzemiośle. Ale nie wątpiłem, że pierwsza walka na lądzie ukaże ich zdolności i odwagę. Sam też czekałem na taką okazję.

Jeszcze popatrzyłem ku wychodzącemu nam naprzeciw lądowi, ku obłoczkom żeglującym nad lądem od strony gór Libanu i zasnąłem obok Nikotele.

Zbudził mnie sam Orest. Był już jasny dzień i nie było koło mnie Nikotele. Stała nie opodal wyprostowana i spoglądała gdzieś przed siebie. Ogorzała twarz Oresta nachylała się nade mną z uśmiechem radości.

– Wstawaj, śpiochu, oto przed tobą najbogatsze miasto Wschodu.

Podniosłem się i spojrzałem tam, gdzie wskazywała jego dłoń. Naprzeciw nam wychodziło z nadmorskiej mgiełki wielkie kamienne miasto z rysującymi się wyraźnie bryłami zabudowań pałacu, dachami świątyń, wierzchołkami bram i wież, na której nocą rozniecano ognie sygnalizacyjne, a Skąd dniem obserwowano horyzont. Wokół kamiennych murów kłębiła się soczysta zieleni drzew i krzewów, schodzących ku żółtym piaskom plaż i białym nabrzeżom kontrastującym ze szmaragdem morza. Cały

ten obraz spinała w jedną całość ogromna kopuła bezchmurnego nieba z zawieszonym w zenicie złotym rydwanem słońca.

– Oto masz Ugarit, perłę Wschodu – mówił Orest. – Jedno z najpiękniejszych miast świata. Przyjrzyj mu się dobrze, bowiem nigdy już go takim nie zobaczysz.

Byłaż to prawda?

A jednak Orest wierzył święcie w słowa, które nie tak dawno usłyszeliśmy obaj u brzegów wyspy nazywanej przez Achajów Cyprem. Odwiedziliśmy tę wyspę przed wyprawą do Ugarit. Na Cyprze Orest miał bowiem swoich przyjaciół, ludzi morza, którzy w tym czasie kontrolowali niemal cały obszar morski i przed którymi drżeli królowie i możnowładcy. Byli to – prościej rzecz nazywając – rozbójnicy morscy. Na ich czele stał wówczas Suppiluljamasz – cóż za cudaczne, barbarzyńskie imię! I on właśnie przygotowywał ostateczne uderzenie na Ugarit. Nie, nie miał zamiaru oblegać miasta tyle lat, ile Agamemnon Troję. Ludy morza nie nawykły do długich oblężeń. Postanowił siłę Ugarit złamać podstępem, a miasto wziąć szturmem. Płynąc do tego portu, byliśmy nie tylko poszukiwaczami pilota dalekich rejsów, Saonasza, ale równocześnie wywiadowcami armii, jaka zbierała się na Cyprze przeciw Ugarit. Mieliśmy zagwarantowany udział w łupach i wolno nam było wywieźć z miasta Saonasza, żeglarza, jedyne go człowieka, o którym wiedzieliśmy, że zna drogę na Taurydę.

– Myślisz, Oreście, że ludom morza uda się zdobyć tak potężny gród? – zapytałem przyjaciela, patrząc na mury miasta.

– Nie widziałeś jeszcze ludów morza w ataku. Jeżeli poddali się władzy Suppiluljamasza, a ten rzekł nam, że to się stanie,

bądź pewny, że niedługo nie będzie tu stał kamień na kamieniu, a jęk matek po utracie swych dzieci rozlegać się będzie stąd aż po brzegi Achai.

Kiedy podchodziliśmy na wiosłach do portu, spotykaliśmy coraz więcej statków o pstrych kadłubach i kolorowych żaglach. Podobno statki te przybyły z odległych stron, niektóre aż z ujścia Nilu czy Cyrenajki.

Już wtedy byłem pewny, że to, co zobaczę w mieście, prześcignie moje wyobrażenie o nim. Jakże ubogie i szare wydały mi się miasta Fokidy, Beocji, Attyki, Argolidy. Ba, nawet gród Nestora nie mógł równać się z tym, co zobaczyłem tutaj, gdy stanęliśmy wreszcie w porcie. Były tu dwa wielkie pałace, jak dwa potężne warowne akropole. Były świątynie Baala i Dagana. Czczono tu także Asztartę, uosobienie tych cnót, jakie w Achai przypisywano kilku boginiom, a wśród nich głównie Artemidzie. Gdybyż Achajowie zobaczyli tutejsze wizerunki Artemidy-Asztarte, byłiby zapewne zdumieni różnicą w wyobrażeniu obu boskich postaci. Zresztą może nie była to ani Asztartę, ani Kybele, ani Isztar, ani Artemida, ale jakaś ogólna Wielka Macierz Bogów, a więc pramatka całego rodzaju boskiego i ziemskiego?

W wędrowce po mieście zwiedziłem dzielnice rzemieślników, gdzie oddzielne ulice zajmowali stolarze, płatnerze, murarze i złotnicy. Były tu dzielnice kupców i kramarzy, był targ niewolników i były biblioteki – miejsca, w których słowa spisywano na tabliczkach z gliny, z kamienia, z drewna i z kości, aby to, co mówili ludzie, mogło żyć wiecznie. Umarłych grzebano sposobem, jaki panował również w Achai – w podziemiach domów i pałaców, aby ich duchy strzegły miasta. Mówiono tu innym

językiem niż u nas, ale wielu rozumiało naszą mowę, podobnie jak u nas, w miastach nadmorskich, rozumiano ich mowę. Pomagał temu szeroki gościniec wodny, na którym ich kupcy i nasi kupcy spotykali się często. A że gościniec był szeroki – ani my do nich, ani oni do nas nie mieli dotąd pretensji. Handel jednoczył nasze namiętności i przedsięwzięcia.

Tak było do niedawna, do czasu gdy Wielka Zielona Woda przestała już być swobodnym gościńcem kupieckim...

Ugarit żyło ongiś w powiązaniu z krajem Hetytów, których najbliższy gubernator rezydował w Karkemisz. Dziś jednak więzy te pękły. Ugarit stało się samodzielne. Samotne i bogate. Cóż za łakomy kąsek dla piratów! Wątpiłem jednak wówczas, aby w samym Ugarit żył choć jeden człowiek, który wierzyłby, że jakiś wróg może pewnego dnia zagrozić potędze miasta. Potem przekonałem się, że byli tacy, ale milczeli. Cóż mogli bowiem zdziałać, skoro za samo zwątpienie w zwycięstwo trafiliby do lochu pozbawionego słońca, skazani na powolną śmierć. Uciekać nie mieli dokąd. Chyba tylko w pustynię. Ale tam czekali na nich także rozbójnicy.

I tu właśnie żył Saonasz – żeglarz, który większą część życia spędził na morzu, w wyprawach na Morze Niegościnne, poza Żelazne Wrota Bosforu Trackiego.

Zanim jednak opowiem o spotkaniu z nim, wyjawię jeszcze nasze zadanie wywiadowcze.

Przywieźliśmy do Ugarit towary – nasz okręt był ich pełny. Ale czym były najpiękniejsze tkaniny, jakie mieliśmy na pokładzie, wobec tego, co zobaczyliśmy na bazarze – w mieście i poza murami! Na całe szczęście nie byliśmy kupcami i nie zależało

nam na rezultatach handlu. Zadaniem naszym było zliczyć okręty wojenne w porcie, przyjrzeć się wojownikom, zbadać możliwości obrony Ugarit z morza i z lądu. Tam, na Cyprze, wiedzieli już z pewnością o wielu tajemnicach miasta, ale chodziło im o poznanie sytuacji, jaka panuje tu dziś i z którą spotkają się jutro.

Mówiliśmy, tak jak nam polecił Suppiluljamasz, że na Cyprze bazuje niewiele okrętów pirackich, których dzioby uzbrajają ostrogi mogące zdruzgotać burty statku przeciwnika, że ludzie morza na Cyprze nie mają przywódcy, że to banda pijaków walcząca z sobą nawzajem o łupy. Już przed nami wieści takie przywozili tu inni wywiadowcy, budzący w Ugarit przekonanie, że zbrojna wyprawa na Cypr zlikwidowałaby na zawsze niebezpieczeństwo czyhające ze strony piratów.

I ostatnie zadanie – mieliśmy zbadać możliwości opanowania bram miejskich. Sposobów było wiele. Można było przekupić jednego ze strażników bramy albo umieścić wcześniej w mieście kilku ludzi, którzy spuściliby nocą z murów drabiny dla atakujących. Orest uważał że należy zastosować wszystkie sposoby. Jeden może zawieść, jeden spośród kilku zawsze się uda.

Największe zainteresowanie w Ugarit budził mój topór i chyba to było powodem, że na bazarze odwiedził nas jeden z dowódców królewskich oraz kilku znaczniejszych kupców. Mówili nam, że gdybyśmy takich toporów przywieźli więcej, moglibyśmy liczyć na zawarcie korzystnego interesu. Obiecaliśmy powrócić i przywieźć tyle, ile pomieści okręt. Było to oczywiście kłamstwo. Drugi raz bowiem mogliśmy tu tylko wrócić razem z flotą piratów.

Gdyby taki okręt jak nasz przybył na przykład do Pylos, sądzę, że każdy – od najmłodszego do najstarszego – musiałby podejrzewać załogę o nieczyste intencje. Ostatecznie dziób naszego okrętu był także zakończony ostrogą – jak dzioby jednostek wojennych – a liczna gromada krzepkich mężczyzn wcale nie wyglądała na załogę kupieckiego statku. Ugarit było jednak miastem przede wszystkim kupców i zależało mu na tym, aby jak najwięcej okrętów z całego Wielkiego Morza przybywało tu z towarem. Mieszkańcy miasta byli więc tolerancyjni wobec obcych okrętów, obyczajów i bogów. Ostatecznie nierzadko sami handlowali dotąd z piratami.

Ja udawałem dalej kupca, właściciela statku i ładunku, a Orest – mojego nawigatora. Przeniosłem się nawet na ląd razem z Nikotele i zamieszkałem w domu jednego z kupców. Orest spał jednak na okręcie, aby w każdej chwili okręt mógł wyjść w morze. Co stałoby się wówczas ze mną i Nikotele – nie wiem.

Nikotele rozumiała naszą dwuznaczną sytuację i bała się o mnie i o siebie. Raz stwierdziliśmy, że ktoś nas śledzi, podsłuchuje nasze rozmowy, postanowiliśmy więc nawet w czasie miłych uścisków mówić o mojej kupieckiej misji i zachwycać się miastem. Liczyliśmy na to, że podsłuchujący doniosą o tym do pałacu i to utwierdzi władców w przekonaniu, że mamy wyłącznie kupieckie zamiary wobec Ugarit. Zresztą, może szpiegujący nas czynili to z prostej ciekawości? Zauważyłem, że tutejsi ludzie bardzo interesowali się życiem innych i nie ukrywali tego. W Achai nazwano by ich „wścibskimi babami”, tutaj nikogo to nie raziło. Ale cóż, kult Wielkiej Macierzy Bogów dawno przeminął

w Achai, tutaj zaś Asztarte była dalej na piedestale najwyższym, choć miała za towarzysza Baala.

Jednak miał rację Orest, że trudniej przekupić wojowników niż kupców, a przecież kupcami byli mieszkańcy Ugarit – od króla do pomocnika kamieniarskiego. Tak więc udało się nam uwić gniazdo zdrady wewnątrz miasta. Aby uspić czujność szpiegów, gdyby tacy istotnie nas obserwowali, postanowiliśmy, że ja z Nikotele i z częścią mojej drużyny – udającej służbę – zostaniemy w mieście. Orest zaś udać się miał po owe zapowiedziane topory żelazne, a w istocie – na wyspę Cypr, aby powiadomić o wszystkim piratów. W tej sytuacji to ja właśnie miałem być głównym organizatorem dywersji w mieście, w czasie ataku. Moim rozkazom podporządkowani być mieli ci zdrajcy, którzy spuszcza z murów drabiny. Ja miałem zapalić sygnałny ogień w porcie...

Bałem się. Tak, bałem się bardzo – o siebie i o Nikotele. I, prawdę mówiąc, nie byłem przekonany, że taką cenę mamy płacić za uzyskanie przewodnika wyprawy, który mógł przecież popłynąć z nami niezależnie od losów Ugarit. Ale Orest wiązał z tym swoje dalsze plany – liczył, że po naszym powrocie z Taurydy piraci dopomogą mu w odzyskaniu tronu. Jeżeli oczywiście cudowna moc Złotej Bogini i nasze włócznie okażą się za małą siłą.

Byliśmy odtąd razem z Nikotele gotowi na wszystko i obok naszego łoża leżały oszczepy i topory. Niewiele by się ta broń w naszej sytuacji przydała, gdyby odkryto nasze rzeczywiste zadania. Chyba tylko w tym celu, aby nie dać się wziąć żywcem.

– Jeżeli nasz plan się uda, przestanę wówczas słuchać

pochwał, jakimi darzy się znakomitych wodzów achajskich prowadzących oblężenie Troi – rzekłem kiedyś do Oresta.

– Nie przeczę – zgodził się ze mną. – Cóż bowiem z tego, że Troja upadła, skoro stała się zarówno grobem Trojan, jak i wielkości Achai? Nie popełniamy więcej błędów mego ojca! Konia trojańskiego trzeba było podstawić pod mury Ilionu w miesiąc po rozpoczęciu walki pod murami miasta! Oszczędzilibyśmy wówczas życie tylu mężów i nie zginąłby Agamemnon z rąk Klitajmestry i Ajgista. Gdyby Achajami dowodził wtedy chytry Odys, a nie mój ojciec – kto wie, czy nie zdobyto by Troi w tym samym dniu, gdy nasi stanęli po raz pierwszy nad Skamandrem...

Nigdy przedtem nie powiedziałem tylu krytycznych słów o wojnie trojańskiej i o swym ojcu. Przyznawałem mu w duchu rację, ale milczałem. Cóż mogło bowiem to zmienić, gdy już w świat poszła pieśń o bohaterach trojańskich, włączając w ich grono przede wszystkim Agamemnona, a na szarym końcu wymieniając Odysa?

Saonasz nie mieszkał w samym mieście, ale w małej osadzie za murami, gdzie gnieździła się nędza. Zdziwiło mnie to bardzo, bowiem taki znakomity żeglarz powinien był, w moim przekonaniu, posiadać odpowiednie do swoich umiejętności bogactwa. Ale zawsze tak bywa, niezależnie od stron świata, że fortuna nie sprzyja wielkim talentom. Chyba że jest to właśnie talent powiększania fortuny.

Saonasz mieszkał w małej lepiance, której wewnątrz stanowiło tylko wspomnienie bogactwa. Owszem, ujrzałem tam dywany i naczynia malowane w kreteńskie i mykeńskie wzory. Tylko że tkaniny były mocno już wytarte, a naczynia gliniane, poobtłukiwane.

Sam Saonasz był człowiekiem starym i schorowanym. Znał całe Wielkie Morze jak swe małe obejście. Pływał poza Słupy Herkulesa i poza Bosfor, znał wąskie gardło Scylli i Charybdy i zdradliwe wiatry u brzegów skalistych. Zaczynał jako chłopiec na okręcie. Najpierw pomagał żeglarzom, potem stawiał żagle, pilnował steru, a wreszcie został nawigatorem. Dorobił się – i sam miał okręty, sam angażował dowódców, sterników i żeglarzy. Podczas którejś burzy okręty potonęły, fortuna nagle się skurczyła i znów poszedł na morze. Uważano, że już jest za stary, aby prowadzić okręt, ale jego znajomość różnych szlaków morskich sprawiała, że brano go jako przewodnika, gdy wybierano się na obszary mało znane, trudne do manewrowania żaglem i wiosłem. Raz nie udało się – czy to wiatr spadł nagle na żagle, czy wir jakiś uderzył o burty – dość że okręt wiozący cynę i miedź poszedł na dno. Od tego czasu kupcy z Ugarit przestali korzystać z pomocy starego Saonasza. Mówiono, że już niedowidzi, że zapomniał, gdzie mielizny, gdzie rafy. Wreszcie poszła plotka, że przynosi nieszczęście. Kto wie – może puścili tę plotkę młodzi szyprowie, którym zdolności nawigacyjne starego były od dawna solą w oku? Dość że Saonasz przestał pływać.

Ostatni rejs odbył na Morze Niegościnnie. Wrócił schorowany i pozostał w domu.

Nasze przybycie najwyraźniej go uradowało.

– Czy trafiłbym tam jeszcze? Ależ oczywiście! Dobrze poznałem drogę do Kolchidy i na Taurydę, ale kraj to dziki i taki, jak morze – niegościnnie. Wyruszył tam kiedyś wasz ziomek, Jazon. Nie on był jednak pierwszy na tych wodach i nie ostatni.

To tylko Achajowie stronili od tego morza, ugaryccy kupcy od-
wiedzali je częściej. Przeszkadzają tam żegludze przeciwne wia-
try, które wieją od Bosforu Kimmeryjskiego.

– A co jest za Bosforem Kimmeryjskim? – spytał Orest.

– Znów inne morze, ale tam nikt dotąd nie dotarł, w każdym
razie o nikim takim nie słyszałem. Opowiadają natomiast, że za
tym morzem jest jeszcze jedna cieśnina. Dokąd ona prowadzi,
nikt tego nie zbadał. Dziwne również rzeczy plotą o tamtejszych
ludach. To pewne, że nad Bosforem Kimmeryjskim spotkać moż-
na Amazonki, a dalej – może i kraj centaurów. Nie wiem.

– A Kolchida? A Tauryda?

– Kolchida znajduje się na prawo od Bosforu Kimmeryjskie-
go, Tauryda zaś na lewo. Kolchida to zielony kraj u stóp niebo-
siężnych gór. A Tauryda to niemal wyspa, płyciznami jedynie
oddzielona od lądu. Ku kontynentowi – płaska; ale ku morzu
otwartemu – górzysta, kończąca się urwistymi skałami. Stąd i
zdanie żeglarzy, że gniazdo Taurów wśród skał leży. Skałami
otoczone jak murami. Nikt go nie zdobędzie.

– Czy to prawda, że każdego przybysza czeka tam śmierć?

– Tak mówią ci, którzy nie chcą, aby ich szlakiem popłynął
ktokolwiek inny. Plotą o wirach morskich, o węzach olbrzymach i
o złym ludzie mordującym przybyszów.

– A to nieprawda? – pytał dalej Orest.

– Prawda i nieprawda. Śmierć może spotkać żeglarza koło
Tyru, może i u brzegów Taurydy. Wszędzie czyhają jednakowe
niebezpieczeństwa – wicher, sztormowa fala, rafy... Rzecz tylko w
tym, że przez większą część roku wieją na Morzu Niegościnnym
przeciwne nam wiatry i stąd wzięła się jego nazwa. Płynąć trzeba

tam późną wiosną, a wracać – najdalej wczesną jesienią. Najkrótsza droga na Taurydę z Bosforu Trackiego wiedzie wprost, ale ja bym nie radził tamtędy płynąć. Już raczej skierować się na wschód i pod osłoną brzegów żeglować aż do Bosforu Kimmeryjskiego. A dalej widać już Taurydę. Znam po drodze miejsca, gdzie można zawinąć, naprawić okręty, kupić żywność. Jeżeli chcecie tam płynąć, radziłbym jednak wybrać się w dwa okręty. Zawsze to pewniej.

– Które okręty trzymają się tam lepiej na fali? Tutejsze czy achajskie?

– Pochodzę z tych stron i szkutników spod gór Libanu uważam za najlepszych. To mistrzowie nad mistrzami. W Achajskich nie ma. Zresztą, byłem w porcie i widziałem wasz statek. Nie ma on kształtu achajskiego. Zbudowali go budowniczowie z tych stron.

– Tak, to prawda.

– Bardziej on do walki przysposobiony niż do przewozu towarów. W dzisiejszych czasach może to zaleta – ujdzie niejednej pogoni. Jak go nazywacie?

– „Mykeny” – odpowiedział cicho Orest.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałem to miano, wydawało mi się bowiem, że okręt Oresta nie ma nazwy. Ale miał nazwę i w nazwie tej zawarty był cały ból i cała tęsknota wygnania. Pozbawiony swych kamiennych Myken w Argolidzie, stworzył sobie ich drewnianą replikę i te jego drewniane „Mykeny” miały go doprowadzić kiedyś do Lwiej Bramy w grodzie Agamemnona.

– „Mykeny” – powtórzył w zamyśleniu Saonasz. – Byłem tam, zanim jeszcze Achajowie

ruszyli pod Troję, byłem w czasie, gdy toczył się bój o święty Iliion i byłem niedawno. To był kiedyś potężny gród o dobrej sławie. Dziś to tylko wspomnienie, a prawy dziedzic tronu błąka się gdzieś po świecie.

– Jam jest tym dziedzicem – odezwał się nagle Orest.

Zdziwiłem się, bo nie miał zamiaru odkrywać jeszcze, kim jest naprawdę.

– Jesteś, panie, synem Agamemnona? – Saonasz podniósł się z ławy i spoglądał chwilę zmieszany na Oresta i na mnie, po czym schylił czoło i przyklęknął na jedno kolano w poddańczym pokłonie. – Bądź więc pozdrowiony w lichym domostwie Saonasza! To z polecenia twego ojca, panie, Agamemnona, popłynąłem pierwszy raz na Taurydę.

– Wstań, Saonasz! Tak, ja jestem synem Agamemnona, a obok oto siedzi syn króla Fokidy – Pylad. Przyszliśmy do ciebie, abyś nam obu dopomógł dostać się na Taurydę. Ty jeden znasz drogę. O nikim innym, kto by tam był, nic nie słyszeliśmy.

– Pytaj więc, panie, dalej.

– Nie, nie chcę pytać. Chcę pomocy. Jedź z nami, Saonasz. Zaprowadź nas na Taurydę.

– Pozwól, panie, że zapytam o powód podróży.

– Są trzy powody, a dla tego trzeciego powinienes nam pomóc. Pierwszy jest taki, że tron Myken odzyskam, kiedy przywiozę z Taurydy posąg Złotej Bogini.

– Złotej Bogini z Efezu?

– Tej samej.

– Ależ to największa u nich świętość! To dla nich Wielka Matka!

– To Artemida, mój Saonasz, Artemida z Efezu. A miejsce Artemidy jest w Efezie, skąd ją porwano, lub w Achai.

Saonasz powoli podniósł się z klęczek i siadł znów na ławie. Był najwyraźniej zdumiony tym, co usłyszał.

– Nie obejdzie się bez walki, jeżeli chcecie zabrać Taurom ich Złotą Boginię.

– Jesteśmy na walkę przygotowani. Lękasz się walki?

– Nie. Nie lękam się ani podróży na Taurydę, ani walki z jej ludem. Ale to gra niebezpieczna. Nie wyjaśniłeś mi, panie, jeszcze drugiego powodu wyprawy.

– Na Taurydzie jest moja siostra, Ifigenia.

– Prawda to – skinął głową. – Wiem o tym, bo sam ją wiozłem kiedyś z Aulidy na Taurydę. Była w śmiertelnym niebezpieczeństwie i to ją ocaliło. A w zamian za Złotą Boginię z Efezu i za jej kapłankę, bo za taką uznali Taurowie córkę Agamemnona – Achajowie mogli być pewni, że z obszaru Morza Niegościnnego nikt nie pójdzie w pomoc ginącej Troi. A trzeci powód? Ten, dla którego powinienem pomóc wam, szlachetni panowie, w wyprawie na Taurydę?

– Trzeci powód jest taki: za kilka lub kilkanaście dni umrze miasto Ugarit i wszyscy jego mieszkańcy. Prócz ciebie, Saonasz, jeżeli odpłyniesz na moim okręcie.

– Mówisz, panie, że umrzeć ma Ugarit, tak wielkie i warowne miasto?

– Troja była także wielkim i warownym miastem, Saonasz.

– Ale Troja broniła się przez wiele lat i gdyby nie podstęp Odysa z drewnianym koniem, nigdy by nie padła.

– Gdyby takiego podstępu użyto w pierwsze dni oblężenia, nie zginęłoby tylu dzielnych wojowników Achai. Tak sądzę.

– Któż zadać ma cios śmiertelny miastu Ugarit? Czy zjawi się tutaj jakiś nowy drewniany koń?

– Ludy morza, które dziś stoją już u wrót Ugarit, na brzegach Cypru, zdobędą to miasto.

– Za trzy dni ruszają na Cypr, przeciw piratom, wojenne okręty z Ugarit!

– Jesteś tego pewny?

– Tak, nawet namawiano mnie na tę wyprawę, ale odpowiedziałem odmownie.

– I słusznie uczyniłeś, Saonasz. Za tydzień, za dwa umrze Ugarit i zginie jego potęga, jak umarło kiedyś Knossos. To ja ci mówię. Ja, Orest, syn króla królów, Agamemnona. Wierzysz moim słowom?

Saonasz podniósł głowę i spojrzał kolejno w oczy Orestowi i mnie.

– Jeśli mówi mi o tym syn Agamemnona... – odpowiedział – z Ugarit nie zostanie nic prócz dawnej sławy. Ale nie żał mi Ugarit. Z tym miastem nic mnie już nie łączy. Wyrzucono mnie. Za stary byłem i za biedny. Nie było nikogo, kto by się za mną ujął. Jeśli ma zginąć Ugarit – niech ginie!

– A nasza podróż na Morze Niegościnnie?

– Zaprowadzę was na Taurydę, tak jak chcecie, i zdobędziecie Złotą Boginię. Zdobędziecie albo zginiecie – a ja z wami. Może będzie to ostatnia wielka wyprawa mego życia? Ale i tak niewiele już tego życia zostało w mej piersi. Przynajmniej, że – niezależnie od tego czy uda wam się nasza wyprawa, czy nie – pozwolicie zostać z wami. Nie chcę konać samotnie na

przedmieściu Ugarit, jak nie chciałbym konać na przedmieściu Myken. Rozumiecie mnie? Mniejszy kłopot, gdy traci się życie w sztormie albo w bitwie...

– Będziesz szanowany do śmierci, Saonasz, bez względu na to czy uda się nam zdobyć Złotą Boginię, czy nie. Będziesz szanowany w Argolidzie i Fokidzie. Nigdy ci twej pomocy nie zapomnimy – sypał obietnicami Orest, a ja zastanawiałem się, ile jest w tych jego przyrzeczeniach prawdy. Jego Mykeny były wciąż jeszcze za lasem, za górą, za morzem, a miastom Fokidy daleko było do przedmieść Ugarit. Doszedłem do wniosku, że czas na mnie. Ja także coś powinienem obiecać Saonaszowi w swoim imieniu.

– Przyrzekam ci, Saonasz, że w moim kraju przyjmą cię tak, jak na to zasługujesz.

Było to przyrzeczenie do niczego nie zobowiązujące, bo też sam nie byłem jeszcze pewny swojego losu. Czego mogłem oczekiwać po powrocie z Taurydy? Bardziej ceniłem miejsce pod słońcem w Argolidzie niż tron mojego ojca w Fokidzie. Ale gdyby los się do mnie uśmiechnął, z całą pewnością nie zapomniałbym o Saonasz. Gdyby los się do mnie uśmiechnął... A jeżeli się nie uśmiechnie?

– Twoja propozycja dwóch okrętów jest także do rozważenia – mówił dalej Orest, w pół do Saonasza, a w pół do siebie. – I chyba słuszne jest twoje zdanie, iż na wyprawę należałoby wziąć okręty o kształtach, jakie nadają im szkutnicy spod gór Libanu. Właśnie takie mają moje „Mykeny”.

– Ten drugi okręt nazwalibyśmy „Strzałą Artemidy”, aby sama bogini opiekowała się naszą wyprawą! – wypaliłem, a Orest spojrział na mnie z dużą wyrozumiałością.

– „Strzała Artemidy” albo „Złote Runo” – wszystko jedno. Byle był to okręt lotny i zwrotny – uzupełnił moją wypowiedź. – Zbudujemy go lub kupimy, a może zdobędziemy. Wodzem tego drugiego okrętu będzie Pylad z Fokidy, ale ty, Saonasz, pokierujesz żaglowcem na morzu.

Sprytnie to sobie obmyślił Orest. Nie oponowałem, bo była to propozycja nie do odrzucenia. Ja z moimi wojownikami na „Strzale Artemidy”, razem z pilotem wyprawy Saonaszem, no i oczywiście razem z Nikotele. A on na „Mykenach”. Ale ba, tymczasem mieliśmy jeszcze tylko jeden żaglowiec i znajdowaliśmy się w Ugarit grając rolę kupców.

– Czy mógłbyś wyruszyć z nami zaraz? – zapytał nagle Orest.

W oczach Saonasza dostrzegłem zdziwienie.

– Zaraz? – powtórzył nie rozumiejąc, co to oznacza. – W tym tygodniu? Jutro?

– Jeszcze dzisiaj. Nasz okręt stoi w porcie. Widziałeś go. Musimy wyruszyć zaraz, gdyż teraz każdy dzień zwłoki grozi katastrofą. Ugarit wkrótce umrze. Znasz zapewne ludzi morza z Cypru. Kiedy przyjdą tu, zostawią ruiny i zgliszcza.

Nie, nie wierzyłem tym słowom. Ugarit wydawało mi się zbyt potężne, aby armia rozbójników uporała się w tak krótkim czasie z tą fortecą.

Saonasz mi zaimponował. Podniósł się, objął spojrzeniem swoją izbę, potem otrzepał z niewidzialnego kurzu swoje szaty, wyprostował się i czyniąc nieokreślony ruch ręką, powiedział:

– Jestem gotowy! Nic nie wiąże mnie z tym miejscem.

Ze sobą nie wziął dosłownie nic.

Tego dnia odpłynął na okręcie Oresta.

A ja, razem z Nikotele i z moją gromadką wojowników, pozostałem w mieście, które miało umrzeć.

– Jesteś szalony! – zawyrokowała (tak zawsze zgodna i spokojna!) Nikotele, ale w duchu przyznałem jej rację. Po cóż zostałem tu i czekałem na powrót Oresta z flotą piratów, skoro mieliśmy już na pokładzie przewodnika? Być może Orest chciał kupić posłuszeństwo swej drużyny na daleką drogę i w tym celu niezbędne były łupy z Ugarit. To również prawda, że udział w łupach mógł nam ułatwić uzyskanie drugiego okrętu. Ale dlaczego właśnie ja miałem spełnić najtrudniejszą misję, ryzykując po stokroć głową?

Gdy „Mykeny” odbiły za pomocą wiosel od nabrzeża, gdy trapezoidalny purpurowy żagiel złapał wreszcie wiatr i gdy okręt oddalił się tak daleko, że stał się punkikiem w miejscu, gdzie niebo styka się z morzem, powtórzyłem wówczas za Nikotele: „Jesteś szalony, Pyladzie!”

Byłem szalony, gdy razem z Orestem wyruszałem, aby pomóc mu w odzyskaniu tronu, gdy godziłem się na tę wyprawę po Złotą Boginię, gdy przystałem na spełnienie misji powierzonej nam przez pirackich władców z wyspy Cypr. Ale cofać się dziś było za późno.

W trzy dni potem okręty wojenne Ugarit wyruszyły na Cypr, aby dopaść i zniszczyć piratów w ich leżach. Nie, nie mieli – jak z tego wynikało – genialnych dowódców w tym wspaniałym mieście, gdzie moźnym pycha odebrała rozum. Całą noc poprzedzającą wyprawę płonęły ognie w świątyniach i snuł się dym kadzi-deł pomieszany z zapachem spalonego ciała. Składano ofiary Asztarte i Baalowi – może jagniątko, a może niewolników.

Nie wiem. Nie obchodziło mnie to. Kazałem moim wojom – udającym służących – nie pokazywać się w mieście, a i sam z Nikotele siedziałem cicho, nasłuchując każdego hałasu przed domem. Nie wiedziałem, jak powinienem się zachować, gdyby po mnie przyszli podejrzewając o szpiegostwo. Wiedziałem, że w razie ujęcia nas żywcem czekałaby mnie śmierć w czasie tortur, o jakich w Achai nawet nie sądzono, że istnieją. Ten sam los czekałby Nikotele i moich ludzi.

Kupiec, u którego mieszkałem, pytał mnie dwukrotnie, czy jestem pewny, że mój nawigator (miał na myśli Oresta) wróci z ładunkiem żelaznych toporów. Odpowiadałem z taką pewnością siebie, że aż sam zacząłem w to wierzyć. Jest to zresztą jedyny sposób, aby wytrwać w kłamstwie – wierzyć w nie samemu. Kto wie, czy gdyby nawet zastosowano wobec mnie tortury, nie mówiłbym nic innego, jak tylko to, że Orest jest już w drodze, wioząc do Ugarit żelazne topory, a ja, kupiec z Fokidy, nigdy nie miałem nic wspólnego z piratami.

Na całe szczęście ta moja umiejętność oszukiwania nie została nigdy sprawdzona w ogniowej próbie. Po prostu Ugarit było tak dalece zajęte wyprawą przeciw piratom, że zlekceważyło nędznego kupczyka z Achai. A nędzny kupczyk – czyli ja – był z tego ogromnie rad.

Siedemnastego dnia od odpłynięcia Oresta, a czternastego od czasu, gdy flota z Ugarit ruszyła przeciw piratom, zjawił się u mnie żebrak, w którym rozpoznałem jednego z ludzi Oresta. To on przyniósł mi wiadomość, której nadejścia oczekiwałem – dziś w nocy rozpocznie się atak! Znakiem rozpoznawczym piratów były symbole słońca – krzyże ukośne namalowane ochrą na obu

policzkach. Każdego, kogo spotka się tej nocy z takim znakiem, należało oszczędzić.

A więc nadszedł czas wielkiej próby. Ochrę mieliśmy już zawczasu przygotowaną, nie wiedzieliśmy tylko, czy znakiem rozpoznawczym będzie koło, krzyż czy trójkąt. Teraz zaznaczyliśmy policzki znakiem ukośnego krzyża. Moi ludzie wyciągnęli z ukrycia włócznie, topory i miecze. Przygotowali także drabiny sznurowe, które należało w kilku miejscach przerzucić przez mury. Przed zmierzchem dwóch wojowników udało się do bramy wschodniej, a dwóch do bramy portu – mieliśmy tam bowiem przekupionych ludzi. Nie wszystko poszło tak, jak się spodziewałem. Ci, których przekupiliśmy przy bramie głównej, odmówili wykonania zadania. Doszło nawet do walki i obaj moi ludzie zginęli. Walka ta wyostrzyła czujność straży, ale strażników nie było wielu – większość wojowników ugaryckich popłynęła przeciwko piratom. Inni przekupieni przez nas ludzie w porcie na wieść, że nadszedł czas ataku, po prostu opuścili posterunki i uciekli z rodzinami z miasta. Rozumowali słusznie, że gdy do miasta wdrą się piraci, nie będą tutejszej ludności dzielić na przyjaciół i nieprzyjaciół. Kto wie, czy nie dali się przekupić tylko w tym celu, żeby zawczasu uciec z miasta?

O wyznaczonej porze nocy, moi ludzie zapalili w porcie stos smolnego drewna, od którego zajął się dach jakiegoś składu. Na nabrzeżu wybuchła panika, jednak bardzo szybko zjawił się oddział straży i ogień ugasił, lecz w tym czasie już w dwóch miejscach piraci z Cypru przeszli mury zewnętrzne. Oddział straży po ugaszeniu pożaru wszczął poszukiwanie podpalaczy i ktoś

wskazał im dom, w którym zamieszkiwaliśmy.

To musiało kiedyś nastąpić. Nasz pobyt zwracał przecież uwagę, nawet jeśli zachowywaliśmy się jak najspokojniej. Gdyby jednak stało się to wcześniej, los miasta nie byłby wprawdzie tak straszny, lecz ja nie mógłbym liczyć na pomoc. Teraz, gdy usłyszałem łomot do drzwi, sięgnąłem po włócznię, a moi wojownicy – udający dotąd służbę – przyjęli to jako sygnał do walki. Strażnicy dość prędko uporali się z drzwiami, ale ci, którzy pierwsi przekroczyli próg, legli tam, brocząc obficie krwią. Inni cofnęli się, zaskoczeni atakiem, a to rozzuchwaliło moich ludzi. Z bojowym okrzykiem runęli na przeciwników, zadając rany i tratując przewróconych.

W porcie były już dziesiątki ludzi morza z Cypru. Znowu buchnęły tu i tam płomienie oświetlając cały brzeg i część morza. Ale płomieni tych nikt nie gasił. W porcie pojawiły się statki rozbójników. Ubiegłej nocy zapewne dobiły one gdzieś do brzegów w pobliżu Ugarit, przez cały dzień trzymały się w ukryciu u skał nadbrzeżnych, a teraz oto rozpoczynały atak. W świetle pożarów wychodziły z mroków nocy, jakby zrodzone z fal morskich. Na czele ich szły „Mykeny”.

Zrozumiałem wówczas, że Orest przyjął na siebie pokierowanie atakiem na port, aby prędzej spotkać się ze mną. Znakiem rozpoznawczym był krzyż malowany ochrą na obu policzkach, ale w miarę jak walka miała ogarnąć ulice miasta, a żądza zbrodni rozpalić nieokiełzane, złaknione krwi serca piratów, znaki mogły przestać się liczyć.

Walka toczyła się już w samym mieście, w jego wąskich

ulicach, w mieszkaniach, w kramach, na bazarze, w świątyniach. Wprost wierzyć się nie chciało, że tak szybko ludzie morza opanowywali cały ten gród – tak warowny i tak wspaniały. W blasku pożarów można było widzieć, jak przez mury przechodziły wciąż nowe gromady zbrojnych, z okrzykiem skaczące wprost w wir walki. Wyglądało to tak, jakby wędrująca lawina mrówek waliła się na śpiącego bawołu i pożerała go żywcem, mimo że wierzgał, rzucał się i bódł. Cóż mogą jednak zdziałać rogi bawołu przeciw dziesiątkom tysięcy małych stworzeń wdzierających się w uszy, w nozdrza, wyjadających jego oczy? Po chwili stanie się już tylko ślepą bryłą krwawiącego mięsa, bryłą pokrytą szczelnie żywym całunem robactwa. W jakiś czas potem w miejscu gdzie był bawół, widnieć będą tylko jego zbielełe kości...

– Witaj, Pyladzie! – mówił Orest ściskając mnie w ramionach. – Nie masz pojęcia, jak bardzo bałem się o ciebie, pozostawionego samotnie w tym gnieździe węży!

Chciałem sprostować, że przecież nie byłem samotny, bo z Nikotele i moimi wojownikami, ale ani Nikotele, ani moi wojownicy zapewne go nie obchodzili. Uściskałem go więc równie serdecznie i wróciłem do domu kupca, gdzie zostawiłem Nikotele. I tu potwierdziły się obawy tych, którzy opuścili zawczasu Ugarit. Dom szturmowali piraci, a Nikotele i moi włócznicy wiedli rozpaczliwy bój z nacierającymi. Kilku piratów i kilku moich ludzi leżało już w kałużach krwi na ziemi. Znaki czynione ochrą nie obroniły ich.

Runęliśmy z załogą Oresta na napastników i wymietliśmy ich z izby i korytarzy.

– Idźcie na okręt, na „Mykeny”! – krzyknął do mnie Orest.

Porwałem za rękę Nikotele, aby pociągnąć ją za sobą, ale wyrwała mi się. Wołała iść koło mnie sama, trzymając w dłoniach broń, niż ochraniać tylko moją włócznią i moim mieczem. No cóż, w tej sytuacji miała chyba rację. Pobiegliśmy więc z częścią mojej drużyny do zacumowanego u nabrzeża okrętu. Powitał nas tam aoid Amintor i dał łyknać wina. Huragan natarcia szedł koło nas – z lądu, z morza, brakowało jeszcze, aby nadleciał z nieba.

– Tak musiała wyglądać Troja – powiedział Amintor, kreśląc dłonią półkole. – Troja w ostatnim dniu oblężenia, gdy Achajowie wyszli z drewnianego konia.

Przyznałem mu w duchu rację, ale nic nie odrzekłem. Pragnąłem, aby jak najszybciej nastąpił już koniec Ugarit.

Staliśmy z Nikotele spleceni w bezwiednym uścisku, który z mej strony był gestem obronnym wobec mojej kobiety, podczas gdy w jej geście był strach i chęć znalezienia bezpieczeństwa u mego boku. Z Amazonki zamieniła się w zwykłą achajską żonę, dzielącą z mężem trud wspólnego życia i gotowość wspólnej śmierci. Jej dzielność tam, na lądzie, gdy dom, w którym przebywała, szturmowali piraci, była także odruchem. Kobiety z Fokidy potrafiły władać włóczniami, kiedy zaszła tego potrzeba. Teraz Nikotele odłożyła włócznię i złożyła ją pod drewnianą balustradą statku.

Płomienie pożaru skąpały wody portu w czerwieni, jakby zamiast wody morskiej falowała tu krew. To nie było tylko złudzenie – tego dnia krew obficie spłynęła do morza.

Orest, część jego załogi i część moich włóczników – pognali

w głąb tego bitewnego wiru. Może szukali łupów, a może po prostu pragnęli krwi. Widziałem w oczach tych, którzy zostali na okręcie, ten sam zew mordy, jaki obserwowałem w ślepiach wilków atakujących owce na zboczach gór Fokidy. Raz po raz któryś z wojowników nie wytrzymał, chwycił miecz, topór lub włócznię i biegł przed siebie w kierunku miasta, gdzie strzelały ku niebu wielkie słupy ognia. Z tych płomieni powstał wicher, który nagle zaczął szarpać olinowaniem, tarosić zwinięte płachty żagli i kołysać kadłuby okrętów i łodzi zacumowanych u brzegów.

– Czy słyszysz ten krzyk? – spytała mnie nagle Nikotele, tuląc się cała do mnie, aż pod suknią jej i płaszczem wyczułem bardzo wyraźnie kształt jej bioder, nóg, piersi...

– Jaki krzyk? – spytałem, huk pożaru połąkł bowiem wszystkie inne odgłosy, nawet szczęk mieczy i łomot toporów o tarcze. Ale oto usłyszałem. Poprzez grzmot pożaru przedzierały się pojedyncze krzyki tak przeraźliwe, że zdziwiłem się, iż nie usłyszałem ich przedtem. Tych krzyków nic nie mogło zdusić. To krzyczały matki, żony i córki ugaryckie, które gwałcono i mordowano w świątyniach i kramach bazaru, na ulicach i podwórcach.

Nikotele zaczęła drżeć.

– Dlaczego tu mnie przywiozłeś? Dlaczego musimy to oglądać? – powiedziała szlochając.

Odwróciła twarz od ginącego miasta, tuląc się do moich piersi i zamykając oczy.

Amintor i Saonasz poszli na sam koniec galeryjki i słyszałem, jak mówili ze sobą coś o tym, że flota z Ugarit krąży teraz właśnie wokół Cypru, szukając piratów, i że manewru zastosowanego pod Ugarit nie uda się już powtórzyć ani pod Berytos, ani pod

Sydonem, ani Byblos,.. Pociągnąłem Nikotele w drugi koniec galeryjki i mimo że noc była ciepła, otuliłem szczelnie wełnianymi okryciami, które wzięliśmy z ojczystej Fokidy. Pocałowałem ją w policzek, prosząc, aby nie patrzyła na śmierć miasta. Ale na wargach poczułem gorycz farby, którą na policzkach namalowała Nikotele symbol słońca – krzyż, znak rozpoznawczy piratów. To uświadomiło mi nagle, że chociaż z daleka od rzezi – jesteśmy jej sprawcami i jej uczestnikami. Przyklęknąłem nad nią i spojrzałem na jej twarz umazaną sadzą z pożaru i ochrą. Nie mogłem w tej twarzy rozpoznać mojej Nikotele.

– Nie patrz tak na mnie, Pyl. Nie patrz.

Co mogłem jej odpowiedzieć? Pogładziłem jej policzki, ale wówczas moje palce natrafiły na wilgoć łez i wymalowały na jej twarzy, sadzą i ochrą, jakieś tajemne znaki.

– Zamknij oczy – poprosiła.

Uczyniłem to.

Wtedy poczułem jej dłonie na swym karku i smak jej warg na swoich wargach, już bez goryczy łez, sadzy i farby. Pociągnęła mnie ku sobie, a ja odczułem to, jakbym walił się z wysokiej góry, na której szczyt potrafi wlatywać tylko orzeł, w przepaść. Huk pożaru miasta zamienił się nagle w szum fal przyboju i zgłuszył krzyki mordowanych. A może krzyki te wydały mi się wówczas głosami mew krążących nad Zatoką Korynecką?

Może był to znak gniewu bogów? Ale pod koniec tej nocy spadł nagle gwałtowny wicher od strony morza, rozdmuchał zgliszcza i jeszcze bardziej rozszerzył pożary. Jednocześnie rozkołysało się morze i wiele statków potonęło. Flota ugarycka, która błąkała się wokół Cypru, została przez sztorm rozpedzona,

zniszczona. Gdy wreszcie pojedyncze okręty zjawiły się u wrót portu, powitały ich ruiny i trupi odór. Miasto oblegały sępy i szczury. Komu udało się ująć z życiem z rzezi, ten zginął od ciosów krzywych noży koczowników, którzy nadciągnęli z głębi pustyni syryjskich. Co nie rozkradli piraci, rozgrabiły włóczące się po szlakach watahy rozbójników z gór Libanu.

Żeglarze ugaryccy, którzy wrócili do ruin, zginęli także. Śmierć zagościła na dobre na tym miejscu i nigdy już nikt nie osiedlił się w ruinach Ugarit.

Orest uzyskał bogate łupy, ale przede wszystkim ów Suppiluljamasz, którego imię tak trudno zapamiętać i powtórzyć, dotrzymał danego słowa i wynagrodził naszą pomoc w zdobyciu miasta. Nagrodą tą był ugarycki okręt. Teraz już mogliśmy podjąć wyprawę na Taurydę.

Nie pytałem Oresta o to, co czynił owej nocy, gdy umierało Ugarit, a on sam nie chciał o tym mówić. Bąknął coś, że gdy usiłował sobie cokolwiek później przypomnieć, widział tylko przed oczami purpurową mgłę. Rozumiałem go. Wrócił ze wzrokiem człowieka szalonego, unurzany we krwi. Podobnie wyglądali jego żeglarze – wojownicy. Zresztą wielu poległo, również i z mojej drużyny nie wszyscy przeżyli zagładę miasta.

Czy było to potrzebne? Sądzę, że nie. Saonaszka wzięlibyśmy na okręt bez uczestniczenia w tej rzezi. Ale musiało się to odbyć – nie dla złota na wyprawę, nie dla nowego okrętu, ale dlatego że Orest i jego ludzie łaknęli krwi. Stali się gromadą wilków, którym szybko zbrzydnie najlepsza karma wydzielana jak psom. Musieli

zabijać. To straszne, co mówię, ale jest w tym prawda tych czasów, które następowały od złupienia Knossos, od spalenia Troi. Mówiłem już, że żadne miasto nadmorskie nie czuło się wówczas bezpieczne, żadna droga nie gwarantowała, że doprowadzi do celu. Co znaczyłem w tym świecie ja ze swoimi widmami, które zaczęły mnie nawiedzać od owej nocy? Co znaczyły ciepłe ramiona Nikotele, która mnie i sobie ofiarować pragnęła zapomnienie?

Orest dostał wkrótce ataku swej dziwnej choroby. Na szczęście zdarzyło się to z dala od oczu ciekawych. Wił się w bólach, krzyczał, a na wargi wystąpiła mu piana. Z jego urwanych okrzyków zrozumiałem dwa słowa, które już od niego usłyszałem poprzednio – „purpurowa mgła”...

Nikotele gorąco odradzała mi dalsze wiązanie się z Orestem. Miałem żal o to do niej, ponieważ tam, u brzegów Achai, sama, bez niczyich namów, a nawet wbrew naszym zakazom, wdarła się na pokład drewnianych „Myken”. Wiedziała, że Orest jest moim serdecznym przyjacielem i że zobowiązałem się towarzyszyć mu w tej wyprawie. Twierdziła jednak, że fakt pozostawienia mnie w Ugarit i narażenia na śmierć – zobowiązanie to przekreślił. Ba, niedwuznacznie przypominała, że nie wszyscy wierzą w to, jakoby Orest wyszedł z Myken niewinny. Czy mógłbym przysiąc przed ołtarzem bogów, że Orest nie zabił w Mykenach swej matki, skoro nie widziałem jej mordercy? Były to niktzemne zarzuty i w innej sytuacji kto wie, jak bym na nie odpowiedział. Byliśmy jednak wówczas już na morzu, mieliśmy z prawej burty brzegi

Azji i nie pragnęliśmy nawet zbliżyć się do brzegów Achai.

Później Nikotele nie poruszała już nigdy więcej tej sprawy, najwidoczniej godząc się z sytuacją, niekiedy jednak skarżyła się, że w snach nawiedza ją widmo ginącego Ugarit. Żartowałem wtedy z niej, bałem się bowiem przyznać, że i ja mam podobne sny.

Ale przyszła noc, gdy w moich snach pojawił się nagle posąg Złotej Bogini. I od tego czasu widmo Ugarit nie ukazało mi się już więcej.

5. Widma

– Morze Niegościnne – to nazwa achajska – mówił Saonasz do mnie, patrząc na dalekie zarysy lądu. Szliśmy jeszcze w pobliżu lądu azjatyckiego i do morza, o którym opowiadał, mieliśmy daleko. To jednak naturalne, że im bliżej byliśmy Bosforu, tym częściej w naszych rozmowach pojawiała się Niegościnne Morze.

– A jak się ono nazywa u was? – zapytałem. – Jak mianują je żeglarze z Sydonu, Bery tu, Tyru?

– Nazywa się ono Achszaenas, czyli Morze Czarne. Po waszem Melas Pontos. Przekonacie się zresztą sami, jak bardzo różni się ono od waszych wód kolorem fal i barwą nieba, a przede wszystkim ogromem pustej powierzchni, na której nie znajdziecie ani jednej wyspy. Trochę ich, bardzo małych, zobaczyć można u samych wybrzeży. Stąd Tauryda jest tam lądem niezwykłym, przypomina bowiem wyspę. Zresztą – może i jest wyspą. Nie znam jednak nikogo, kto opłynąłby ją dookoła. Poza Taurydą,

gdzie żyją piraci nie mniej groźni od Achajów, i poza przylegającymi do Bosforu Kimmeryjskiego pustkowiami, gdzie grasują grupy Amazonek jeżdżących konno, strzelających trafnie z łuków i władających włócznieą, wybrzeża zamieszkują ludy gościnne.

– Skąd więc ta nazwa – Morze Niegościnne?

– Może z zazdrości, że ktoś inny mógłby tam popłynąć i nawiązać kontakty handlowe, a może z własnego doświadczenia? Po napadach bandy Jazona na Kolchidę poszła nazwa Morze Gościnne. Tak zwali je i Trojanie. Ale w tej nazwie nie było prawdy. Trojanie jednak prowadzili handel z wszystkimi krajami nad tym morzem i stąd brało się ich bogactwo. Achajowie pozazdrościli im nie tej wspaniałej pozycji nad wielką drogą morską, ale samych bogactw. Wybacz, panie, że mówię to do ciebie, syna królewskiego z Achai, ale zadziwia mnie brak rozsądku wodzów achajskich. Osiągnąć takie zwycięstwo pod Troją, okupione tak ciężkimi stratami i stracić wszystkie zdobycze! Brali złoto i niewolników – jak dzicy piraci z Cyrenajki – zamiast odbudować Troję i przejąć rolę Trojan w handlu między krajami nad Morzem Czarnym a Achają, krajem faraonów i miastami u stóp Libanu. Ale wy nie lubicie handlu, wolicie zabierać orężem to, co inni zdobywają pracą.

– A jednak popłynąłeś z nami.

– Uratowaliście mi nie tylko życie, ale wzięliście z sobą na morze. Dla żeglarza nie ma życia na lądzie. Żeglarz, nawet schorowany starzec, kiedy znajdzie się na pokładzie okrętu, staje się młodzieńcem. Chciałbym umrzeć na morzu i chciałbym, aby moje ciało spoczęło w głębinach, w rajskich ogrodach, jakie rosną tam,

na dnie. Gdy byłem młody, świetnie pływałem i nurkowałem. Zazdrościłem wówczas rybom, że ich świat jest taki piękny i pragnąłem jak najdłużej przebywać wśród wodorostów i skał kolorowych. Niestety, brakowało wkrótce powietrza i zaczynało szumieć w uszach. Trzeba było wracać na powierzchnię. Gdy umrę, zostanę tam na zawsze.

– Mówią, że głębiny zamieszkują stwory podobne do ludzi.

– To tylko baśnie. Stwory zamieszkujące głębiny są szlachetniejsze od ludzi. Zabijają, gdy potrzebują pożywienia, a nie dla złota lub pereł. To prawda, nie lubią tam ludzi i niełatwo zdobyć ich przyjaźń. Ale gdy się ją zdobędzie, nie ma serdeczniejszych druhów. W miejscu gdzie się urodziłem, nad brzegiem morza, ojciec mój był bowiem rybakiem, harcowało zawsze stado delfinów. Zawarłem z nimi wkrótce przyjaźń i spędzałem całe dni na zabawie. Dwa razy uratowały mnie od śmierci. Dość łatwo bowiem rozumiały, że zbyt długo nie mogę być pod wodą. Jaka szkoda, że nie urodziłem się delfinem.

Płynęliśmy pod żaglem, mając tak korzystny wiatr, że nie było sensu pomagać wiosłami. Okręt nasz był nieco większy od żaglowca Oresta, ale podobnej konstrukcji, odmiennej nieco niż czarne okręty Achajów. Nazwałem go „Strzała Artemidy”, choć Orest obstawał, aby nadać mu miano „Złote Runo”. Miał zadartą rufę i niski, zakończony ostrogą dziób, którym mogliśmy z łatwością rozbić każdy wraży okręt. Zdaniem Saonasa jego portem macierzystym musiał być kiedyś Tyr, znalazł bowiem w konstrukcji kadłuba i w ozdobach pewne charakterystyczne cechy, które miały świadczyć o tym. Nie posiadał też po obu stronach

dziobu oczu, które malowali zawsze na burtach swych okrętów Achajowie. To malowidło dodaliśmy jeszcze przed wyruszeniem w rejs, domagali się go bowiem nasi żeglarze. Każdy marynarz uważa statek, na którym pływa, za żywą istotę, oczy te mają więc wypatrzeć niebezpieczeństwo, gdyby wachtowy na dziobie i dwaj sternicy – zasnęli. Życie nauczyło mnie podchodzić z rezerwą do tych zasad, uważałem bowiem, że bogowie strzegą najlepiej uważnego i pomagają dzielonym, ale nie znaczy to, że nie chodziłem do wyroczni i nie radziłem się wróżek albo nie składałem ofiar, gdy czułem lodowaty strach na grzbiecie.

W niewielkiej odległości za nami szedł okręt Oresta, jego drewniane „Mykeny”. Zastanawiałem się, czy to, że mój okręt puścił przodem, było z jego strony jakimś wybiegiem, jakąś grą, czy też było to tak normalne i zwykłe – jak fakt, że na „Strzale Artemidy” pilotował wyprawie Saonasz. Ale przecież każdy odcinek drogi uzgadnialiśmy dokładnie razem, mógł więc Orest płynąć przodem, tym bardziej iż miał tak znakomitego sternika jak ów Hetyta o imieniu Hattasz. Nikotele, która przyjęła zdecydowanie wrogą postawę wobec Oresta, zwłaszcza od czasu gdy pozostawił nas w Ugarit, uważała każdą jego decyzję za podstęp mający mnie zgubić. „Strzała Artemidy” szła dlatego pierwsza twierdziła – bo jej katastrofa mogła ostrzec „Mykeny” przed podwodnymi rafami lub mieliznami. A w razie napadu piratów, na nas miał skupić się główny atak nieprzyjaciół. Śmiałem się z tych jej uwag, ale gdzieś tam, na dnie mej duszy zasiała jednak pewien niepokój. Bałem się jedynie, że Orest spostrzeże ten jej

stosunek do niego, usłyszysz te jej szept, zauważysz złe spojrzenia, a tego nie chciałem. Był dalej moim przyjacielem. Mimo wszystko. Na szczęście Orest nie zwracał na nią najmniejszej uwagi; albo udawał, że nie obchodzi go jej osoba. Przy tym był chyba zadowolony, że pozbył się Nikotele z pokładu swego okrętu.

Płynęliśmy w dzień, nocą odpoczywając w zacisznych zatoczkach wybrzeży i przybrzeżnych wysp. Mieliśmy tam często owoce, prawie zawsze jakiś strumyk o krystalicznej wodzie i lasy, które dostarczały drewna do naprawy okrętów przed wejściem na Niegościnne Morze.

Moja „Strzała Artemidy” miała po dwanaście wiosł z każdej burty, „Mykeny” miały ich po dziesięć, lecz chyżością oba okręty niewiele się różniły. Załogi uzupełniliśmy na Cyprze, aby mieć dwie zmiany do wiosł, ale ludzi dobierał sam Orest, głównie szukając Achajów wśród ochotników. Wiosła były dobrze wyważone, sosnowe i na wszelki wypadek zabraliśmy kilka zapasowych. Również wzięliśmy z sobą zapasowe wiosła sterowe, których każdy z naszych okrętów miał po dwa – z każdej burty na rufie.

Pogoda była dobra. Raz tylko – w wąskiej cieśninie między stałym lądem a wyspą Chios dostaliśmy tak silne uderzenie wiatru w burtę i niedobrą, krótką falę, że musieliśmy niepokodę przecze-kać w jakiejś zatoczce.

Nie zdarzyło się nam, aby mieszkańcy mijanych wybrzeży przyjęli nas nieprzychylnie lub próbowali zaatakować, choć, prawdę mówiąc, nie mogliśmy budzić zaufania. Czasem tylko na nasz widok pasterze pędzili stada w głąb lądu, aż ku niebu wzbijały się wysokie obłoki kurzu. Raz nawet natrafiliśmy na wioskę,

której mieszkańcy – widząc że lądujemy na brzegu – pozostawili dla nas dary, a sami zbiegli do lasu. Nie doszło jednak nigdzie do walki, co było i dobrą wróżbą, i co cieszyło nas także z tego powodu, że walka mogłaby uszczuplić nasze siły, a główne zadanie znajdowało się wciąż przed nami. I tak oto zbliżyliśmy się do wyspy Tenedos. Wyspa ta leży nie opodal miejsca, gdzie na cyplu lądu wznosiła swe mury Troja. Po długim daremnym oblężeniu Achajowie postanowili zdać wszystko w ręce słynącego z forteli Odysa. Za jego radą spalili obóz, pozostawili na brzegu drewnianego konia, a sami odpłynęli, kryjąc się za Tenedos. Rano Trojanie z radością spostrzegli, że obóz Achajów jest opuszczony i spopielały, a morze puste. Myśleli, że okręty Agamemnona zniknęły za horyzontem, w drodze do domu. Nikt nie przypuszczał, że cała flota przyczaiła się z drugiej strony wyspy, widocznej na horyzoncie niby grzbiet wielkiego zółwia. Drewnianego konia z triumfem wciągnęli do miasta i wyprawili prawdziwe święto zwycięstwa, nie żałując wina. Gdy Trojanie posnęli, z brzucha drewnianego konia wyszli Achajowie i opanowali Troję. A w tym czasie już cała flota Achajów opuściła brzegi Tenedos i lądowała w porcie. Zresztą znacie tę historię. Ilion runął w gruzy, a matki i córki trojańskie zwycięzcy podzielili między siebie.

Zarówno Orest, jak i ja – a sędzę, że wszyscy nasi żeglarze również – pragnęliśmy rzucić spojrzenie na Troję. Lecz byliśmy u brzegów, gdzie mieszkali dawniej sami przeciwnicy Achajów, a sprzymierzeńcy Troi – postanowiliśmy więc zachować ostrożność. Dlatego też nie wylądowaliśmy pod wieczór w dogodnym porcie, na wschód od ujścia rzeki Skamander, lecz znaleźliśmy

zaczisną zatokę u brzegów Tenedos. Kto wie, może tu właśnie stała w ów ostatni dzień wojny z Troją flota Agamemnona? Po-
stanowiliśmy zanocować, a rano odwiedzić ruiny grodu.

Wieczór zapadł dość szybko. Rozpaliliśmy ogniska, upiekli-
śmy barany, które wieźliśmy na statkach, obiecując sobie uzupeł-
nić prowiant, jeszcze zanim wejdziemy na Niegościnne Morze.
Orest polecił wydać swoim ludziom po kubku wina i ja uczyniłem
to samo w stosunku do mojej załogi. Przy jednym ognisku zasie-
dliśmy razem – Orest, ja z Nikotele, Saonasz, Hattasz, tłumacz
Damis (jedyiny zresztą, który znał sztukę pisania) i aoid Amintor.
Rozmowa nie kleiła się, jakby wszyscy czuli tego wieczoru obec-
ność widm dookoła – widm rycerzy achajskich i trojańskich,
widm wyrzniętych jeźdźców króla Rezosa – którego koniom nie
było dane napić się wody z rzeki Skamander – i widm nieszczę-
snych Trojanek, które zamordowano w płonącym mieście. Być
może patrzyli na nas tego wieczoru także bogowie; naradzając się
co z nami uczynić – pomóc czy też przeszkodzić w wypełnianiu
naszego zobowiązania? Jeżeli była wówczas wśród bogów Arte-
mida, nie wątpiłem, że jej serce bije zgodnie z naszymi. I jej zale-
żało chyba na tym, aby złoty posąg znalazł się znów wśród Acha-
jów, albo nawet w Efezie, zamiast na dalekim, obcym lądzie Tau-
rów.

Gdy zakąsiliśmy mięsiwem i popiliśmy winem – zresztą w
ilości nieco większej niż przypadło to na naszych żeglarzy, Orest
zwrócił się do aoida, aby zaśpiewał nam jeszcze raz o wyprawie
po złote runo. Było nie było – wchodziliśmy właśnie na ścieżkę,
którą wyruszyła banda Jazona ku Kolchidzie.

Głos aojda był tak piękny i tak wyrazisty, że wolałem, gdy śpiewał lub rytmicznie recytował bez żadnego akompaniamentu. Teraz także, ledwie zaczął – już wciągnął nas wszystkich w nastrój tej przedziwnej przygody, która wkrótce mogła stać się także naszym udziałem.

– Słuchajcie, dzielni wojownicy i dzielni żeglarze – zaczął Amintor i uciszyło się przy sąsiednich ogniskach. – Słuchajcie i rozważcie czyny wielkiego Jazona, który wyruszył do Kolchidy, aby odzyskać tron ojca, zacnego Ajsona i zapanować w Jolkos nad Zatoką Pagasyjską. Wyruszył on był do Kolchidy, jak dziś wyrusza Orest razem z Pyladem na Taurydę. Miał zza Morza Niegościnnego przywieźć do Jolkos złote runo. Mimo licznych niebezpieczeństw, dotarł do Kolchidy. Tam dokonał czynów mężnych i zdobył złote runo. I wrócił do rodzinnej ziemi ze swoją drużyną. I żyli wszyscy odtąd w szczęściu i bogactwie.

Sprytnie to aojd zamyślił, ukazując podobieństwo naszej wyprawy do wyprawy Jazona i już z góry przepowiadając nasze zwycięstwo i powrót, aby „żyć w szczęściu i bogactwie”. Nie wiem, czy było to dość przekonujące, by porwać słuchaczy przy ogniskach, ale przecież nie mieli innego wyboru, musieli przyjmować tę baśń jako proroctwo swego losu. Wrócił Jazon ze złotym runem z Kolchidy, czemu więc nie mogli oni wrócić ze Złotą Boginią z Taurydy? I my płynęliśmy do kraju barbarzyńskiego i my liczyliśmy przecież na spotkanie w skalistym gnieździe Taurów córę królewskiej Ifigenii, przebywającej tam od wielu, wielu lat w charakterze strażniczki posągu, cudownej, świętej dziewicy ofiarowanej Artemidzie, kapłanki zielonych wianków... A Jazon i

jego ludzie także pragnęli spotkać w Kolchidzie swoich ziomków.

Oto bowiem król beocki Atamas miał z jakąś boginią dwoje dzieci – Helle i Fryksosa. Kiedy poślubił królową Ino, ta, pragnąc pozbyć się pasierbów, namówiła starego Atamasa, aby dzieci złożył na ołtarzu ofiarnym – zarznął i spalił, jak zwykliśmy to czynić dziś z baranami i wołami. Bogini jednak uratowała swe dzieci, zesłała im barana o złotym runie, który na swym grzbiecie miał je unieść przez Morze Niegościnnie, na wschód, do Kolchidy. W czasie przeprawy przez wąską gardziel koło Troi i kraju Dardanów Helle spadła i utonęła w falach. Gardziel ta, która czekała na nas jeszcze do przebycia, przyjęła od tego czasu miano Hellepontu. Brat Helle, Fryksos, dotarł do Kolchidy i złożył barana o złotym runie na ofiarę bogom. Ale zanim to uczynił, zdjął skórę z barana i powiesił na drzewie dębowym w świętym gaju.

W Kolchidzie Fryksos poślubił córkę króla miejscowego – Chalkiopę. Gdy zmarł, ciało jego zaszyto w skórę baranią ze złotym runem powieszono na dębie. Na pochowanie go w ziemi nie zgodziły się kobiety kolchidzkie – był bowiem kimś obcym, a kobiety tamtejsze miały jeszcze taką władzę, jak ongiś kobiety achajskie i ich słowom nie mógł się nawet przeciwstawić król.

I oto duch Fryksosa zaczął nawiedzać nocą swego krewnego, króla Peliasa z Jolkos, który notabene bezprawnie zawładnął tronem Jolkos. Gdy więc o swe prawa upominał się niespodziewanie młody Jazon, wychowany ponoć przez centaura Chirona, prawowity następca tronu, syn odsuniętego gwałtem od władzy dawnego króla Jolkos, wtedy Pelias wpadł na doskonały, jego zdaniem,

pomysł. Nie mógł zaprzeczyć prawa Jazona do tronu, ale wyrażając swój niepokój o królestwo, gdyby trafiło w niepowołane ręce postanowił wypróbować Jazona – jestże on godny tronu? Poleciał mu więc wyruszyć do Kolchidy i przywieźć do Beocji złote runo. Tę decyzję króla poparli wszyscy – zarówno przeciwnicy, jak i stronnicy Jazona. Przeciwnicy – bo liczyli na jego śmierć w czasie rejsu na Niegościnne Morze. Stronnicy – bo chcieli popierać człowieka dzielnego, który prawa do tronu dowiedzie czynem, a nie tylko związkiem krwi.

I Jazon wyruszył po złote runo na okręcie „Argo”, czyli „Szybkim”, a na wyprawę dobrał sobie nieliczną kompanię złożoną z samych dzielnych ludzi nawykłych do wojaczki i nie stroniących od wszystkich prac pokładowych, a z upodobaniem siadających przy wiosłach. Byli tam podobno i królowie, i królewscy synowie, i sam Orfeusz – muzyk z Tracji. Tak mówi w każdym razie pieśń, choć ja mam prawo w to wątpić. Nie wyobrażam sobie bowiem Orfeusza przy wiosłach ani królów szorujących ławki wodą z piaskiem. Rzecz tłumaczy jedynie fakt, że było to dawno, bardzo dawno i dziś nie ma już wśród żywych ani jednego świadka tych wydarzeń.

Argonauci nie odwiedzili Troi, ale – tak jak my – przycupnęli wieczorem około Tenedos, aby rankiem wejść w ciasną gardziel Hellespontu i przedrzeć się na małe morze zwane Propontydą. Potem czekała ich jeszcze jedna cieśnina, ów Bosfor Tracki, o którym opowiadał nam Saonasz w Ugarit. U jego wylotu czyhały na śmiałka wyspy błędzące Symplegady, które raz otwierały, a raz zamykały wejście.

Dalej leżało morze nazywane Czarnym lub Niegościnnym.

Gdy Amintor śpiewał pieśń, powoli inni uczestnicy wyprawy opuszczali swoje ogniska i stawali kołem za naszymi plecami – w równej mierze zafascynowani urokiem opowieści, głosem pieśniarza, co zaniepokojeni własnym losem, gdyż przyjdzie im przebywać tę samą drogę. Wydaje się nawet, że to interesowało ich najbardziej. Próbowali z losów Argonautów odczytać własne losy...

A tymczasem Amintor opowiadał o przygodach Argonautów, nakreślił obraz zwycięskiego przekroczenia cieśnin, przygód w kraju Amazonek i wreszcie w jego pieśni wyrosły niebosiężne góry Kaukazu, gdzie ongiś bogowie przykuli do skał Prometeja, i zielona, bogata, radująca oczy i serce Kolchida.

Jazonowi udało się – nie tylko powrócić z łupem do ojczyzny, ale przywiózł także dobrowolną brankę – Medeę – jasnowłosą córkę króla Ajetesa, która dopomogła Jazonowi zdobyć złote runo.

Oglądałem to dziwo, to runo złote, w świątyni w Orchomenos. Nic nadzwyczajnego – po prostu skóra barania, do której przylnęły grudki złota. Wiem, że niektóre ludy w ten sposób zbierały złoto, właśnie mocząc skóry baranie w złotodajnych potokach. Ale złoto ma podwójną wartość – rzeczywistą i cudowną. Jest to pozornie tylko kruszec jak inne, dość nawet miękki i nie nadający się do wyrobu ostrza włóczni lub strzały. Ale złoto potrafi obalić tron i kupić duszę ludzką. Cóż więc dziwnego, że oddają mu hołdy?

Cel wyprawy Jazona – jak mówiono u mnie w domu, w Fokidzie – nie został jednak w pełni osiągnięty. Argonauci rozstali

się podzieliwszy łupami, ale rodzice Jazona już nie żyli; zostali zgładzeni z rozkazu króla Peliasa. Jazon udał się więc do Beocji i w świątyni Orchomenos zawiesił złote runo, które sam, na własne oczy oglądałem. Jazon osiedlił się w Koryncie, gdzie porzucił Medeę, która stała mu się ciężarem, i ożenił się z córką władcy stubramnych Teb. Lecz Medea postanowiła się zemścić. Własnymi rękami zabiła swoje dzieci, które miała z Jazonem, a następnie podpaliła pałac, w którym bawili się goście weselni. Tego dokonał – wbiła sobie w serce sztylet.

Prawią, że Jazon oszalał i stał się na koniec aojdem, śpiewającym dzikie pieśni, a gdy pytano kim jest, twierdził, że Królem Koryntu. Nie opodał przesmyku, łączącego Peloponez z innymi krajami achajskimi, został na brzegu jego okręt, który pod działaniem słońca i wiatru rozpadał się w proch. Jaki był naprawdę los Jazona – nikt nie wie. Mówią też, że zmarł jako żebrak...

Ba, ale była to historia wyprawy znana mnie, zasłyszana w domu mego ojca. Amintor zmienił ją – śpiewał bowiem o triumfalnym powrocie Jazona, o radości w Jolkos i o bogactwie, jakie przywieźli z sobą z pirackiej wyprawy Argonauci. Pieśń potrafi nawet ciemną noc zamienić w słoneczny dzień... Większość żeglarzy słyszała ją po raz pierwszy – nic nie stało więc na przeszkodzie, aby uwierzyli w nią bez reszty. Dla nich było po prostu wygodniej uwierzyć.

Gdy Amintor skończył pieśń, była już pełna noc, ogniska dopalały się. Żeglarze zaczęli rozchodzić się na miejsce spoczynku. Niektórzy spali na okrętach. Na wzgórzach słychać było hasła zmieniających się straży, a raz czy dwa razy zakrzyczał przeraźliwie

nocny ptak czarowników – lelek kozodój. Otuliłem płaszczem pasterskim Nikotele. Była tak nieruchoma i cicha, że sprawiała wrażenie głęboko uspionej. Kiedy jednak spojrzałem na nią, dostrzegłem w blasku gwiazd i młodego księżyca parę błyszczących oczu.

– Nikotele – powiedziałem cicho i pogładziłem ją po włosach.

– Chciałbyś mieć córkę czy syna? – spytała niespodziewanie, w odpowiedzi na mój gest.

– Co mówisz, Niko? Jesteś pewna? – zagadnąłem nieco zmieszany.

– Stało się to w tę purpurową noc, gdy ginęło Ugarit...

Powinienem być cieszyć się, ale serce miałem pełne obaw. Staliśmy bowiem przed wielką przygodą, dopiero rozpoczynaliśmy piracką wyprawę. Czy zdążymy powrócić, aby urodziła cię w Fokidzie? A może należało ją odesłać do mego ojca? Ale kto i jakim sposobem mógł tego dokonać? Nie! Musiała zostać na pokładzie i znosić trudy podróży. Było jednak jasne, że może to skomplikować nam podróż.

– Pyladzie, porzuć Oresta! Tobie wydaje się, że jesteście przyjaciółmi, ale to nieprawda. To on potrzebuje ciebie, a nie ty jego. I porzuci cię w pierwszej chwili, gdy staniesz się mu ciężarem, gdy nie będzie potrzebował twojej pomocy...

Nie, o tym nie pomyślałem. Ba, nie chciałem tego w ogóle brać pod uwagę.

– Ludzie, z którymi związałeś się, nie szanują żon ani matek. To barbarzyńcy!

A więc o to jej chodziło. Kto wie, może dla niej, tak jak dla wielu tu, na Wschodzie, nie Gromowładny był Panem Świata, ale

Wielka Macierz Bogów? W Fokidzie nie zagięły jeszcze dawne obyczaje, tak stanowczo odsunięte w świątyniach Aten lub Myken. Ale co to miało wspólne z naszą wyprawą po Złotą Boginię?

– Przyrzekłem Orestowi, że dopomogę mu zdobyć posąg bogini Artemidy i odzyskać tron – powiedziałem półgłosem, ale ton mojej wypowiedzi nie był tak stanowczy, jak tego sam oczekiwałem. Bojąc się więc dalszej dyskusji, okryłem Nikotele jeszcze staranniej płaszczem, objąłem ramieniem i zakończyłem sprawę, mówiąc miękko, niemal pieszczotliwie: – No, ale teraz śpij już. Nikotele... Śpij...

Dwa płomienie jej oczu nagle zgasty. Pomyślałem, że zapewne zamknęła powieki. Uwierzyłem, że uspokoilem, jej niepokój, jej bunt. Mężczyźni są bowiem głupcami, wierzą, że kobiety są takimi, jakimi chcą je widzieć. Nawet przez myśl mi nie przyszło, że Nikotele mogła po prostu bać się tej podróży, która czekała nas u progu Niegościnnego Morza. Nie wyobrażała sobie, co będzie z nią tam, na dalekich wybrzeżach, gdzie zlegnie, aby wydać na świat dziecię. Byłem tępy i głuchy. Nie pomyślałem o tym zupełnie. A może nie kochałem Niko, a jedynie siebie – odbitego w jej oczach?

Zgasty więc płomienie jej oczu, jakby zawarły się bramy ogarniętego pożarem miasta. Ale ogień przez to nie ugasił i szalał tam dalej, całą noc. Rano patrzyła już na mnie inaczej. Nie było w tych oczach płomienia. Był popiół.

Ja natomiast spałem bez widziadeł i lęków, spokojnym snem tłustego wołu. Po przebudzeniu przemyłem twarz i ciało namaściłem oliwą i gotów byłem do spotkania nowej przygody.

Słońce stało już dość wysoko na niebie, gdy odbiliśmy od

brzegów i nagle spoza cypla wyspy ukazał się nam ląd. Wyobrażałem sobie, że w blasku słońca ujrzymy wspaniałe ruiny Troi, ale nic podobnego nie nastąpiło. Saonasz był już tu i wiedział, gdzie stał Ilion, ale ów niepozorny pagórek, który mi wskazywał, nie wydał mi się podobny do miasta opiewanego przez pieśniarzy, miasta, o które toczyły się tak długo boje. A jednak była to Troja.

Wylądowaliśmy w miejscu, gdzie kiedyś przybił Agamemnon i jego wojska.

Byliśmy ostrożni, gotowi zepchnąć z powrotem na morze nasze okręty, gdyby ktoś nas napadł. Wysiedliśmy tylko w niewielkiej gromadce – Orest, ja, nasz piewca dawnych dziejów Amintor i po pięciu włóczników z każdego okrętu. Byliśmy w bojowym pogotowiu, z bronią i tarczami w dłoniach. Z daleka już błyszczał mój złocisty hełm, podczas gdy ponad hełmem Oresta furkotały pióra.

Sam nie wiem, dlaczego zachowaliśmy wówczas tak dalece posuniętą ostrożność, mimo że byliśmy pewni spełnienia zadania, które postawił sobie Orest. Chciał na gruzach Ilionu złożyć ofiarę ku czci swego ojca – zdobywcy tego miasta i równocześnie przypodobać się bogom, aby nie przeszkadzali nam w dalszej naszej wędrówce. Orest powątpiewał wprawdzie w ich moc, nawet w ich obecność, ale – nie mając żadnej innej wiary – na wszelki wypadek chciał zapewne żyć z bogami w zgodzie... jeżeli istnieją. Mnie podniecała sama myśl, że wejdę w obręb murów tego miasta, o którym od dziecka słyszałem legendy, że znajdę komnatę Priama, komnatę Pięknej Heleny, może nawet szczątki drewnianego konia i walające się naokoło, zbielejące od słońca kości atakujących i obrońców. Taką już miałem wyobraźnię, że tworzyła

gotowe obrazy, nie licząc się z możliwością wielkiego rozczarowania.

Pierwsze rozczarowanie nadeszło szybko, gdy pagórek, na którego szczycie dostrzegłem jakieś ruiny, Amintor nazwał Troją. Ale tak – to była właśnie Troja, którą Achilles i Hektor potrafili trzykrotnie obieć dookoła bez zmęczenia, w czasie swego śmiertelnego pojedynku.

Drugie rozczarowanie nastąpiło, gdy skierowaliśmy się na szlak prowadzący jakby do głównej bramy grodu. Wtedy to właśnie spoza murów i rumowisk wybiegło nam naprzeciw kilkuset wojowników. Mieli tarcze i włócznie, a wielu z nich nosiło hełmy z brązu.

Przystanęliśmy, także osłaniając się tarczami i pochylając ostrza włóczy. Jeden tylko Orest odłożył nagle włóczę i tarczę, zdjął z głowy hełm i wysunął się przed nasz szereg, wzniesioną dłońią pozdrawiając nieznanomych.

– Jestem Orest! – krzyknął gromko, mimo że mógł być przecieź niezrozumiany. Nie wiedzieliśmy, czy tutejsi ludzie – tak jak dawni Trojanie – znają język Achajów. – Jestem Orest z Argolidy, syn króla królów, Agamemnona. Chcę mówić z waszym wodzem.

Chwilę panowała cisza, aż wreszcie z grupy wojowników wysunął się jeden – o obfitej, gęstej i długiej brodzie, jakie nosili syryjscy kupcy. Odłożył także tarczę, włóczę i zdjął hełm. Potem wystąpił przed swych ludzi, ale nie zbliżył się do Oresta, zachowując odległość dwudziestu kroków.

– Jestem Orest – powtórzył mój przyjaciel, potem milczał chwilę, zapewne oczekując, że nieznanomy powie także, kim jest, a gdy nie doczekał się, zaczął wyjaśniać cel naszego przybycia. –

Płyniemy z dalekich brzegów bogatych miast Wschodu, a celem naszej żeglugi są brzegi Morza Niegościnnego, zwanego także Czarnym. Pragniemy złożyć na ruinach świętego Ilionu ofiarę, zgodnie z naszym obyczajem, aby bogowie pobłogosławili wyprawie. A kiedy złożymy ofiarę, udamy się w dalszą drogę.

– Bądź pozdrowiony, Oreście – odpowiedział nieznajomy. Głos miał niski, chropowaty, mówił jak cudzoziemscy kupcy, którzy przybywają do kraju Achajów, z wyraźnym barbarzyńskim akcentem. – Bądź pozdrowiony ty i twoi ludzie. Świętego Ilionu nie ma już od wielu, wielu lat. Była tu straszna wojna i nikt nie pozostał z żywych. Teraz gruzy te zamieszkujemy my – moi ludzie i ich żony, dzieci. Opatrzyliśmy mury i potrafimy spoza nich uporać się z każdym wrogiem, a tym, którzy przybywają morzem – spalić ich okręty. Jest nas wielu ukrytych tam, za murami. Chcemy pokoju. Jeżeli i wy chcecie pokoju, złóżcie ofiarę na brzegu morza i odpływajcie. Bogowie rozumieją dlaczego składacie ofiarę na brzegu morza, a nie na ruinach świętego Ilionu, bo oni strzegą tego wzgórza.

– Kim jesteście?

– Synami i córkami tych, którzy patrzyli z okolicznych wzgórz na pożar miasta.

– Czemu nie wywędrowaliście z tymi, którzy zbiegli, czemu nie poszliście za Eneaszem?

– Nie wiem, o kim mówisz i nie widzieliśmy nikogo, kto uciekał z miasta. Nie widzieli go także nasi ojcowie ani matki.

– Czy w wojnie, jaka tu się toczyła, byliście po stronie Priama?

– Nie wiem, o kim mówisz. To sprawy dalekie, umarłe. Nie obchodzą nas one. Żyjemy tu i tu są nasze sadyby. Gdy odejdziecie,

spełnimy ofiarę, aby powiodła się wasza podróż. Jeżeli zaatakujecie nas – zginiecie wszyscy. Wiemy, ilu was jest. Wczoraj nasi rybacy zobaczyli wasze okręty i zauważyli, że skryliście się za Tenedos. Wiedzieliśmy więc, że dziś tu zawitacie. Nie zastaliście tu ani jednej łodzi, byliśmy bowiem na tyle przezorni, aby je stąd usunąć. Jesteście Achajami, byliśmy więc pewni, że właśnie tu wyładujecie. Teraz, jeżeli zaatakujecie nas, nasze okręty pojawią się spoza horyzontu i zniszczą wasze statki, a łucznicy ukryci za murami twierdzy przeszyją wasze gardła strzałami. Jeżeli nie zaatakujecie, nie uczynimy wam nic złego. Odpłyniecie w pokoju.

To było oczywiste, że odpłyniemy w pokoju. Po cóż było nam tracić ludzi w walce o ruiny Troi? Orest był z pewnością wściekły, słuchając gardłowego bulgotania tego barbarzyńcy, ale prawda była po stronie tamtego. Niewiele byśmy skorzystali, wdając się w bój z tymi wojownikami, zapewne zdecydowanymi do ostatniego bronić swych sadyb w gruzach miasta, a mogliśmy stracić wszystko i nigdy nie zdobyć Złotej Bogini.

– Nie jesteśmy tak słabi, jak sądzisz, i za naszymi plecami snują się jeszcze dymy wielkiego Ugarit, które było stokrotnie większe niż Troja – odparł z przechwałą Orest – ale nic nam do was, do waszych żon i dzieci. Płyniemy na Morze Niegościnnie i to wszystko. A ofiarę złożymy u progu tego morza, gdy zobaczymy wyspy błędzące – Symplegady. Zostańcie w pokoju, a gdy będziemy tędy wracać, złożymy na brzegu ofiarę dziękczynną za udaną podróż.

– Jeśli jesteście z Achai, dam wam dobrą radę: omijajcie brzegi Kolchidy. Każdego z Achajów czeka tam śmierć. A gdy

wracać będziecie z towarami, zatrzymajcie się i złożcie ofiarę. A potem może kupimy coś od was.

– Nie jesteśmy kupcami – nie wytrzymał Orest. – Handlować możemy tylko złotem i krwią.

Odwrócił się i podniósł hełm. Potem ujął włócznię i tarczę i poprowadził nas ku okrętom tą samą drogą, którą przybyliśmy. Gdy obejrzałem się, tamci jeszcze stali jak widma dawno umarłego Ilionu, którego zrujnowane mury wznosiły się za nimi ku bezchmurnemu niebu.

Opuściliśmy brzegi bez pośpiechu, ale w niedobrych nastrojach. Bardziej lękliwi przypisywali całemu zdarzeniu złą wróżbę dla wyprawy. Przegnano nas, nie pozwolono nawet stopy postawić na kamieniach miasta, które zawojowali nasi przodkowie. No, może przodkowie nie każdego z żeglarzy biorących udział w tym rejsie, ale w tej konkretnej sytuacji można było użyć podobnego określenia. Każdy z nas utożsamiał się po trochu z bohaterami trojańskimi. Nawet banda Jazona, która płynęła tędy wiele lat temu – jeżeli wierzyć pieśni – także odwiedziła Troję, wówczas jeszcze gród żyjący w przyjaźni z całą ziemią plemion achajskich.

W ciągu kilku następnych dni, przy pięknej pogodzie i pomyślnych wiatrach, choć nieraz przyszło nam zмагаć się wiosłami z ostrym nurtem, przepłynęliśmy nie tylko Hellespont, ale całą Propontydę, wszędzie spotykając osady ludzi chętnych do handlu, podchodzących do nas bez uprzedzenia. Zdawaliśmy sobie jednak sprawę z tego, że gdybyśmy w jakiegokolwiek wiosce dopuścili się gwałtu wobec mieszkańców, mielibyśmy przeciw sobie wszystkie ludy zamieszkałe po obu stronach tej drogi wodnej, zamkniętej przecież z jednej i drugiej strony cieśninami. A łodzi i okrętów

spotykaliśmy na tej trasie niemało, mogli nas więc łatwo doścignąć i zaatakować. W takiej sytuacji zachowywaliśmy się jak kupcy, choć sylwetki naszych okrętów z bojowymi ostrogami przeczyły naszym pokojowym demonstracjom wobec ludów nadmorskich.

I tak oto dopłynęliśmy do Bosforu, ostatnich wrót na Morze Niegościnnie. Na nadbrzeżnych, skałach, u wylotu tego wodnego gościńca zbudowaliśmy ołtarz, rozpaliliśmy ognisko i złożyliśmy ofiarę bogom. Za wylotem cieśniny nie zobaczyliśmy błędzących wysp Symplegadów, o których obecności tyle nam naopowiadano, ale sam Saonasz nie był tym faktem zupełnie zaskoczony. Zresztą, jeżeli to były istotnie wyspy błędzące, miały prawo gdzieś odpłynąć.

Przed nami leżała toń morza niby niewiele różniąca się od tych mórz, które już przebyliśmy, ale strasząca – w odróżnieniu od tamtych – wodnym pustkowiem. Nie mogliśmy tutaj szukać zacisznych zatoczek wśród archipelagu, bezludnych wysp. Mogliśmy tylko trzymać się otwartego morza albo brzegów lądu. Nie zaryzykowaliśmy jednak żeglugi otwartym morzem i postanowiliśmy pożeglować na wschód, w kierunku Kolchidy, mimo że na Achajów czekać tam miała jedynie śmierć...

6. Morze Niegościnnie

Morze Niegościnnie? Ależ przeciwnie – dla nas okazało się ono jak najbardziej gościnnie! Prądy morskie i wiatry pomagały

nam przebywać odległości szybko i bezpiecznie, przy oszczędnym wiosłowaniu. Osady nadbrzeżne, dokąd przybywaliśmy, nastawione były na stały kontakt, z kupcami i chętnie zaopatrywały nas w niezbędny prowiant. Piratów nie spotkaliśmy.

Wszędzie znajdowaliśmy liczne ślady pobytu kupców z Ugarrit, Berytos, Tyru i Sydonu. Dziwne wydawało się nam, że Achajowie nie uczestniczyli w tym handlu, skoro mieli tak blisko. Faktem jednak było, że nie byliśmy dobrymi kupcami, ponad handel przekładając rabunek. Tak zachowali się kiedyś Argonaucci, gdy wyruszyli po złote runo, tak samo zburzono więź z Troją, która mogła stanowić wcale dobry bastion wypadowy poza Bosfor. Zamiast napadać na króla Priama, należało po prostu wejść z nim w układy.

Paflagonia okazała się krainą ludną, a nawet przy ujściu rzeki Halys – dokąd trafiały nieraz wojska Hetytów – panował spokój, a o niebezpieczeństwie Hetytów w ogóle zapomniano. W okolicach ujścia Halys spotkałem się natomiast z dziwnymi pytaniami na temat naszej przyjaźni z Orestem. Przybycie naszych okrętów witano tam jak coś niecodziennego, interesując się naszym rodowodem. Rzecz wyjaśniła się dopiero w Trapezuncie, mieście położonym na kilku skalistych trasach nad wybrzeżem. Okazało się mianowicie, że wśród ludów tamtejszych żywa była legenda Dioskurów i obu nas – Oresta i mnie – brano za ludzkie wcielenie Kastora i Polideukesa, którzy objeżdżają wybrzeża, podając się raz za kupców, a innym razem za wojowników.

Kastor i Polidetikes należeli do załogi „Argo”, ale nie powrócili z Jazonem. Pozostać mieli tu, gdzieś na wybrzeżu, gdzie

uznano ich za bogów. O śmierci ich krążyły różne wieści, ale przecież jako bogowie mieli być nieśmiertelni. Amintor radził nam nie zaprzeczać zbyt gwałtownie plotce, która czyniła z nas wcielenie bliźniaków Dioskurów. Mogło się to jeszcze nam na coś przydać, gdybyśmy w czasie rejsu popadli nagle w tarapaty.

I tak oto „Mykeny” i „Strzała Artemidy” pokonywały zwycięsko morskie fale zbliżając się ku miejscu swego przeznaczenia. Płynąc jednak wzdłuż brzegów – co nieomylnie musiało nas doprowadzić do wybrzeży Taurydy – musieliśmy jeszcze ominąć szczęśliwie Kolchidę. A tam, chociaż podobno darzono czią Dioskurów, to jednak na wspomnienie Achajów szczękanio mieczami i uderzano włóczniami o tarczo.

Pewien Karyjczyk, który doskonale znał nasz język, radził nam w ogóle nie zachodzić do jakiegokolwiek portu na obszarze Kolchidy.

– Mogą was tam obsypać kwiatami albo kamieniami – twierdził – a jeżeli chcecie popłynąć dalej, nie ma sensu próbować, z jakim przyjęciem się spotkacie.

Kłamaliśmy mu, że wybraliśmy się w podróż dookoła Morza Niegościnnego, które on, – chyba dla przekory – nazywał Morzem Gościnnym. Nie chcieliśmy zdradzić właściwego celu podróży, baliśmy się, aby nie ostrzeżono Taurów.

Z gór ponad Synopą widać pono góry Taurydy, ale mnie nie udało się nic zobaczyć, horyzont był bowiem powleczone mgłą. Lato już się kończyło i należało przyspieszyć podróż. Morze tu-tejsze lubi wzburzyć się niezwykle silnie, a na jesieni, nawet w pogodne dni więją północno-wschodnie wiatry, które umożliwić

mogą ucieczkę z Taurydy, ale nigdy dobiec do jej brzegów.

W Trapezuncie napełniliśmy nasze amfory i pitosy wodą, winem i oliwą, zabraliśmy wiele owoców i jarzyn, chleba i suszonego mięsa. Należało się liczyć, że istotnie całe wybrzeże Kolchidy będzie dla nas niedostępne. Równocześnie nadeszły niepokojące wieści, że w Fasis, a nawet w Ajai – stolicy Kolchów, wiadano już o nas i ich galery wojenne gotowe były na spotkanie z nami. Saonasz uspokajał nas jednak, że okręty Kolchów nie mogą się nawet mierzyć z naszymi – ani wielkością, ani przystosowaniem do walki na morzu.

Od czasu naszej wieczornej rozmowy na wyspie Tenedos, Nikotele nie powróciła już do sprawy swego stanu, który jeszcze był zbyt wczesny, aby mógł być zauważalny przez kogoś, ani nie namawiała mnie do porzucenia Oresta, ale odczuwałem coraz wyraźniej jej chłód, niemal wrogość. Nie reagowała ani słowem, ani gestem, gdy okrywałem ją troskliwie przed zaśnięciem płaszczem pasterskim i skórą (noce były tu niekiedy dość zimne). Nie śmiała się, gdy ja się śmiałem, nie współczuła mi, gdy znajdowałem się w rozterce. Odpowiadała odmownie, kiedy proponowałem wycieczki na ląd, w góry, tak podobne do naszej Fokidy. Jednocześnie wyszczupiała, stała się jeszcze bardziej podobna do młodego chłopca niż dawniej. Na „Strzale Artemidy” jej jedynym powiernikiem był Amintor, czasami wymieniała dwa słowa z Saonaszem, ale reszta załogi dla niej nie istniała. Obecność Oresta, gdy spotykaliśmy się w czasie przerwy w podróży, zupełnie ignorowała. Nie wiem, czy nie zauważał już tego, czy też zupełnie go to nie obchodziło, nic mi bowiem na ten temat nie mówił.

Zresztą myśli jego zajmowała tylko jedna sprawa – zdobycie Złotej Bogini. Nie dziwiłem się mu. Wszystko bowiem, przynajmniej w jego mniemaniu, miało się zamknąć i wyjaśnić wówczas, gdy z posągiem na pokładzie odbijemy od brzegów Taurydy. Miał odzyskać znów prawa do tronu Myken, miał też wreszcie zamknąć łańcuch wielkich i małych intryg, w jakie wplątany był dom Agamemnona Atrydy – porwanie posągu z Efezu, przetargi z Taurami w sprawie ich pomocy dla Troi, wysłanie Ifigenii na Taurydę, podwójna gra z Ajetesem, śmierć Agamemnona i podejrzenie o zadanie morderczego ciosu matce.

Dobrze jest wierzyć, że można zamknąć część swego życia w ten sam sposób, jak aoid kończy pieśń o herosach. A Orest wierzył.

Każda długa podróż morska ma to do siebie, że na jej początku żeglarze znajdujący się na pokładzie okrętu ruszającego w rejs, patrzą bez cienia zazdrości na tych, którzy zostają na brzegu. Ale po pewnym czasie, gdy już minie wiele chłodnych nocy i upalnych dni, gdy każdy kąt na statku jest znany, gdy każde jadło śmierdzi smołą i zgniłą wodą, gdy wiadomo, kiedy kto co powie i jak się zachowa – budzi się jakiś niepokój. Niektórzy wszczynają wówczas bójkę, inni wynajdują sobie jakieś zajęcia, ale wszyscy bez wyjątku marzą o lądzie. Nie o nowym porcie, nie o nowym skrawku ziemi, ale o ich porcie, ich ziemi, ich własnym lądzie. Kiedy wracają, są szczęśliwi, aby za jakiś czas – po przywitaniu się z bliskimi i wyspaniu się na niechybotliwym gruncie – znów zatęsknić do wyjścia w morze.

Mnie nawiedził w Trapezuncie właśnie taki nastrój. Zacząłem zastanawiać się nagle, po co ja właściwie wyruszyłem na tę

wyprawę i choć przedtem potrafiłem sam siebie przekonać o słuszności decyzji, teraz nie byłem jej tak pewny. Nie miałem w garści nic, co świadczyłoby o tym, że mam rację. Powoli zaczynałem powątpiewać, czy Orest darzy mnie podobną przyjaźnią jak ja jego, czy też jest to tylko już echo dawnych uczuć, dawnego braterstwa. Nie znajdowałem sensu w mojej wyprawie, gdy – być może – byłem potrzebny właśnie teraz memu ojcu w Fokidzie. Dochodziłem do wniosku, że ukoronowaniem mego braku rozważliwego małżeństwa z Nikotele tuż przed podróżą i w dodatku zabranie jej w rejs. Nagle zacząłem spostrzegać, jak dziwnie patrzą na nią marynarze i jak naigrywają się z mej roli małżonka pozbawionego małżeńskiego łóża. Wydawało mi się, że dotąd traktowałem życie jak zabawę, każda wyprawa wojenna była jakby dalszym ciągiem polowania, jakie uprawialiśmy w dzieciństwie na dzikie koty lub wiewiórki, przy czym nie liczyły się trofea, ale sama rozkosz gonitwy, pościgu, obławy. Cóż mnie w gruncie rzeczy obchodzić mogła Złota Bogini, gdy oto Nikotele, moja kobieta – ciepła, żywa i piękna, nosiła pod sercem coś, co było ze mnie i z naszej miłości.

Nie miałem jednak wyjścia. Teraz już nie. Należało udawać, że wszystko jest w porządku i płynąć dalej, ku Taurydzie.

Orest zbyt długo, moim zdaniem, przeciągał postój w Trapezuncie. Wytknąłem mu to donośnym głosem i w ostrym tonie. Spojrzał na mnie bystro, zauważył, że jestem rozdrażniony i nie podjął dyskusji. Potem spojrzął w bok, potarł dłonią podbródek i powiedział spokojnie, jak on tylko potrafi, niemal obojętnym tonem:

– Dobrze. Odplyniemy jutro.

Odwołania nie było, bo przecież była to decyzja obu dowódców. Nic zresztą nas nie powstrzymywało. Ale rejs nie przebiegał już tak, jak poprzednio. Kiedy bowiem spoza horyzontu wyszły nam naprzeciw poszarpane grzbiety Kaukazu – gór, wśród których miał jęczeć Prometej, złodziej boskiego ognia, kiedy dzioby naszych okrętów skierowały się na północ, a południowe słońce poczuliśmy na naszych plecach – nadleciał niespodziewanie ostry przeciwny wiatr.

Wszyscy siedli do wiosł. Ochroniliśmy wprawdzie nasze okręty przed potężną boczną falą, nie udało się ich jednak posunąć naprzód ani o dwie długości. Saonasz zdecydował wówczas, że powinniśmy pozwolić się zdryfować w stronę brzegów.

Ale były to już wybrzeża Kolchidy...

Nie wiem, czy Orest przeczuwał ten sztorm i dlatego zwlekał z opuszczeniem Trapezuntu, czy też był to zwykły przypadek, jedno było pewne – to ja domagałem się wyruszenia w morie. Fala była tak duża, że goniąc ostatkiem sił dobiliśmy do brzegu. Okolica wydawała się bezpieczna. Plaża, wyżej próg skalny, dalej lasy i dymiące chmurami szczyty górskie. Wyciągnęliśmy z naszych okrętów wszystko, co się w nich znajdowało, aby osuszyć na lądzie. Pomagało w tym słońce, które, jeżeli wyzierało spoza chmur, było piekące. Deszcz padał krótko. Morze jednak było rozhukane i spodziewaliśmy się, że nawet po uspokojeniu się wiatru, możemy jeszcze dostać martwą falę. Rozstawiliśmy oczywiście strażę i broń ułożyliśmy pod ręką, by w razie napadu zorganizować skuteczną obronę. Ogniska paliliśmy w jaskiniach

nadbrzeżnych, nie chcąc blaskiem płomieni zdradzić miejsca pobytu.

Czy zostaliśmy zauważeni przez strażę Kolchidy? Nic w każdym razie na to nie wskazywało, choć niepokoił nas także fakt, że nie spotkaliśmy ani jednego człowieka. Być może zauważyli nasze lądowanie i zbiegli. Mogli to być pasterze – spotkaliśmy bowiem samotną, odbitą od stada owcę: albo rybacy – plądrując wybrzeża moi wojownicy z Fokidy natknęli się na wędzarnię. Ale zarówno spotkanie owcy, jak i znalezienie wędzarni jeszcze nie świadczyło o tym, iż nas spostrzeżono.

Okręty nasze wyciągnęliśmy na ląd i poddaliśmy reperacji, ucierpiały bowiem w czasie sztormu.

Trzeciego dnia wiatr osłabł i dmuchał od wschodu, mógł więc nam pomóc w opuszczeniu wybrzeży, choć nie pozwalał rozpiąć żagli. Na morzu łamała się jeszcze długa, martwa fala, która jednak wyraźnie malała.

– No i co, znów zarządzisz odbicie od lądu? – spytał Orest, gdy spotkaliśmy się w pobliżu smołowanych kadłubów naszych okrętów.

– Należałoby poczekać do jutra – odpowiedziałem, udając, że nie dostrzegam jego tonu.

– Twoja przyjaciółka z Fokidy zapewne nie znosi rozbujanego morza – znów zaczął mnie i to w sposób, na jaki nigdy dotąd sobie nie pozwolił.

Chciałem mu coś gwałtownie odpowiedzieć i nie wiadomo, czym by się ta rozmowa skończyła, gdyby nie wiadomość przyniesiona przez jednego ze strażników. Zbliżała się do nas jakaś grupa zbrojnych. Prawie równocześnie nadszedł Saonasz z inną wieścią – dwa zagłowce pokonują falę i płyną równolegle do

brzegu. Powtarzam – żaglowce, a więc mieli tam nieliczną załogą i nie byle jakiej budowy musiały być owe okręty.

Ściągnęliśmy strażę, zarządziliśmy przygotowanie do odpłynięcia, przestrzegając równocześnie nasze załogi, aby broń miały na wyciągnięcie ręki. Prysłły nastroje i rozmyślania. Zapachniało krwią.

Spojrzeliśmy na siebie z Orestem, potem gwałtownie, bez słowa uścisnęliśmy się. Saonasz wydawał już gromkim głosem komendy, gdy dziób mojego okrętu szorował po plaży, nurzając się w wodzie. Zmoczyłem się po pas wskazując na burtę. Kilku procarzy i łuczników szykowało się już do akcji.

Dałem Nikotele swoją tarczę i kazałem jej przykucnąć, aby nie była narażona na pociski przeciwników. Jednocześnie usłyszałem pierwszy plusk wiosła. Byliśmy na fali, a wiatr dryfował nas na otwarte morze. Saonasz sam stał przy sterze, mając do pomocy krzepkiego górala z Fokidy.

Zobaczyłem, że Orestowe „Mykeny” zeszyły już na wodę i załoga zajmuje stanowiska przy wiosłach, na rufie i na dziobie. Oni także byli zwróceny rufą do otwartego morza i dlatego zdumiało mnie, gdy na dziób, który w tym momencie wymagał mniejszego obciążenia, pobiegło aż trzech wojowników. Ale przyczyna tego wyjaśniła się dość szybko – na plaży coś zabłyśło – czyjaś broń, czyjeś hełmy i tarcze. Ależ tak! To wojownicy Kolchidy biegli ku okrętowi Oresta. Z dziobu frunęły ku nim trzy włócznie. Można było być w tym momencie dumnym z zabijaków Oresta. Dwóch napastników przeokoziółkowało na plaży, krzycząc z bólu. Jeden z nich uniósł się jeszcze na rękach, ale zaraz zwałił się na piasek.

Oszczep przebił mu krtań. Drugi czołgał się w kierunku zarośli. Inni cofnęli się wprawdzie, ale ich strzały wciąż przeszywały powietrze.

Lecz oto już żeglarze ujęli za wiosła. Usłyszałem plusk, potem terkot drągów w dulkach i znów plusk. Chciałem krzyżeć z radości. Drewniane „Mykeny” uchodziły, w ślad za „Strzałą Artemidy”, na pełne morze. Z daleka widziałem, jak na plażę wypadła cała gromada zbrojnych Kolchów, byliśmy już jednak za daleko, aby mogły porazić nas ich strzały i oszczepy. Stali bezradnie na plaży, wygrażając nam pięściami i coś krzyżąc.

Nie byli groźni.

Groźne być mogły jednak owe dwa okręty, które dość ryzykownie szły pod żaglami, bardzo pochylone na lewą burtę, zbliżając się nieuchronnie ku nam. Naliczyłem po osiem wiosel z każdej burty, a na dziobach okrętów nie dostrzegłem ostróg. Podszedłem do Saonasza, aby podzielić się z nim swoimi obserwacjami.

– Ostrogi mają pod linią wodną, ale znacznie mniejsze od naszych. Gdyby jednak udało się im nas staranować, to i tak posłaliby nas na dno.

– Atakujemy więc pierwsi – zdecydowałem i podałem komendy wojownikom.

Szliśmy ukośnie do kursu obu kolchidzkich okrętów, ale było jasne, że punkt przecięcia znajdzie się przy drugim okręcie nieprzyjaciela. Widziałem, jak pospiesznie zrzucano tam żagle, przechył uniemożliwił bowiem manewr.

– Łucznicy naprzód, oszczepnicy przygotować się! – podałem komendę.

Usłyszałem świergot strzał. Coś pacnęło o burtę i zobaczyłem

cienką brzechwę i kolorowe, furkocące pierzysko. Grot tkwił głęboko w drewnie.

Bęben odmierzał rytmikę uderzeń wiosła. Lecieliśmy jak na skrzydłach ku nieprzyjacielowi, pędzeni siłą mięśni moich żeglarzy.

– Hej, trzymać się! – zawołał ktoś z dziobu, a zaraz po tym okrzyku rozległ się huk i trzask, a ponad wszystko wzbiał się ku niebu krzyk przerażenia Kolchów. Saonasz wpakował ostrogę naszego okrętu w samą rufę nieprzyjacielskiego okrętu. Podąłem komendę dla wiosłarzy i potężna kontra wiosła cofnęła nas od burty nieprzyjaciela. Żaglowiec Kolchów tonął przeraźliwie szybko. Nie wyobrażałem sobie, że taka sterta drewna może tak szybko tonąć. Przypomniałem sobie jednak, jak odważnie Kolchowie żeglowali przy dość ryzykownym przechyle i doszedłem do wniosku, że na dnie ich okrętu spoczywał niemały balast. Teraz ten sam balast ciągnął ich pod wodę.

Usłyszałem z morza okrzyk radości – to załoga „Myken” wyrażała swój entuzjazm dla naszej tak pięknej roboty. Oddaliliśmy się już dość znacznie od tonącego statku, wchodząc idealnie na kilwater drugiej jednostki przeciwnika. Za nami pędziły na grzbiecie długich fal „Mykeny”. Nikt więc nie miał czasu zajmować się tonącymi, a ich szanse na ratunek były znikome, chyba żadne. Wiatr wiał przecież od lądu, gdyby więc któremuś z tonących udało się nawet utrzymać na wodzie przy pomocy jakiegoś kawałka drewna, najwyżej opóźniłoby to tylko koniec.

Saonasz oddał już ster komuś innemu i poszedł na dziób obejrzeć stan naszej ostrogi po staranowaniu przeciwnika. Wrócił uradowany.

– Ostroga weszła w kadłub tamtego okrętu jak nóż myśliwski

w brzuch dzika – określił to dość dosadnie.

- Słabi z nich wojownicy – podsumowałem.
- Ale niezli żeglarze.

I to była cała mowa pogrzebowa nad tonącym okrętem. Gdy odwróciłem się jeszcze raz, już go nie było, a na powierzchni morza widniały tylko jakieś pojedyncze ciemne punkty – może kawałki drewna, a może ludzkie głowy. Wtedy przypominałem sobie o Nikotele.

Siedziała skulona przy relingu, osłonięta moją tarczą. W drewnie relingu, nie opodal jej ramienia tkwiły dwie strzały z kolchidzkich luków. Nasze oczy spotkały się nagle i zobaczyłem w jej spojrzeniu straszliwą rozpacz. Chciałem coś jej powiedzieć, może nawet otulić ją szczelniej płaszczem, ale słowo jakiegokolwiek i jakikolwiek gest w tej sytuacji wydał mi się bezsensowny. I nagle straciłem cały bojowy animusz, całą pewność siebie, która towarzyszyła mi w ataku na okręt Kolchów.

Mieliśmy na pokładzie tylko dwóch rannych i to niezbyt groźnie. Bogowie – jeżeli oglądali tę bitwę – najwyraźniej byli po naszej stronie. Teraz należało tylko doścignąć i zniszczyć drugi okręt przeciwnika. Ale właściwie dlaczego doścignąć i zniszczyć, skoro już przeciwnik przestał być groźny? Kolchowie, przeciwstawiając się wiatrowi, kierowali się ku brzegowi, zamierzając najwidoczniej wylądować na plaży, aby uratować własną skórę.

Saonasz, zdaje się, przejrzał moje myśli.

- Ścigamy ich? – spytał, wiedząc co mu odpowiem.

Machnąłem ręką.

Rytm pracy wiosłarzy został zwolniony. Serca ludzi trzymających wiosła mogły wreszcie odpocząć, płuca chwycić powietrza,

dłonie rozluźnić uchwyt. Wtedy minęły nas „Mykeny”. Orest postanowił widocznie powtórzyć nasz manewr, zaatakować okręt Kolchów od rufy i rozpruć mu burty swoją ostrogą.

Tamci jednak mieli jednostkę lekką, szybką i też umieli pracować przy wiosłach. Kiedy więc brzeg zaczął coraz bardziej się zbliżać, a wiatr przyniósł już na pokład huk przyboju, Orest (chyba niechętnie) także zrezygnował z pościgu.

Widzieliśmy potem, jak statek Kolchów zarył się w piasku plaży. Małe mrówki ludzkie wybiegły na brzeg, ciągnąc z całej siły kadłub po żwirze, aby nie zabrały go fale.

Nikt nas nie ścigał.

Obie załogi w doskonałym nastroju zabrały się do wiosła i dopiero przed zachodem słońca zwolniły tempo. Góry przesunęły się w prawo, zbłękitniały od mgieł, ale nad morzem niebo się zupełnie wypogodziło. Wiatr osłabł, wkrótce zamarł zupełnie, jedynie martwa fala kolebała okrętami, jakby nie rezygnując jeszcze ze sztormowej zabawy.

Weszliśmy do zatoczki, która wydała się nam cicha i odludna. Nie wciągaliśmy naszych okrętów dziobami na ląd, jak to często czyniliśmy, a jedynie zacumowaliśmy je i wystawiliśmy straż, które trzeba było i tak często zmieniać, aby znużeni wojownicy nie zasnęli. Rozpaliliśmy ogniska i rozdzieliliśmy prowiant.

Orest podszedł do mnie i, kładąc mi rękę na ramieniu, wyraził podziw dla naszej sprawności. Odpowiedziałem, że cała zasługa w tym Saonasa i naszych wiosłarzy – Saonasz bowiem nakierował tak pięknie dziób „Strzały Artemidy”, że jej ostroga rozpruła

burtę nieprzyjacielskiego okrętu, a siła uderzenia zależała od pracy wiosł. Udało się – ot i wszystko.

Nikotele, ponura i zamyślona, jadła wieczerę w milczeniu. Saonasz dowcipkował z żeglarzami, Amintor otulił się płaszczem, położył i splótszy dłonie nad głową wpatrywał w pusty horyzont.

– Niejedną już bitwę widziałem – odezwał się nagle – i zawsze przeraża mnie jej tempo. Jeden manewr, jeden atak i już przeciwnik wali się we krwi na ziemię. Potem my, aojdowie, składamy o tym pieśni i tę jedną scenę opiewamy przez cały wieczór, otoczeni wieńcem ciekawych. Teraz też – doszliśmy Kolchów szybko, wbiliśmy im ostrogę w bok i po wszystkim. Nim odpłynęliśmy od nich, już nie było ani ich okrętu, ani ludzi. Coś tam wprawdzie jeszcze pływało, ale były to tylko szczątki. Nikt nie ocalał – to pewne. Nie znaleźmy ich. Byli u siebie i nie chcieli intruzów, którzy porywają im złoto i kobiety. Mieli przecież przykład Jazona i jego zgrai. Nie, straszna jest śmierć na wojnie...

– A tak niedawno opiewałeś zagładę Troi.

– O waszej wyprawie po Złotą Boginię także będę śpiewał. Lecz przeraża mnie sam czyn – zadawanie komuś śmierci. Jest człowiek – oglądasz go żywego, zajętego swoim światem spraw – potem nagle jedna włócznia, jedna strzała i oto skończyło się coś wspaniałego: życie,

– A narodziny? – nagle odezwała się milcząca Nikotele. – Narodziny nie zadziwiają ciebie, starcze? Nie jest godne zachwyty samo pojawienie się człowieka na świecie? Człowieka, który będzie kiedyś kochał i cierpiał, będzie dzielny i mądry lub tchórzliwy i głupi, w którego głowie lęgnąć się będą myśli, takie jak

nasze albo szlachetniejsze – bo idą nowe czasy, może lepsze niż obecne...

– Masz rację, Nikotele. Tajemnicą są narodziny i tajemnicą śmierć. Nie sposób tego zrozumieć, nie sposób określić ich istoty. Przychodzi człowiek, odchodzi człowiek – skąd przychodzi i po co, i dokąd odchodzi? Życie samo jest tajemnicą. Może dlatego sławimy je w pieśniach.

Nie wiem, do jakich wniosków doszliby wówczas rozmawiający, bo wrócił Saonasz, a przy tym brodatym Ugaryjczykowi nie było sensu odkrywać naszych, achajskich słabości. Życie w Ugarrit było określone jasno, odmierzone rytmem ofiar w świątyniach i złotem. Tak myśleliśmy o nich. Kto wie jednak, czy ich także nie dręczyły podobne myśli? W każdym razie Saonasz był kimś obcym.

– Jutro znajdziemy się już poza wpływem Kolchów, na skraju krainy zamieszkałej przez ludy stepowe, odważne i bitne choć gorzej uzbrojone od Achajów, a nawet i od Kolchów. Żyją tu również Amazonki.

- Byłeś tu już?
- Byłem. Niedaleko już stąd do Bosforu Kimmeryjskiego.
- A za Bosforem?
- Tauryda.

7. Amazonki

Skąd znalazły się Amazonki w tym odległym zakątku? Aminator twierdził, że był to przypadek. Achajowie w czasie swych

licznych wypraw korsarskich mieli napaść kiedyś bogaty kraj położony za Bosforem Trackim, nad Morzem Niegościnnym. Było to gdzieś tam, gdzie istnieje dziś kraina nazywana Paflagonią. Wyprawa powiodła się, mężów wybito, skarby zabrano, prócz nich – łup tak częsty w pirackich wyprawach – młode dziewczęta. Ale dziewczęta miejscowe były wychowywane tak jak chłopcy – co się dawniej i w Achai zdarzało – umiały władać włócznią, sztyltem i strzelać z łuku. Niemal jak moja Nikotele. W krainie tej zresztą, jak w dawnej Achai, kobieta była najważniejszą strażniczką ogniska domowego.

Otóż więc, kiedy Achajowie znaleźli się już na morzu razem ze swymi łupami i zakosztowali wina, do czego dziewczęta same ich namawiały, nagle porwały one za ich broń i dość łatwo wszystkich wymordowały.

Wiał wówczas wiatr południowy, co rzadko się zdarza na tym morzu, i zawiódł trzy okręty pełne dziewcząt aż do brzegów Tauridy, a następnie do wrót Bosforu Kimmeryjskiego. Tam wody były spokojne i dziewczęta chwyciły za wiosła, aby znaleźć jakieś miejsce dogodne do lądowania. Znalazły je nie opodal osady Kimmerów, zamieszkujących brzegi morza rozciągającego się poza wrotami Bosforu Kimmeryjskiego, a nazywanego Morzem Meockim. Miejscowość nazywać się miała Kremnoj, ale może to i nawet nazwa zmyślona przez aoidów. Dość że wysiadły na brzeg, wyciągnęły cały dobytek z okrętów, a gdy nadbiegli wojownicy kimmeryjscy, pewni łatwego łupu, położyły ich trupem. Tam założyły swoje osiedle i tam nauczyły się jeździć konno, stając się wkrótce postrachem stepów. Raz zawierały pokój, raz znów walczyły, zachowały jednak swobodę i zasady, którym poprzysięgły

wierność – panować nad mężczyznami.

Podobno były takie grupy Amazonek – bo tak je nazywać zaczęto, które powiązały się z miejscowym ludem węzłami rodzinnymi, zachowując jednak godność strażniczek domowego ogniska. To u nich była w czci szczególnej nasza Artemida czy też ich Isztar albo Kybele – nazywana ogólnie Wielką Macierzą Bogów. Były i takie, które zachowały wolność, raz tylko w dzień poświęcony Wielkiej Macierzy oddając się miłosnym igrom z wojownikami sąsiednich ludów. Gdy rodziły się dziewczynki – zachowywały je w swoim gronie, gdy chłopcy – zabijały. Później jednak ten obyczaj złagodniał i w osadach Amazonek spotkać można było już mężczyzn wykonujących różne czynności domowe. Ale najbardziej surowe w obyczajach – zamieszkujące wybrzeża – nie trzymały mężczyzn w swoich osiedlach, choć nigdy nikt nie twierdził, że ograniczały swoje namiętności – było nie było Matka była ich symbolem, a nie Dziewica.

– Były tak bitne – prawil nam Amintor – że walczyć z nimi było zawsze zaszczytem. Walczył z nimi Herakles – pragnąc zdobyć czarodziejski pas królowej Amazonek – Hipolity. Z inną ich królową – Pentesileją – walczył Achilles. Przed najazdem Amazonek na Ateny – w odwet za porwanie ich królowej Antiopy – bronił ludów achajskich Tezeusz. Myślę, że w tych wszystkich opowieściach – mówił Amintor – jest też i obawa, aby kobiety achajskie nie upomniały się o swoje prawa, jakie panowały tu dawniej, a które jeszcze można odnaleźć w górzystym Peloponezie, albo w twoim kraju, Pyladzie, górzystej Fokidzie...

Spojrzałem na Nikotele. Słuchała starca z pałającymi oczyma. Pomyślałem, że stokroć ma rację Amintor. Fokijskie kobiety nie ustępowały Amazonkom, choć nie były ani – „przeciwniczkami mężczyzn”, ani – „nienawidzącymi mężczyzn”, jakimi to epitetami określano zawsze Amazonki. Ale czy mogły być w razie potrzeby „mężobójczyniami” – jak modliszki odgryzające głowy samcom po zapłodnieniu? Wzdrygnąłem się i jeszcze raz spojrzałem na Nikotele...

– ...Nazwa dana im u nas – „Amazonai”, czyli coś jakby „istoty bez piersi” jest złośliwa. Ci, co je widywali, zawsze opisywali ich piękne, bujne kształty. Nazwę tę nadano im, aby zohydzić ich ród. Byli i tacy, którzy twierdzili, jakoby same odcinały sobie jedną pierś – aby tym sprawniej władać lukiem. To ohydne, głupie i złośliwe kłamstwo.

– Jak mamy się zachować, gdy je spotkamy? – zagadnął Orest.

– Nie wiem – rozłożył bezradnie ręce Amintor. – Zupełnie nie wiem. Może coś o tym potrafi nam powiedzieć Saonasz?

Nasz główny przewodnik wyprawy skinął głową potakująco. Tak, spotykał już Amazonki w poprzedniej wyprawie na Taurydę. Przy spotkaniu z nimi obowiązuje jedna zasada: nie czynić różnicy między kobietą a mężczyzną. Są dobrymi wojownikami – nie żądają żadnych innych względów, jak tych, które obowiązują wobec dobrych wojowników. Kto tego nie przestrzegął, nierzadko ginął. Uznają handel wymienny i szanują ludzi o zdecydowanej, twardej postawie. Gdy znajdą się w niewoli – rozbrajają strażników swą kobiecością, ale tylko w tym celu, aby ich zabić. Gdy są atakowane – walczą jak wilczyce.

Rozmowę tę prowadziliśmy wieczorem, u brzegów półwyspu, który zamykała Cieśnina Kimmeryjska. Znajdowaliśmy się więc u samego progu naszego celu, na ziemi zaludnionej przez dzikich Kimmerów i – jak się rzekło – przez Amazonki. Wybrzeża były puste. Nie spotykaliśmy tu żadnych osiedli, gdyby takie istniały, z pewnością padłyby już dawno ofiarą stepowych koczowników.

Prawdę mówiąc, nie wiedzieliśmy co dalej począć. Saonasz był gotów poprowadzić nas najbliżej głównych leży Taurów, ale przedtem należało obmyślić plan, jak stępić czujność i ostrożność strażników skalistego gniazda. Wiedzieliśmy, że kiedy wylądujemy w pobliżu świątyni, najpewniej zostaniemy zaatakowani. A gdy poleje się krew, trudno będzie prowadzić rozmowy i udawać wzajemną przyjaźń. A więc tylko przez wprowadzenie w błąd Taurów i ukrycie naszych prawdziwych zamiarów mogliśmy osiągnąć cel. Nadzieją dodatkową była możliwość spotkania siostry Cresta, Ifigenii. Miała tu ona pełnić rolę wielkiej kapłanki Złotej Bogini, Artemidy z Efezu...

Świt przyniósł jednak nowe wydarzenia i podsunął zupełnie niezwykle możliwości rozwiązania sprawy.

Jeszcze zanim słońce wstało ponad wschodnim horyzontem, aby odbić się tysiącem iskier w lodowcach Kaukazu, w pomroce przedświt naszego strażę usłyszały gwar głosów i brzęk broni wśród pobliskich wzgórz. Natychmiast zarządaliśmy alarm, wszyscy ujęli za broń i przygotowali się do odpłynięcia. Wysłany w kierunku wzgórz zwiad przyniósł wiadomość, że grupa brodatych wojowników w spiczastych czapkach rozbiła obóz w pobliskiej dolinie. Wyglądało na to, że wojownicy ci wracali z jakiejś

wyprawy wojennej, na grzbietach koni mieli bowiem łupy, a koło ogniska dostrzegł nasz zwiadowca cztery skrępowane młode kobiety, zapewne branki.

Wojowników nie było więcej niż piętnastu, nie zagrażali więc nam, natomiast warto było spróbować nawiązać z nimi jakiś kontakt, mogli bowiem posłużyć nam radą. Kto wie – może znaleźlibyśmy nawet wśród nich chętnego do zaprowadzenia nas skalną ścieżką do gniazda Taurów? Należało jednak doczekać dnia. W szarości przedświtu trudno z kimkolwiek pertraktować, każdy kamień, każdy krzak wydaje się wówczas zaczajonym nieprzyjacielem.

Wkrótce po wschodzie słońca od wzgórz, wśród których obozował oddział brodatych wojowników, nagle rozległy się krzyki i nawoływania. Przyczajeni za załomami skał i krzewami, widzieliśmy wyraźnie, jak spoza obłego grzbietu wzgórza wypadły nagle dwa konie z dwoma jeźdźcami na grzbietach. Był to widok dość niezwykły, bo koń znany nam był dotąd głównie w zaprzęgu wozów bojowych, a jedynie Trakowie dosiadali jego grzbietu – skąd poszły legendy o centaurach. Za dwoma uciekającymi jeźdźcami gnało chyba pięciu, a pył wzbijany przez kopyta końskie znaczył wyraźnie ich ślad.

Nagle jeden z koni uciekających jakby okulał – zwolnił, zatańczył i zwałił się na ziemię. Trzech goniących podjechało do leżącego i widzieliśmy wyraźnie, jak szpikują jeźdźca oszczepami. Dwaj pozostali goniący popędzili za jedynym już uciekającym, który zmierzał w naszym kierunku. Słońce stało wysoko i

kiedy cała trój-ka zbliżyła się ku nam, dostrzegliśmy, że uciekający to... młoda kobieta.

Goniący musieli być mistrzami w miotaniu oszczepem z pędzącego konia, bowiem oszczep jednego z jeźdźców wbił się z taką samą dokładnością i siłą w bok zwierzęcia, jak ostroga naszego okrętu w burtę kolchidzkiego korabia.

I znów powtórzyła się znana nam scena – koń zatańczył, okulał, zmienił gwałtownie kierunek i nagle padł na ziemię, kopiąc gwałtownie kopytami. Amazonka – bo nie ulegało już wątpliwości, że jest to jedna z tych dzikich kobiet, o których opowiadał wczoraj Amintor – zdążyła jednak zeskoczyć z grzbietu zwierzęcia i przypaść do ziemi w tym samym momencie, gdy drugi oszczep ze świstem przeszył powietrze nad jej głową i wbił się w ziemię. Obaj ścigający jeźdźcy zatoczyli krąg i zwolnili. Młoda kobieta powstała z ziemi i wyrwała oszczep tkwiący w boku konia. Była sprawna, gibka, silna, ciało miała niemal zupełnie nagie, włosy rozwiane, koloru dojrzałego zboża.

Jeden z jeźdźców wyciągnął z ziemi oszczep, który nie trafił w Amazonkę, drugi ujął w dłoń krótki, niebezpieczny w walce z bliska, brązowy miecz. Konie tańczyły na smukłych nogach i pluły pianą, tupały nerwowo i chrapały, czując wokół siebie śmierć. Obaj jeźdźcy zbliżali się powoli do samotnej Amazonki i widać było, że w tej sytuacji – pozbawiona tarczy i konia – kobieta nie obroni się przed ich ciosami.

Wtedy nagle tuż koło mnie, blisko, rozległ się przeraźliwy okrzyk. Obaj jeźdźcy odwrócili się zdumieni. Ja także spojrzałem w tę stronę. To była Nikotele. W dłoniach trzymała łuk, odebrany prawdopodobnie jednemu z naszych łuczników. Z kocią zręcznością

wyskoczyła spoza skały, napięła łuk i posłała strzałę prosto w gardło tego, który trzymał w ręku miecz. Drugi jeździec zamachnął się do rzutu swym krótkim oszczepem, ale wtedy właśnie oszczep rzucony przez Amazonkę wbił mu się tak głęboko w plecy, aż ostrze jego wylazło z piersi wojownika. Obaj zwalili się na ziemię, a zbryzgane krwią ich konie pogalopowały w step.

Trójka, która właśnie zamordowała pierwszą z uciekinierek, obserwowała tę scenę, nie zbliżając się do nas. Gdy Nikotele strzeliła z łuku, a nasi ludzie podnieśli się z ziemi, aby lepiej widzieć, co dzieje się na przedpolu, trzech jeźdźcy zawrócili swe konie i zniknęli za wzgórzem. Wkrótce odgłos licznych tętentu koni i chmura pyłu dały świadectwo, że oddział brodatych wojowników umknął w step.

Nikotele tymczasem podbiegła do uratowanej młodej kobiety i w geście – sam nie wiem – uwielbienia czy przyjaźni objęła ją w pół, tuląc do piersi.

Wyszliśmy z ukrycia. Młoda kobieta mierzyła nas bystrym spojrzeniem, nasze stroje musiały wydać jej się obce, lecz zachowanie Nikotele zupełnie ją uspokoiło, tak że nie wydawała się zalekniona. Nikotele dała jej swój płaszcz, którym okrywała się w zimne noce, i zaciągnęła ją do naszego ogniska. Ręce kobiety drżały, gdy piła podane jej wino. Na jej ciele dostrzegłem liczne ślady uderzeń – widać brodaci wojownicy nie obchodzili się z nią łaskawie. Jasnowłosa zaczęła coś mówić, zwracając do Nikotele, ale ta nie rozumiała jej mowy. Nie rozumiał jej zresztą nikt z nas. Kazałem przywołać Damisa, tłumacza wyprawy, licząc, że może on pojmie mowę Amazonki.

Kiedy zjawił się wreszcie Damis, nie bez trudu porozumiał się

z uratowaną. Okazało się, że istotnie pochodzi z plemienia Amazonek, ma na imię Lais oraz, że brodaci wojownicy napadli na ich obóz. Nie wyrażała nam podzięków za ratunek, chwilami tylko gładziła, w geście bardzo kobiecym, dłonie Nikotele. Gdy uspokoiła się, powiedziała, że musi odnaleźć ciało zabitej i zobaczyć, czy w dolinie nie zostały inne. Nikotele ofiarowała się iść z nią razem, a ja – chyba z ciekawości – postanowiłem, że będę im towarzyszył. Dołączył do nas jeszcze Amintor, Damis i kilku wojowników.

Zabita Amazonka została zmasakrowana ciosami mieczy i oszczepów – był to obraz straszny. Widać, że mordercom nie chodziło tylko o zabójstwo, ale o wyładowanie gniewu i nienawiści. Obraz, jaki nam się przedstawił w dolinie, był jeszcze straszniejszy – ma dwóch palach, wbitych głęboko w ziemię, konały w straszliwej męce dwie młode kobiety. Dwa inne pale o zaostzonych jak włócznia końcach, leżały w trawie. To przed tą straszliwą śmiercią uciekły obie kobiety. Udało się nam zdjąć obie nieszczęsne istoty z pali, ale nic nie mogło ich już uratować i zmarły wkrótce potem, jak ułożyliśmy je na murawie.

Byliśmy tak zajęci tymi czynnościami, że nie zauważyliśmy, kiedy nagle wokół nas zjawiły się istoty podobne do owej Lais, było ich chyba z trzydzieści. Miały włosy związane z tyłu lub splecione w warkocze, proste suknie z szarej wełny ściśnięte w kibici rzemiennym pasem i broń – oszczepy, noże i łuki.

Lais zagadała coś do nich ostro, wskazując na nas i na ciała zabitych, a następnie na Nikotele. Zrozumiałem, że opowiada o wszystkim, co tu się wydarzyło. Jej ton głosu wydał mi się tak

władczy, że aż mnie to zastanowiło. Czyżby Nikotele uratowała jakąś księżniczkę Amazonek? A swoją drogą nie chciałbym mieć takich przeciwników. Te kobiety budziły rzeczywiście respekt, a w boju mogły być groźne.

Potem Lais zawołała Damisa i powiedziała coś do niego. Damis zaczął tłumaczyć słowa Amazonki:

– Królowa Lais pozdrawia was i pozwala odejść wam wolno.

Być może królem była tu przewodniczka każdej większej grupy. Najdziwniej brzmiało jednak to zezwolenie odejścia, wyrażone do ludzi, którzy nie okazali jej dotąd ani cienia nieprzyjaźni.

– Droga królowo – odezwałem się wówczas do niej, a Damis, miejmy nadzieję, że wiernie, tłumaczył moje słowa. – Droga królowo, cieszymy się, że mogliśmy pomóc ci w potrzebie. Jesteśmy kupcami z Achai, którzy wędrują po różnych krajach wokół brzegów Niegościnnego Morza, nazywanego także Morzem Czarnym. Płyniemy teraz do kraju Taurów, czy możesz nam powiedzieć, co tam spotkamy?

– Śmierć – odparła krótko królowa Amazonek. – Zabijają tam wszystkich, którzy lądują od strony morza.

– Cóż nam więc radzisz? Jak się tam dostać?

– Nic tam nie ma, lud to biedny i dziki, ale bitny. Jest tam jedna tylko droga kupiecka – od lądu, ale wy na kupców nie wyglądacie.

– A jeżeli przywdziejemy kupieckie szaty, wejdziemy lądem na Taurydę?

– Wpłynięcie na Morze Meockie, wejdźcie potem na lądowy szlak wiodący ku górą Taurydy i na przełęczy rozbijcie obóz. Może będą tam z wami handlować. Kupują tylko dobrze wykutą broń. A płacą złotem. To piraci! – A po chwili dodała: – Piraci, jak wy...

No cóż, nie mogłem temu zaprzeczyć ani upierać się przy naszej kupieckiej profesji. Byłoby to śmieszne.

– Mają tam złoty posąg Wielkiej Matki Bogów... – powiedziałem.

– To także nasza Matka – odparła.

– Mają tam także kapłanki.

– Interesują was Taurowie, posąg czy kapłanki?

– Tylko sami Taurowie – skłamałem i myślę, że kłamstwo to łatwo przejrzała.

– Cześć wobec Wielkiej Matki to jedyne co zostało w sercu Taurów. Mają tam również cześć dla Dioskurów, bo to także żeglarze – jak wy. Naszymi okrętami są konie, a morzem – step... Dioskurowie nas nie obchodzą.

– Czy pomogłybyście nam znaleźć szlak na Taurydę?

– Nic łatwiejszego. Sami znajdziecie. To wszystko, co chciałeś wiedzieć?

– Wszystko.

– Wracajcie do swoich i strzeżcie się Kimmerów...

– To byli ci, którzy na was napadli?

– Tak. Niebezpieczni w gromadzie i niebezpieczni na koniach. Wy koni nie dosiadacie?

– Nie.

Odwróciła się i podążyła do swoich. Wtedy zobaczyłem, że prowadzą dla niej konia. Czas było i nam odejść. Okazało się jednak, że ktoś jeszcze zamierzył przeszkodzić w tym rozstaniu. Nikotele.

Lais miała już skoczyć na grzbiet konia, gdy nagle dopadła ją Nikotele. Bez złości, a nawet jakby z czułością, Amazonka

przytuliła jej głowę do swej piersi. Ten gest achajskiej kobiety rozumiała jako chęć pożegnania. Ale nie było to pożegnanie. Nikotele wskazywała na siebie i na nią, potem na inne kobiety i w głąb lądu.

– Nikotele, tyś oszalała! – wyrwało mi się, gdy rozumiałem wymowę tych gestów. – Nikotele!...

Zdaje się, że dopiero wówczas Lais pojęła, czego chce od niej jej zbawczyni. Iść z nią! W step! W krainę Amazonek! W krainę, gdzie rządzą prawa Wielkiej Macierzy!

– Nikotele, nie odejdziesz!

Odrzuciła się z płomieniem w oczach. Znałem te płomienie. Aż za dobrze znałem. To już był koniec. Przestałem dla niej istnieć, przestały istnieć nasze noce w szałasie pasterskim w Fokidzie i noce na statku, nasze słowa i ciepło naszych ciał.

– Nikotele, przecież masz mi urodzić dziecko !

– Tam urodzę! – powiedziała wskazując na step. – Mam dość ciebie i twojego przyjaciela Oresta. Niech on cię utuli w swych objęciach, jak zapewne dawniej to czyniliście. Idź precz – do swoich! Nienawidzę was wszystkich!

Zrobiłem jakiś gest, chcąc podejść do niej, chwycić ją za rękę, ale wtedy nagle wyrwała z rąk najbliższej stojącej kobiety lekki oszczep i skierowała w moją pierś. Nie żartowała ani nie próbowała mnie zastraszyć. Była gotowa zabić. Widziałem, jak otaczającym ją kobietom zaiskrzyły się oczy. Chciałem ją spytać, czy wie, gdzie leżą obozowiska tych kobiet, czy jest pewna, co może się stać, jeżeli urodzi syna?... Chciałem jej zadać jeszcze mnóstwo innych pytań – chyba zbytecznych. Na szczęście Amintor położył mi dłoń na ramieniu i powiedział spokojnie, cichym głosem:

– Chodźmy, Pyladzie... Nic tu już po nas.

Słyszałem potem, jak Amazonki wydawały radosne okrzyki, jak wiwatowały na jej cześć. Któraś z nich musiała wziąć ją na swego konia, nie wyobrażałem sobie bowiem Nikotele na grzbiecie rumaka. Głosy oddaliły się, zlały w całość z tupotem galopujących koni. Gdy przystanąłem i odwróciłem się, wielka chorągiew pyłu znaczyła tylko ślad, dokąd odjechały te córki stepów – zabierając trzy okaleczone ciała umarłych i jedno całe, żywe, gorące... moją Nikotele.

Tak straciłem swoją żonę. Nigdy już jej nie zobaczyłem, nigdy nic o niej nie usłyszałem. Nie wiem, czy urodziła moje dziecko, a jeżeli tak – czy był to syn, czy córka i co się dalej stało.

Gdy wracaliśmy, Amintor szedł obok mnie, opierając dłoń na moim ramieniu. Wojownicy postępowali za nami w oddaleniu, aby nie dać mi odczuć współczucia w moim bólu, byłoby to bowiem – w ich pojęciu – niezbyt męskie. Jedynie Amintor mógł sobie pozwolić na szczerość.

– Drogi Pyladzie – mówił, zwracając się do mnie dość poufale, ale jego wiek, mądrość i moje załamanie całkowicie ten poufały ton usprawiedliwiały. – Drogi Pyladzie, obserwowałem ciebie i Nikotele od pierwszego dnia naszego spotkania. Sądzę, że miała ona duszę i serce Amazonki i ujarzmić ją mogłeś tylko godząc się na niewolnictwo albo jej sile i temperamentowi przeciwstawiając inny, silniejszy i brutalniejszy – łamiąc jej godność. Pierwszy sposób stosują zazwyczaj kobiety wobec żadnych władzy mężczyzn. Ujarzmiają ich poddaństwem, właściwie niewolnictwem. Taki mężczyzna jest wówczas przekonany o własnej

sile, nie zdając sobie sprawy, że już dawno owa niewolnica założyła mu na ręce i nogi złote kajdany. Mogłeś więc zdobyć Amazonkę Nikotele w ten sposób, ale dobrze się stało, że do tego nie doszło. Jednak nie potrafiłeś również zaimponować jej siłą, stanowczością, męstwem, obroną własnej decyzji i co najważniejsze – ukazując przed wszystkimi swoje prawo męża, żądając szczególnych dla niej i dla siebie przywilejów w tej wyprawie, kpiąc sobie z niezadowolenia Oresta.

– Wówczas by odmówił mi prawa wzięcia udziału w wyprawie!

– A jakie to on miał prawo do odmawiania czegokolwiek? To ty wyświadczyłeś mu dobroć, godząc się na ten rejs. Ty mogłeś stawiać warunki lub nie, a nie on. A jego wyprawa bez ciebie nie byłaby tak łatwa – ostatecznie miał jednego człowieka, któremu mógł bezgranicznie ufać. To się liczy. Odnoszę jednak wrażenie, że byłeś za słaby, aby stawiać mu warunki – nie możesz więc mieć żalu, że kobieta o sercu Amazonki pogardziła tobą. Może nie byłeś tak słaby, ale Nikotele zajmowała drugie miejsce w twoim sercu – po wyprawie, po Złotej Bogini, po Oreście. Chciałeś pogodzić swoje pożądanie przygody i chęć posiadania Amazonki za żonę. Nikotele żądała, aby być w twoim życiu wszystkim i miała do tego prawo. Potrafiłeś dać jej tylko cząstkę.

Tak mówił Amintor. Albo lepiej to określając – takiej treści były te jego nauki. Chyba bowiem znacznie prostszych używał wtedy sformułowań aniżeli ja, który to dziś, po upływie kilku tysięcy lat – piszę. Nie był to balsam na rany mojego serca. Nawet przeciwnie – ukazywał mi moje własne słabości, ale za to wracał

mnie do rzeczywistości, każąc zgodzić się z tym, co się stało.

Była to jednak największa klęska w moim życiu i cokolwiek by się powiedziało na pocieszenie, jakkolwiek przyjąłbym wartość życia – nie mogłem uchronić się przed świadomością własnego poniżenia, upadku, bezradności.

Kiedy wróciliśmy do obozowiska, przyjęto nas z radością, zaczęto bowiem niepokoić się o nasz los. Dziwne, że ów niepokój nie kazał Orestowi wysłać w ślad za nami jakiegoś zwiadowcy. Ale też dość prędko odkryto, co zdarzyło się tam, za niedalekimi wzgórzami.

Amintor chyba zrelacjonował Orestowi zarówno mój osobisty dramat, jak i rozmowę, jaką miałem z Lais, władczynią czy też rzeczywiście królową – jak jej tytuł przełożył Damis – – Amazonek. Nie wiem, co bardziej poruszyło Oresta, ale gdy znalazł mnie samotnego, siedzącego na plaży i patrzącego na morze, zachował się w sposób godny. Nie próbował tłumaczyć, jak Amintor, ale bardzo serdecznie uściśnął mi ramię i rzekł tylko:

– Ech, Pyladzie, jak dalekie i jak coraz bardziej piękne wydają się te nasze wspólne wyprawy w góry Fokidy!

Znaczyło to – masz, bracie, troski, ale i ja je mam. Bez trosk była tylko nasza młodość w Fokidzie. Tak w każdym razie tobie tłumaczyłem, tak chciałem to zrozumieć. Potem zaproponował mi rzucanie oszczepem do celu, na co chętnie przystałem. W zabawie tej wzięli wkrótce udział także inni wojownicy, przez co atmosfera jakby rozładowała się, a nieobecność Nikotele pokryła swoboda męskiej kompanii. Ba, wydało mi się, że obie załogi jakby wyprostowały zgarbione barki – zmianę tę poczuły

jako szczęśliwe zrządzenie losu. Kto wie – może ta smukła, młoda kobieta na pokładzie u niejednego siała niepokój w sercu i głupie sny. Chyba istotnie głupotą było zabieranie do tak licznej kompanii zabijaków jednej kobiety...

Następnego dnia popłynęliśmy dalej na zachód, aż otworzyła się nagle przed nami, po północnej stronie, cieśnina. Był to Bosfor Kimmeryjski, za nim srebrzyła się w słońcu gładź Morza Meockiego. Jak wielkie jest to morze, nie wiedział nikt, nawet Saonasz. Jedni mówili, że jest tak wielkie jak Morze Czarne, inni że mniejsze, a na jego północnym wschodzie znajduje się następna cieśnina, choć byli i tacy, którzy tę cieśninę nazywali po prostu rzeką i mianowali Tanais. Owa cieśnina lub rzeka Tanais sięgać miała wód Wielkiego Oceanu, na którym pływa – jak liść na jeziorze – cała nasza ziemia.

Bosfor Kimmeryjski nie przypomina Bosforu Trackiego. Jego wschodnie brzegi są niskie, pełno tu zatoczek, piaszczystych łąch i półwyspów, brzegów porośniętych szuwarami. Woda nie jest tu tak słona jak na Morzu Czarnym, ale też wpływ ma na to Tanais i płynąca wprost ze wschodu rzeka Hypanis. Brzegi Taurydy wyglądały dość groźnie, zwłaszcza przez rysujący się na horyzoncie masyw gór, w których mieściły się leża Taurów.

– To jedno wiem – opowiadał Saonasz – że Tauryda sprawia wrażenie wyspy, łączy ją bowiem z lądem wąski pasek ziemi. Wyspa ta, lub – jak chcecie – półwysep, przypomina równy blok kamienny wrzucony do jeziora. Jedna jego strona wystaje wysoko ponad powierzchnię, druga zniża się aż do poziomu wody. Ta niższa to połączenie Taurydy z lądem. Ta wyższa to właśnie góry, które widzicie na horyzoncie, kończące się nad morzem

nierzadko urwistą ścianą. Stąd właśnie poszła nazwa o skalistym gnieździe Taurów, bo z morza wygląda ono groźnie.

A więc rację miała Lais, radząc dotrzeć do Taurów od północy, od stepowej równiny, którądy prowadzić miał jakiś szlak kupiecki. Szlak ów – zdaniem Saonasa – przechodził przełęczą wśród gór i schodził aż na sam brzeg morza, w tym miejscu niezwykle urodzajny, pełen gajów oliwnych i przypominających południowe skłony achajskiego lądu.

Pod wieczór dobiliśmy do brzegów Taurydy od strony Morza Meockiego i rozpaliliśmy ogniska. Była to ostatnia noc przed podjęciem decydujących wniosków – w jaki sposób postanawiamy osiągnąć skaliste gniazdo. Przyznam, że w tej atmosferze napięcia i bojowej gotowości zmalał nagle ból za utraconą Nikotele. Czyżby tak mało znaczyła w moim życiu? Nie, to po prostu nowe spiętrzenie niebezpieczeństw zajęło mój umysł na tyle, że odleciały gdzieś tamte troski, dając pierwszeństwo innym. Dla mieszkańców wybrzeży Morza Niegościnnego, zwanego także Czarnym, Tauryda oznaczała przecież tajemnicę i grozę jednocześnie, piękno i śmierć.

A tymczasem nasze sandały deptały już piaski Taurydy.

8. Tauryda

Plan był następujący. Ja z Orestem oraz pięciu moich włóczników z Fokidy i tłumacz Damis mieliśmy wyruszyć pieszo na główny szlak nazywany kupieckim i dotrzeć do straży taurydzkich.

Chcieliśmy występować jako kupcy, zabraliśmy więc na handel jeden hełm, kilka mieczy i żelazny topór Dorów. Gdyby nie chcieli z nami rozmawiać, a potraktowali nas jak nieprzyjaciół, mogliśmy się tą bronią posłużyć już nie jako kupcy. Gdyby było prawdą, że legenda o Dioskurach dotarła aż tutaj, postanowiliśmy uczynić wszystko, aby uwierzono, że to my jesteśmy Dioskurami.

Gdyby natomiast nas przepędzono, mieliśmy wrócić na okręty i wówczas przedsięwziąć drugą wyprawę na leże Taurów, już wojenną.

Jeżeli wszystko poszłoby dobrze, wówczas obiecaliśmy rozpałić pod jakimś pretekstem ogień, aby jego blask w nocy, a dym w dzień, ściągnął oba okręty ku nam – do stóp skalistego gniazda Taurów.

Na czas naszej nieobecności dowódcą całej wyprawy uczyniliśmy Amintora, a obu okrętami dowodzili Saonasz i Hattasz.

Może się wydać dziwne, że wyruszyliśmy we dwójkę. Słuszniejsze byłoby wybrać się jednemu, podczas gdy drugi zostałby z częścią wojowników na okrętach. Ale było to konieczne, ponieważ Orest, który dotąd był nieugiętym wobec wszystkich przeciwności wodzem wyprawy, nagle zaczął załamywać się. W rozmowie nie taił przede mną, że zastanawia się, czy całe to zlecenie mu pracy godnej Heraklesa nie było po prostu znową, aby go się pozbyć. Moim zdaniem – jeżeli nawet miał rację – za późno było się cofać. Mielibyśmy wówczas przeciwko sobie nie tylko Ateńczyków, ale i załogi naszych okrętów. Nie, nic innego nam nie pozostawało, jak próbować szczęścia na taurydzkim lądzie i odnaleźć Złotą Boginię albo zginąć. Zresztą śmierć przestała być dla

mnie groźna, przestałem się jej lękać, jakkolwiek byłem pewny, że stanowi ona przekroczenie bramy, za którą rozciąga się tylko wieczna noc. W tym desperackim nastroju byłem potrzebny jak nigdy Orestowi i zaryzykowałem wędrówkę z nim razem, nawet gdybyśmy mieli zostać opuszczeni przez naszych żeglarzy – po takim rozbójniczym bractwie wszystkiego można się było spodziewać.

Nie wiem, czy wyglądaliśmy jak kupcy, kiedy po długiej podróży opuszczaliśmy oto pokłady naszych okrętów, żegnani przez obie załogi. Ja bym tam nigdy takim kupcom nie zaufał. Na co liczyliśmy? Chyba głównie na szczęście.

Weszliśmy w step wysoki, bujny, spalony przez słońce, pachnący obco, wyższy niż znane nam łąki achajskie i pastwiska azjatyckie. Jeszcze z najbliższego wzgórza dostrześliśmy kadłuby naszych okrętów, ale potem mieliśmy już tylko wokół siebie ocean traw.

Pierwszego dnia nie spostrześliśmy nikogo, ale drugiego ujrzeliśmy w oddali stado koni strzeżone przez dwóch jeźdźców, którzy – gdy tylko nas zobaczyli – pognali zwierzęta gdzieś ku stepowemu horyzontowi, gdzie wznosiły swoje łby nadmorskie góry. Z tej strony wstęp na grzbiety tych olbrzymów był dość ułatwiony – teren wznosił się bowiem kolejnymi sfałdowaniami, tracąc powoli bujność stepowych traw, pamiętałem jednak, że z drugiej strony zaczyna się straszliwe urwisko i rumowisko skalne schodzące aż do samego morza.

Dość łatwo znaleźliśmy szlak karawan, o którym mówiła Lais, królowa Amazonek, a który zaprowadzić miał nas ku przełęczy, gdzie zaczynały się leża Taurów. Widzieliśmy już w oddali stada

owiec, co przekonywało nas, że nie jest to obszar bezludny. Tego dnia Orest kilkakrotnie zwracał się do mnie z pytaniem, czy nie odczuwam, że ktoś idzie naszym tropem, że jesteśmy przez kogoś obserwowani. Pytał o to w dodatku przy naszych Fokijczykach, cóż więc mogłem mu odpowiedzieć? Oczywiście żartowałem, mówiąc, że mignęła mi wśród traw kita lisa, który wziął nas za kuropatwy, ale sam czułem w sercu niepokój. Nie był on uzasadniony, nie zobaczyłem bowiem nic i nie usłyszałem żadnego głosu, żadnego dźwięku, który nakazywałby ostrożność, ale i ja miałem to samo wrażenie, że czyjeś oczy śledzą nasz pochód.

– Czy nie masz do mnie żalu, Pyladzie, że wyrwałem cię z Fokidy na tę niebezpieczną wędrówkę? – spytał na wieczornym biwaku, wracając zupełnie niepotrzebnie do sprawy Nikotele, o której nie chciałem zupełnie myśleć, a tym bardziej mówić. – Byłbyś dziś szczęśliwy z Nikotele, tam, w twojej pięknej Fokidzie, a tymczasem jesteś tu, ze mną, u stóp Taurydzkich Gór, na szlaku wiodącym ku mrokom Hadesu.

Skarciłem go dość ostro za tę wizję Hadesu, co było konieczne ze względu na towarzyszących nam Fokijczyków. Nie wolno wodzowi, idącemu na wyprawę, mówić wobec swoich wojowników o śmierci. Powinien wierzyć, że wróci z tej wyprawy wszyscy i to w doskonałym zdrowiu. I tak powoli sam zacząłem przejmować inicjatywę, wydawać rozkazy i kierować marszem, choć nie dla mnie miała być ratunkiem Złota Bogini.

Bodajże wtedy zaczął Orest mówić o Elektrze i później już wielokrotnie to powtarzał. Elektra, jego siostra, która towarzyszyła

nam w wyprawie do Myken i obaleniu Ajgista, była piękną i mądrą dziewczyną. Podobała mi się, choć była ode mnie trochę starsza, ale równocześnie, lękałem się jej. W stosunku do mnie była łagodna, niemal tkliwa, ale widziałem, jak zdecydowanie i na zimno organizowała zamach na Ajgista. Właśnie – nie był to mord popełniony w szale zemsty, ale zaplanowany, spokojny. Dlatego bałem się Elektry.

Orest twierdził, że Elektra wypytywała go o mnie i że pragnęła spotkać się znów z nami, że miałem szanse zdobyć jej miłość. Przyznam, że w innych warunkach rozgniewałaby mnie ta mowa mojego przyjaciela, ale sam zdziwiłem się sobie, że temat Elektry spodobał mi się. Bezwiednie, a może celowo, Orest pomógł mi, gdy w myślach wracał obraz Nikotele, natychmiast przywoływać w pamięci inny wizerunek – Elektry. Była to gra wyobraźni, do której wtedy nie przywiązywałem większej wagi. Ale przynajmniej mój druh przestawał mówić o śledzących nas oczach, o szeleście czyichś kroków wśród wysokich traw.

Następnego dnia wysokie trawy nie tworzyły już oceanu, rosły kępkami wśród skał i pagórków, w cichych dolinach. Na szczytach wzgórz hulał wicher. Było nawet zimno, mimo dość pogodnego słońca.

– Jestem zmęczony – wyznał mi nagle Orest na biwaku, kiedy słońce świeciło na południowym niebie, nad coraz bliższymi Górami Taurydzkimi. – Jestem zmęczony walką o sprawiedliwość w Mykenach, o pomszczenie krwi mojego ojca Agamemnona, o oczyszczenie się z winy zabójstwa mojej matki, której – ty wiesz o tym najlepiej – nie byłem mordercą... Jestem zmęczony tułaczką,

sądami i wszystkimi moimi wojennymi wyprawami. Już dawno walka o cześć, o prawo, o krew Atrydów, zamieniła się w zwykły rozbój, jaki prowadzą włóczędzy po drogach. Brakuje mi sił, aby zdobyć Złoty Posąg...

– Teraz już za późno, Oreście. Musimy go zdobyć.

– Tak uważasz? – spytał wodząc dookoła nieprzytomnym wzrokiem.

Robił wrażenie chorego. Dotknąłem jego czoła. Było zimne. Czyżby nadchodził atak tej jego dziwnej choroby? Fokijczycy patrzyli na tę scenę ponuro. Nie pytali, nie śmieli mnie pytać. Zaufali mi ślepo – byłem ich wodzem i władcą. Ale rozumieli, że oto nagle coś w tej całej wyprawie zaczyna się psuć. Coś, co działa silniej niż przeciwne wiatry na okręt. Obaj byliśmy dla nich ucieleśnieniem herosów. Herosom nie wolno chorować, słabnąć, wątpić.

Pomyślałem, że powinienem coś do nich powiedzieć, coś im wyjaśnić, dodać im ducha. To ja przecież byłem teraz wodzem. To śmieszne albo zgoła dziwne – nieszczęście, jakie nawiedziło mnie w związku z odejściem Nikotele – brzemiennej Nikotele – nie załamało mnie, ale jakby przydało nowych bodźców moim czynom. Chciałem iść naprzód, zdobywać ów Złoty Posąg, który prawdę mówiąc obchodził mnie tylko ze względu na przyjaźń z Orestem, chciałem walczyć. Walczyć? Kiedy oto postanowiłem wypowiedzieć do moich Fokijczyków słowa otuchy, jakie wódz wypowiada do swych wojowników, nagle jeden z Fokijczyków krzyknął głośno i zwałił się na ziemię, kopiąc nogami piasek.

Dwóch jego towarzyszy rzuciło się na pomoc, ale była ona zbyt słaba. W plecach mego wojownika tkwił głęboko wbity

oszczep. Dwóch innych moich ludzi pobiegło ku najbliższej skale, myśląc zapewne, że za nią ukrył się ten, kto rzucił oszczepem. Damis, poszarzały ze strachu, przypadł do moich kolan. Uspokoiłem go i sięgnąłem po włócznię. Ale nie zobaczyłem żadnego nieprzyjaciela. Orest sprawiał wrażenie zupełnie obojętnego na wszystko, co działo się dookoła. Ranny konał na rękach swych druhów. Damisowi poleciłem strzec Oresta, a sam uzbrojony w lekką włócznię pobiegłem w ślad za dwoma Fokijczykami, którzy pragnęli odnaleźć napastnika. Znalazłem ślady ich stóp i poszedłem za tymi śladami pod górę. Wkrótce wszedłem w parów porośnięty zieloną trawą upstrzoną żółtymi kwiatami. Dookoła latały wielkie, kolorowe motyle.

Wśród tych traw, kwiatów i motyli leżały ciała obu Fokijczyków. Zginęli gwałtownie, w ten sam sposób, jak ich towarzysz, ale czyjeś ręce wyciągnęły już z ich piersi groty oszczepów. Została tylko krew. Dużo krwi...

Zatrzymałem się i obejrzałem dookoła, ściskając w dłoni, już w beznadziejnym geście, broń. Poczułem strach. Gdybym zobaczył przeciwnika, może nie bałbym się tak bardzo, lecz obok mnie ginęli moi ludzie od ciosów niewidzialnego wroga. Nasłuchiwałem, ale dzwoniły tylko wśród traw cykady i niósł się gdzieś trel ptaka.

Nagle usłyszałem przeraźliwy krzyk.

Poznałem głos Oresta.

Ile sił w nogach pobiegłem z powrotem, skacząc z kamienia na kamień. Już z daleka ich zobaczyłem. Nosili wysokie czapki z przyczepionymi z wierzchu rogami oraz długie, szare płaszcze. Byli brodaci i uzbrojeni.

Otoczali kręgiem nasz biwak, gdzie właśnie Orest wił się w ataku swej strasznej choroby. Jego członki drżały, drapiąc ziemię, to znów wyprężyły się jak liny trzymające maszt. Oczy miał szklane, niewidzące, z gardła wydobywały się nieokreślone dźwięki, przypominające wycie psa, z kątów ust płynęła ślina.

Nie opodal klęczał szary z przerażenia Damis, a jeszcze dalej leżeli moi Fokijczycy. Wszyscy. Być może usiłowali powstrzymać tych, którzy napadli na biwak. Zginęli chyba natychmiast. Życie Oresta, Damisa, a w końcu także moje – ocalił zapewne atak Oresta.

Odłożyłem włócznię, podszedłem do Oresta i klęknąłem przy nim. Pragnąc mu ulżyć w bólu, połą mego płaszcz otarłem pianę z jego ust i złożyłem jego głowę na moich kolanach. Byłem obojętny na to, co się za chwilę z nami stanie. Wszelki opór nie miał żadnego sensu. Tłumaczenie czegokolwiek tym dzikusom, którzy nas otoczyli i wymordowali moich Fokijczyków, także nie zdałoby się na nic. Jediną nadzieją mógł być strach, jaki dostrzegłem w ich oczach. Strach – spowodowany prawdopodobnie atakiem choroby Oresta. Zresztą cóż można się dziwić dzikusom, skoro w Attyce atak ten poczytano by za męki zadawane duszy mego nieszczęsnego przyjaciela przez Erynie ścigające go za domnie-maną śmierć Klitajmestry, jego matki.

Co jednak czekało nas po przejściu ataku – jeżeli w ogóle miał on minąć? Powinienem być coś przedsięwziąć...

Nic jednak już nie przedsięwziąłem.

Uczułem nagle potężne uderzenie i cały świat rozprysł się jak gładź spokojnej sadzawki, gdy wrzucić do niej sporych rozmiarów głaz. Potem ogarnęła mnie ciemność i cisza.

Przytomność wracała powoli i opornie. Już byłem świadomy bólu, ale wciąż jeszcze ogarniała mnie noc. Już słyszałem jakieś głosy, ale nie łączyły się one w żadne słowa, nie miały żadnego sensu. Potem nagle zrozumiałem, że mrok jest nie we mnie, ale poza mną i zobaczyłem w głębi czarnej studni gwiazdy. Nie, nie była to studnia. Raczej grot. I sam nie wiem, skąd brały się gwiazdy. To raczej były iskry. Przed wylotem jaskini paliło się bowiem ognisko. U wejścia siedział człowiek w spiczastej czapce i kiwał się sennie, ale nie spał, bo jednocześnie mruczał jakąś dziką pieśń. Był to zapewne mój strażnik. Tylko mój? Ruda poświata ognia wydobywała przed moimi oczami niektóre szczegóły lochu – pierwszy: że całe to pomieszczenie jest niewielkie, drugi: że nie jestem sam. Obok przykucnął Damis. Nieco dalej zaś leżał na ziemi Orest. Czyżby nie żył? Ależ nie! Usłyszałem wyraźnie jago równy oddech. Natomiast od strony Damisa doszło mnie jakby pochlipywanie. Pomyślałem, że jego tchórzostwo może sprowadzić na nas jakąś biedę. Ale co mogło nas jeszcze spotkać gorszego? Chyba tylko śmierć. A śmierci się nie bałem. To znaczy nie myślałem o niej w ogóle – gdyby jednak przyszła, kto wie, czy nie wrywałbym się do życia. Coś siedzi takiego w człowieku, co każe mu żyć za wszelką cenę, nawet gdy życie wydaje się już niemożliwe albo pozbawione sensu. Damis więc szlochał, Orest spał, wartownik w spiczastej czapce mruczał jakieś smętne, dzikie pieśni, a ja wracałem z otchłani mroku do świata. Głowa pękała z bólu i dotknąłem nią wilgotnej ściany. Poczułem kojący chłód, ale równocześnie musiałem urazić uderzone miejsce, bo zaraz syknąłem z bólu.

– Pyladzie, ty żyjesz! – szepnął Damis.

– Ano żyję.

Ruszyłem ręką, potem nogą – okazało się, że nie byłem skrępowany. Nasi prześladowcy musieli być pewni, że im nie uciekniemy.

– Co mamy robić? – szepnął znów Damis.

– Nic, zupełnie nic – odparłem, jakby istotnie można było w tej sytuacji snuć jakieś plany ucieczki, a ja doradzałem zrezygnować z nich. – Obecnie najważniejsze, to spać. Musimy mieć siłę na jutrzejszy dzień.

– Czy oni nas zabiją?

– Ominęło nas najgorsze – śmierć tam, na stepie. Teraz żyjemy, nawet nie jesteśmy skrępowani. To już dobrze. Śpij, Damisie. Ja też spróbuję zasnąć. A jutro może uda się coś wymyślić.

Sądzę, że moje słowa podziałały na Damisa uspokajająco. Jeszcze chlipnął raz czy dwa, ale po jakimś czasie zmienił pozycję i wyciągnął się na kamieniach. Ja uczyniłem to samo. Musiał nasz tchórzliwy tłumacz uwierzyć, że jutro coś wymyślimy, bo wkrótce usłyszałem jego miarowy oddech. Ja wiedziałem, że nic nie wymyślimy, jeżeli samo życie czegoś w naszym położeniu nie zmieni. Byliśmy we władzy Taurów. Tego mogłem się domyślić. Ale co postanowiono z nami uczynić? Czy uda się nam zobaczyć z ich władcą, noszącym imię Toas i spokrewnionym z pniem Jazona? A jeśli nawet – co może to przynieść? Tak rozmyślając, trudno było mi usnąć. Ból stawał się tymczasem coraz silniejszy, gęstniał, ogarniał nie tylko głowę, ale wszystkie członki. Musiałem oberwać solidne uderzenie – to przypadek, że mój czerep nie pękł od takiego ciosu. Myśli zmętniały, ból stał się tępy. Nie

słyszałem już ani oddechu obu moich towarzyszy, ani mruczenia strażnika, ani własnego jęku. Zasnąłem.

Rano otrzymaliśmy pożywienie i zjawił się ktoś niby kapłan, niby mag – starzec w czarnej, długiej szacie ze spiczastym kapturem. Obejrzał starannie moją głowę, nasmarował bolące miejsce jakimś płynem, a potem długo masował skronie Oresta, aż ten otworzył przytomnie oczy. Wtedy starzec napił go wywarem z jakichś ziół, po którym Orest poczuł się lepiej, a nawet uczynił to samo, co my z Damisem – skosztował przyniesionego pożywienia.

Jeżeli karmią nas, to nie mają chyba zamiaru zabijać – myślałem. – W każdym razie jeszcze nie teraz. – Na ludożerców także nie wyglądali. Co dziwniejsze – nie tylko nie krępowali nas, ale nawet strażnik sprzed wrót groty przeniósł się dalej, tak że mogliśmy wyjść na dwór i rozkoszować się blaskiem słońca.

– Jak sądzisz, Oreście, co to wszystko ma znaczyć? – zapytałem przyjaciela.

– Nie wiem, zupełnie nie mogę zrozumieć – przyznał Orest, a następnie zapytał, co się stało tam, na stepie. Nie był bowiem przytomny napadu i nie widział masakry naszego oddziału włóczników fokijskich.

– A może dotarła tu wieść o Dioskurach i naszym podobieństwie do nich? – próbowałem zgadywać.

– Dlaczego w takim razie nie zabili Damisa?

– Był bez broni i może to wydało się im podejrzanym – rozważałem głośno. – Ty wileś się w bólach. Mogli więc przestraszyć się, że rozmawiasz właśnie z bogami, zabicie więc ciebie byłoby napaścią na bogów. Po prostu nie wiedzieli, co czynić. Chyba ten, który zdzielił mnie wówczas w głowę, do dziś boi się gniewu

bogów. No i co bardzo ważne – nie rozumieją po achajsku. A ty ich rozumiesz, Damis?

– Bardzo niewiele, panie – odparł nasz tłumacz. – Wychwytiłem kilka słów bliskich ludom Kolchidy lub Paflagonii, ale ich mowy nie znam. Gdybym musiał coś przetłumaczyć dla nich, pewnie by się mi to udało, mógłbym przecież powtórzyć to w kilku gwarach nadmorskich. Ale gorzej ze zrozumieniem tego, co oni mówią.

W odległości jakichś dwudziestu kroków od wylotu jaskini, gdzie prowadziliśmy tę rozmowę, płonęło ognisko, przy którym siedziało trzech wojowników w spiczastych czapkach i burych oponczach. W rękach trzymali włócznie i moją uwagę zwróciła ich długość oraz grubość. Były to najcięższe i najdłuższe włócznie, jakie widziałem dotąd. Ale najciekawsze było ich zwieńczenie – grotły były bowiem z żółtego, lśniącego w słońcu metalu. Ależ tak, to było złoto! Zwróciłem na to uwagę Oresta i obaj jakiś czas przyglądaliśmy się w milczeniu tej dziwnej, drogocennej broni.

– Wczoraj mieli włócznie zakończone grotami z brązu – bąknąłem pod nosem.

– Na pewno?

– Tak mi się wydaje.

– Słyszałem w czasie moich podróży, że zwierzęta poświęcone bogom – albo te, w które wcielał się bóg – można zabijać tylko złotym grotem i to poświęciwszy go w oparach ziół, dokonując nad nim specjalnych obrzędów – zaczął mówić Orest, nie spuszczać wzroku z błysków promieni na złotych ostrzach.

– Znacząłoby to...

– Tak, znacząłoby to, że albo jesteśmy ofiarowani bogom,

albo sami jesteśmy wcielonymi bogami...

– Dioskurami?

– Może...

– Dobra włócznia warta jest w Achai jednego wołu – zaczął mówić nagle Damis, który podczołgał się z jaskini na powietrze i siadł za nami. Drachma, czyli garść dzid – sześć wołów. Ale taka włócznia jak ta...

Orest zaśmiał się słysząc te rachuby tłumacza. Byliśmy przecież w krainie, w której nie można było do miejscowych zjawisk przykładać achajskich miar wartości. Staliśmy tak z Orestem razem, patrząc na siedzących przy ognisku wartowników i złote groty ich włóczni, podczas gdy Taurowie zachowywali się tak, jakby w ogóle nas nie było. Rozmawiali z sobą swą bulgocącą mową i popijali jakiś napój z rytonów sporządzonych z bawolich rogów.

Polanka, na której się znajdowaliśmy, otoczona była urwistymi skałami i wiodła do niej tylko jedna ścieżka ginąca za najbliższym załomem skalnym. Może to było przyczyną, dlaczego wartownicy nie zwracali uwagi na nasze zachowanie? Po urwistych ścianach skalnych nie było łatwo uciec, gdybyśmy natomiast spróbowali ucieczki ścieżką, musielibyśmy przebiec obok nich. Dokąd jednak prowadziła ścieżka? Jeszcze raz spojrzałem na strome zbocza, na których tu i ówdzie wystrzelały kępy traw i krzewów, a niekiedy karłowata sosna. I oto nagle, na samej krawędzi urwiska, wśród bujniejszej tam roślinności, zobaczyłem twarz kobiecą, jej czoło wieńczył diadem. Spojrzały ku mnie czyjeś ciemne oczy i mignęło oblicze – jaśniejsze niż lica wartujących Taurów. Dotknąłem ramienia Oresta, wskazując drugą

ręką miejsce, gdzie ukazało się to dziwne zjawisko, ale kiedy on spojrzął w tamtą stronę – nic już nie było widać.

– Twarz... – powiedziałem. – Zobaczyłem twarz pięknej kobiety...

– Może dlatego odsunęli straż spod wejścia do tej groty, abyśmy wyszli na dwór i aby ktoś mógł nas z ukrycia obserwować? – zastanowił się Orest.

Po południu znów staruch w ciemnym płaszczu przyniósł nam rytony pełne naparu aromatycznych ziół. Wypiliśmy bez wahania, pewni, że ma to posłużyć naszemu zdrowiu. Znów także namaszczone mi głowę jakimś płynem. Ból jednak wciąż we mnie trwał i każdy gwałtowny ruch przypominał o uderzeniu. Orest natomiast czuł się znakomicie. Damis był nadal załamany i przerażony i spodziewał się wciąż najgorszego. Pieczoną baranię, jaką nam przyniesiono, zjadł jednak – tak jak i ja – z apetytem. Zastanawiałem się, dlaczego wciąż jeszcze nikt z nami nie rozmawia, bo przecież w tym celu trzymano nas tutaj, aby zaspokoić czyjąś ciekawość.

Rzecz wyjaśniła się o zmierzchu.

Weszło wówczas na polankę kilku ludzi z zapalonymi pochodniami i kilku nowych zbrojnych. Otoczyli nas i poprowadzili ścieżką, która tak mnie intrygowała. Doprowadziła nas ona do głównej drogi w górskim wąwozie, ale nie poszliśmy wzdłuż tego szlaku, lecz skręciliśmy znów w bok na inną ścieżkę. Teraz, na tych skalistych szlakach, zrozumiałem, jak trafnie zamianowano siedziby tutejszego ludu – skalistym gniazdem Taurów.

I oto znaleźliśmy się znów na obszernej polanie, ale niepodobnej do tej, gdzie trzymano nas dotąd. Ściany tej polany wyglądały

jak galeria posągów o niezwykłych kształtach – ludzi i zwierząt. Nazwałem ją w myśli doliną zjaw – nie wiedząc nawet, że tak samo mówią o niej miejscowi. Dolina Zjaw. Tak jakby za tłumem Taurów wyrósł nagle tłum straszyleń.

Niebo było czerwone od zorzy wieczornej, ale wśród skał leżał już gęstniejący z każdą chwilą mrok. Pochodnie rzucały migotliwe, coraz krwawsze błyski dobywając z ciemności dzikie postacie wojowników w spiczastych czapkach i igrając refleksami na złotych grotach włóczni.

W głębi ustawiono coś na kształt tronu i tam siedział starzec złotej zbroi i płaszczu błyskającym naszytymi nań złotymi blaszkami. Pomyślałem wówczas, że jest to zapewne król Toas, a jeżeli to z nim właśnie paktował Agamemnon i Ajgist – musi to być człowiek już bardzo stary. Doszedłem również do przekonania, że król Toas nie jest już tak mądry jak o nim mawiano, a obfitość złota, którym się otacza, świadczy jedynie o tym, że bogowie zaćmili mu umysł. Złoty hełm, złota zbroja, płaszcz z naszywami złotymi ozdobami?

Po lewej stronie króla, nieco w głębi, niemal w skalnej niszy, siedział jednak ktoś jeszcze. W blasku pochodni dostrzegłem, że była to kobieta i że otaczają ją młode dziewczęta. Czyżby żona? Nie, wyraźnie oddzielono jej miejsce od królewskiego. Kapłanka? A jeżeli to sama, we własnej osobie Ifigenia, córka Agamemnona i siostra Oresta? Próbowałem przebić spojrzeniem ciemności, ale nie udawało się. Jedynie białe szaty – błyskające – do czego się już przyzwyczailem, złotymi ozdobami. I diadem... Tak, ten diadem nasunął mi myśl, że osobą obserwującą nas w naszym skalnym więzieniu była właśnie ta kobieta.

Tak więc przyprowadzono nas pod sam tron króla, otoczono naokoło i zapadła cisza, którą jedynie burzył trzask płonących pochodni i jakiś daleki, daleki zamierający, głuchy grzmot... Ależ tak – to był huk przyboju fal morskich rozbijanych o skały wybrzeża. Ten odgłos morza podziałał na mnie kojąco – oznaczał bowiem, że niedaleko jest do gościńca naszej ucieczki. Nabrałem przez to takiej pewności siebie, że postanowiłem, nie czekając na króla – zabrać głos jako pierwszy. Rozumowałem, że jeżeli jest to Toas, ten sam, który układał się kiedyś z Achajami, musi znać naszą mowę.

Wystąpiłem więc przed Damisa i Oresta i, chyląc z szacunkiem czoło przed Toasem, wyrecytowałem przemówienie tyleż układne, co kłamliwe, jak pieśni aojda Amintora.

– Szlachetny i wielki królu Toasie, którego sława opromienia brzegi Morza Czarnego, nazywanego ze względu na ostre wiatry i dużą falę także Morzem Niegościnnym. Niech bogowie darzą cię zdrowiem i niech twoje panowanie trwa wieki całe przy błogosławieństwie bogów, a zwłaszcza Wielkiej Ich Macierzy. Masz oto, panie, przed sobą dwóch kupców achajskich, którzy postanowili opłynąć dookoła morze, zapraszając wszędzie wszystkich do odwiedzenia naszej ziemi, aby wymieniać z korzyścią nasze towary na towary tutejsze. Byliśmy i w Synopie, i nad ujściem Halys. Widzieliśmy kraj Kimmerów i kraj Amazonek. Wiedząc o tym jak potężnym jesteś władcą i słysząc, że nie chcesz, aby nie zaproszeni przez ciebie ludzie przybywali od strony morza na swych okrętach do brzegu Taurydy, pozostawiliśmy nasze okręty w Bosforze Kimmeryjskim, a sami piechotą ruszyliśmy ku słynnej Taurydzie, aby przekazać ci dary, pokłonić

się posągowi Wielkiej Macierzy Bogów i złożyć ofiarę oraz powiedzieć, że bramy naszych miast stoją zawsze otworem przed wysłannikami z Taurydy.

Znów się skłoniłem i powróciłem do swoich towarzyszy.

– Skąd przybywacie? – spytał po achajsku Toas, a już sam fakt, że nie przerwał mojej mowy, wydał mi się dobrą zapowiedzią.

– Z Achai, dzielny królu.

– A co słyhać w Achai?

– Walczą o trony, panie. Nie jest to już dawna Achaja, choć bogactw jest tam więcej.

– Czy więcej niż tu?

– Na pewno nie – odpowiedziałem natychmiast. – Żaden król achajski nie nosi zbroi ze złota.

Tak, to mu się powinno podobać.

– Czy wiecie, że każdego przybysza, którego morze wyrzuca u stóp Taurydy, składamy na ofiarę Wielkiej Macierzy Bogów?

– Wiemy o tym i dlatego, pragnąc złożyć pokłon, wybraliśmy się lądem, aby żyć w zgodzie z prawami tego kraju.

– Doszły nas dziwne wieści, że płynie ku nam dwóch Dioskurów. Chyba nie o was mówiono?

– O nas, wielki królu! Dioskurowie upodobali sobie nasze ciała i często nimi się posługują. Gdy wysiedliśmy na ląd, przy Bosforze Kimmeryjskim, bogowie byli w nas i ich wolę spełnialiśmy. Potem jednak nas opuścili – najpierw mnie, potem mego towarzysza. Gdy wojownicy wasi spotkali nas w stepie, u podnóżu Gór Taurydzkich, mój towarzysz wił się w bólach – odchodził go bowiem zacny Kastor.

Sam nie wiem, skąd u mnie brały się te wszystkie kłamstwa,

ale kto wie – może mieliśmy w ten sposób okazję uratować nasze głowy?

– Czy znaczy to, że Dioskurowie wrócą, aby wejść w wasze ciała?

– Niezawodnie. Czynią tak co siedem dni – łąłem, patrząc w oczy króla Toasa.

– A zatem zostańcie z nami. Chcę ugościć nie was, bo wy zasługujecie na śmierć, jak wszyscy intruzi, którzy wedrą się do Taurydy, ale Dioskurów. Odpłyniecie pełni bogatych darów, ale odpłyniecie przed upływem czasu, zanim znów opuszczą was Dioskurowie. Po czym poznam, że wasze ciała staną się domem bogów?

– Kazesz je przebić złotymi włóczniami, a one złamią się na naszych piersiach.

– Mówisz tak, że trudno posądzić cię o kłamstwo. Czy miejsce, w którym przebywaliście ostatnio, odpowiada wam?

– Żal, że nie oglądamy z niego morza.

– Gdy w waszych sercach zamieszkają Dioskurowie, otrzymacie miejsce w moim domu. Widać stamtąd morze, aż ku jego przeciwległym brzegom... Każę karmić was dobrze i otrzymacie baranie skóry, aby ciepło wam było spać. Czy jednak bogowie wstąpią w was na pewno?

– Zawsze tak czynią.

– Gdyby nie przybyli, musiałbym kazać was zabić.

– Twoja wola, panie.

– A kim jest ten trzeci?

– To nasz służący, panie. Oszczędź go, bo bogowie go lubią. A gdyby nie przybyli, strać go razem z nami.

– Niech więc zostanie z wami.

Nie wiem, czy Damis uradował się słysząc taki wyrok, chyba jednak wątpił w fakt wstąpienia w nasze ciała bogów. Natomiast Orest wydawał się zadowolony obrotem spraw i już prawdopodobnie obmyślał dalszy ciąg planu.

– Czy pozwolisz, o królu, złożyć ofiarę na ołtarzu Artemidy Wszechpotężnej, Matki Wszystkich Bogów? – zapytałem, podstępnie łącząc achajską nazwę bogini z jej azjatyckimi przymiotami, już dziś w Achai nie wymienianymi. Chciałem także dowiedzieć się, gdzie znajduje się posąg.

– Gdy będziecie obaj bogami, bez trudu traficie przed oblicze bogini. Prawda, Wielka Kapłanko?

To ostatnie pytanie zostało skierowane do kobiety siedzącej na tronie w głębi niszy skalnej.

– Słowa twoje, panie, znajdą uznanie w sercu naszej Matki – odpowiedział melodyjny głos także po achajsku. A więc nie uległo wątpliwości, że była to Ifigenia. – Będę chciała jeszcze przeprowadzić rozmowę z przybyszami, panie. Są na naszej ziemi, ich stopy kalają świętą Taurydę, chcę wiedzieć więcej o ich zamiarach.

– Czyń jak uważasz, Wielka Kapłanko. Wiele głów kłamców i rabusiów stoczyło się do wody, gdy ty tego żądałaś. Możesz czynić z nimi, co zechcesz. Są tylko ciałami, do których mają przybyć bogowie. Gdy bogowie przybędą, będą nietykalni.

Zabrzmiało to trochę zawile, ale spotkanie z Wielką Kapłanką było i dla nas niezbędne, nie zastanawiałem się więc głębiej nad znaczeniem tej mowy króla. Dialog był zresztą skończony. Toas wstał i w swym ojczystym, bulgocącym języku obwieścił swe decyzje ludowi. Zapanowała radość, uderzano włóczniami o tarcze i klaskano w dłonie.

Była już noc, gdy trafiliśmy do naszej grotty, zastając tam ciepłe futra i jadło. A więc decyzje królewskie wprowadzono już w czyn. Przed nami było jeszcze pięć dni, w ciągu których powinniśmy byli zawładnąć posągiem i doprowadzić do ucieczki. Czasu było niewiele, a my znajdowaliśmy się w górskim uroczysku i pod strażą...

9. Złota Bogini

Jeszcze tej samej nocy Wielka Kapłanka spełniła swój zamiar. Z tym, że nie zaciągnięto nas przed jej oblicze, ale to ona sama, w otoczeniu sług i wojowników zjawiła się na naszej polanie. Działało tu jej boskie posłannictwo – jako strażniczki Złotej Bogini – czy zwykła kobieca ciekawość? Chyba to drugie. A jej okrucieństwo i owe głowy jeńców, które stoczyły się do morza na jej życzenie, upewniały króla Toasa, że może jej ufać bezgranicznie. Ludzie pozostają jednak ludźmi, nawet gdy są Wielkimi Kapłanami i Wielkimi Kapłankami. Ifigenia – bo jednak była to przecież ona – chciała od nas usłyszeć garść nowin z Achai, a głównie z Myken... Bezgraniczne zaufanie wobec kobiet? Naiwnym starcem byłeś królu Toasie.

Słudzy i wojownicy zostali na polanie. Wielka Kapłanka sama weszła do grotty, której mroki rozpraszał jeden oliwny kaganek. Omiotła grotę wzrokiem, spojrzała w nasze twarze i jak zwykła pasterka, a nie ta, która rozmawia z bogami, siadła na rozłożonych futrach – wśród nas. A może to dla niej, na jej przybycie rozłożono tutaj te baranice?

– Król mówił prawdę – zaczęła – rozmawiałam z wszystkimi intruzami, którzy wdarli się na świętą ziemię Taurów. Ich głowy stoczyły się do morza, gdy skończyła się nasza rozmowa. Mówcie więc prawdę... – umilkła i znów spojrzała w nasze oczy. Tak, nie ulegało wątpliwości, że to jej twarz dojrzałem w ciągu dnia, gdy podglądała nas na polanie. Ciekawość kapłanki czy ciekawość kobiety?

– Co chcesz wiedzieć? – spytałem, uśmiechając się. Należało przecież wreszcie zakończyć te oficjalne ceremonie i powiedzieć, jej kogo ma przed sobą.

– Kim jesteście?

– Nie wierzysz w nasze boskie wcielenia Dioskurów?

– Może to i prawda, ale kiedy nie jesteście bogami, jesteście ludźmi. Król Toas skazał was na śmierć jako ludzi. Uwolni was jako bogów.

– A ty możesz nas uwolnić jako ludzi?

– To ja was pytam! – powiedziała gniewnie. Jej akcent był obcy, widocznie rzadko miała okazję rozmawiać w ojczystym języku.

– Ty jesteś Ifanassa, córka Agamemnona, zwana także Ifigenią? – spytał nagle, milczący dotąd Orest.

Wbiła w niego spojrzenie ostre jak dwie włócznie. Chciała zapewne pojąć, kim był ów człowiek – przybłąda, który nagle nazwał ją imieniem znanym tylko w jej rodzinnym kręgu.

– Nie bój się, Wielka Kapłanko, nie masz przed sobą nieprzyjaciół – odezwałem się wówczas ja, aby uwierzyła, że w spojrzeniu jej nie zobaczyliśmy groźby, lecz lęk. – Ja jestem Py-lad, syn króla Fokidy, a ten oto jest twoim bratem. To Orest, najmłodsze dziecię Agamemnona.

- Ten, który zabił Ajgista, mordercę Agamemnona?
- Ten sam.
- I który zabił matkę moją Klitajmestrę?
- Dałaś posłuch fałszywym głosom, Ifigenio – rzekłem. –

Uwierzylaś w kłamstwa. Orest, razem ze mną i przy pomocy udzielonej mu przez siostrę twoją Elektrę oraz wiernych nam ludzi, zgładził Ajgista i jego sługi. Do dziś nie wiemy, kto zabił Klitajmestrę. Chyba ktoś, komu zależało na tym, aby nie dźwignął się już dom Atrydy, aby na czole Oresta zostało piętno matkobójcy, abyś ty została na wieki w Taurydzie. Ale ci, którzy tak myśleli, ponieśli klęskę. Orest oczyścił się z podejrzeń na agorze w Atenach, a oto przybyliśmy po ciebie, aby wrócić w triumfie do Myken.

Znów były to kłamstwa, nie o nią przecież chodziło. Ale to jasne, że kiedy zabraknie Złotej Bogini na Taurydzie, nic tu nie będzie miała do roboty Wielka Kapłanka. Niech więc jedzie z nami.

- Mówicie o dziwnych sprawach.
- Chyba je właśnie chciałaś usłyszeć, Ifanasso – powiedział Orest i wyszedł z głębi groty, klęknął przed kapłanką i złożył swą głowę na jej kolanach. – Uwierz nam i pomóż albo każ ściąć nam głowy. Przybyliśmy po ciebie.
- Ależ ja jestem Wielką Kapłanką w świątyni, gdzie znajduje się największe bóstwo wszystkich krain – Złota Bogini.
- Artemida z Efezu.
- Tak, Artemida, nazywana także Anahitą lub Kybele...

Wielka Macierz!

- Pojedziesz do Achai razem z posągami Złotej Bogini z Efezu.

- Ależ to niemożliwe!
 - Możliwe, jeżeli ty nam w tym pomożesz. Chcesz zobaczyć Mykeny? Chcesz odnaleźć Elektrę?
 - Mykeny wydają mi się snem. Twarzy Elektry nie pamiętam. Czy wy naprawdę jesteście tymi, za których się podajecie?
 - Opowiem ci, Ifanasso, dzień za dniem, co zdarzyło się naprawdę w domu Atrydy, od czasu gdy porwano cię i wywieziono wraz z posągami z Efezu na Taurydę... Z pewnością dobiegały twych uszu różne wiadomości, ale musisz raz odrzucić to, co było kłamstwem, a zostać tylko przy prawdzie. Ja jestem twoją prawdą. Ifanasso, ja – Orest.
 - Opowiadaj więc!
 - Czy nie obawiasz się, że ktoś usłyszy, co do ciebie będę mówił?
 - Nie znają tu naszego języka. Zna go tylko król Toas, który znał Agamemnona. I znam ten język ja.
 - A gdyby...
 - Król wierzy tylko mnie.
 - Więc dobrze. Opowiem ci teraz, co wydarzyło się w ciągu tych lat, kiedy ty znajdowałaś się w Taurydzie. Ale to będzie długa opowieść.
 - Może trwać całą noc!
- I tak oto z ust Oresta popłynęły dzieje wyprawy na Troję, powrotu z Troi, zamordowania Agamemnona, wygnania Oresta, naszej przyjaźni w Fokidzie, zamachu na Ajgista i śmierci Klitajmestry, włóczęgi Oresta, sądu w Atenach i wreszcie – naszej wędrówki na Niegościnne Morze. Zmieniałem knot w lampce, dolewałem oliwy, ale Ifigenia nie wstawiała z miejsca, jakby nie chciała, aby opowieść znalazła już swój epilog.

Gdy wyrzalem na dwór, stwierdziłem, że polana opustoszała, zostały tylko straża i gromadka młodych dziewcząt – kapłanek i służebnic Ifigenii. Niebo było pełne gwiazd. Nasłuchiwałem szumu morza – wydawało mi się, że ów szum przyboju uspokaja mnie, przemawia hymnem wolności. Tam, gdzie sięgało morze, mogliśmy czuć się bezpieczniejsi, mogliśmy liczyć na pomoc, na odsiecz. Zagraliśmy przecież z królem Toasem w grę niebezpieczną. Sami skazaliśmy się na śmierć, jeżeli po pięciu dniach nie nastąpi nasza ucieczka. I to, ba – ucieczka wraz ze Złotą Boginią, którą szanowały wszystkie ludy nad Niegościnnym Morzem.

Wróciłem do naszej groty. W świetle lampki rysował się szlachetny profil Wielkiej Kapłanki upodabniającej ją samą do posągu. Jej diadem i szata właściwie uniemożliwiały odkrycie w niej kobiecości, ale kobiety z rodu Atrydów zachowywały do śmierci urodę i godność. Była więc i ona piękna i godna, a na gładkiej jej twarzy trudno było odkryć, że jest starsza znacznie od Oresta. Orest wpadł w trans mówcy, jeszcze raz przeżywał swoje zwycięstwa i klęski. Znalazł wierną słuchaczkę, chwytającą każdy szczegół jego opowieści. Damis spoczywał w głębi pomieszczenia świadomy tego, że w tej scenie jest intruzem.

Bałem się, że Orest w tym swoim przyływie gadulstwa zapomni, że Ifigenia nie jest Elektrą, że wiele, wiele lat spędziła z dala od Achai, wśród barbarzyńców, nosząc w sobie gorycz zniewolenia i zesłania na Taurydę. Że czas i los inaczej ją ukształtowały niż jego czy mnie i może nie zrozumieć niektórych naszych przekonań i naszych planów. I nie omyliłem się. Gdy Orest przeszedł do kreślenia naszej rozbójniczej – bo taka ona była – misji,

Ifigenia pokręciła głową.

– Bracie mój, Oreście. Poznają, żeś gorąca głowa, ale czy wy razem z Pyladem nie za wiele wzięliście na swe barki? Oszukaliście króla Toasa, który uważa was istotnie za wcielenia Dioskurów, a teraz myślicie o porwaniu Złotej Bogini.

– O porwaniu ciebie, Ifigenio. Musisz przecież wrócić do Achai. Chcesz być na wieki kapłanką Artemidy?

– Ależ tak! Chcę być kapłanką Artemidy! Artemida to nie posąg, jak rozumiecie obaj z Pyladem. To żywa bogini, która rozmawia z nami, to Wielka Macierz, to niepokalana Matka Wszelkiego Poczęcia. Nie rozumiesz tego? W Achai jest opiekunką źródeł, rzek, lasów i zwierząt. Składają jej ofiary myśliwi. Ale jej władza jest większa, obejmuje wszystko dookoła, bo wszystko to wyszło z jej łona... Jest pramatką...

A więc Ifigenia tak była przejęta swoją rolą, że uwierzyła w to, co podszeptowali jej wszyscy naokoło tu, nad brzegami Morza Niegościnnego. W jej wyobraźni nie było miejsca dla Gromowładnego, którego kult szerzył się w Attyce. Cóż zresztą dziwne- go, gdyż przy takiej czci, jaką oddawano tu Artemidzie w postaci Wielkiej Macierzy, i jej rola – rola Wielkiej Kapłanki – sięgała tronu króla. Ale czy my naprawdę mówiliśmy o jednej i tej samej bogini? Czy achajska białonoga Artemida, z kołczanem strzał na plecach, przebiegająca lasy i wąwozy była tą samą boginią, którą czczono tutaj? Była tą Wielką Matką zdolną wykarmić dzieci całego świata – ludzi, zwierzęta, drzewa i obłoki? A może mówiliśmy o zupełnie innych bogach i nasze wyobrażenia nie pokrywały się zupełnie z sobą? I może właśnie ta wiata w posłannictwo

rodzaju kobiecego była obecnie solą w oku kapłanów w Achai? Dlatego ukartowali zabójstwo Klitajmestry, aby następnie uwolnić od winy i kary Oresta i powiedzieć: „Matka podlega takim samym prawom jak słudzy króla”... Albo: „Zdradziła męża-króla i musiała umrzeć, Orest nie powinien być tylko sam, własnoręcznie wymierzać sprawiedliwości”... Tak mogło to wyglądać. Ale w takiej sytuacji czego ze swoimi przekonaniem mogła oczekiwać Ifigenia w Achai?

Niestety, nasza sytuacja kazała nam dalej kłamać, jeżeli chcieliśmy żyć i jeśli Orest miał odzyskać tron w Mykenach.

– Złota Bogini stanie w samym centrum Myken – mówił mój przyjaciel. – Czy nie chcesz, aby jej cześć w pełnym blasku promieniowała na całą Argolidę, ba, na całą Achaję – właśnie z Myken?

Kłamał. Rzecz jasna, że kłamał. Ale ona dawno nie miała do czynienia z plemieniem tak kłamliwym i wykrętnym jak Achajowie. Tu, w Taurydzie, chyba nie czciłiby pamięci Odysa, tak jak to czynią w Achai – właśnie za podstępne wymordowanie wodzów króla Rezosa, za podstawienie drewnianego konia.

– Będziesz orędowniczką Wielkiej Matki Bogów na całą Achaję, wyjaśnisz ludziom, że nie gromowładny jest twórcą świata, jak mówią w Attyce, ale ona, bowiem tylko kobieta potrafi dać życie...

Skąd u Oresta taka umiejętność przekonywania, taka pomysłowość w oszustwie? Czy on, ułaskawiony z oskarżenia o zabójstwo matki tylko dlatego, że pozycja kobiety została w Achai zepchnięta w dół, czy on sam wierzył choć trochę w to, co mówił?

Chyba nie. Chodziło o przekonanie Ifigenii. Oto wraca do Achai, witają ją dziewczęta z gałązkami mirtu i oliwek... Oto staje na mykeńskim akropolu posąg Złotej Bogini... Oto kult Wielkiej Macierzy Bogów szerzy się pod berłem potomków Atrydy... Nie myślałam nigdy, że Orest potrafi śpiewać takie pieśni jak sam Amintor.

– Dobrze więc, pomogę wam – powiedziała nagle Ifigenia i tu Orest umilkł gwałtownie, jakby stracił oddech. Opadł na baranice i ciężko oddychał. Chwilę trwała zupełna cisza. Pomyślałem, że teraz czas na mnie.

– Pozwól, Ifigenio, że podsunę ci plan, który powinien wszystkich zadowolić.

– Mów więc.

– Jutro pozwolisz nam złożyć ofiarę na ołtarzu przed posągiem. Nie jesteśmy przecież barbarzyńcami i pragniemy, aby bogini nam pomogła w tym niebezpiecznym przedsięwzięciu!. Przed nami droga przez całe Morze Niegościnne. Dotąd płynęliśmy wzdłuż brzegów. Teraz popłyniemy nie widząc naokoło brzegów – tak jak gnać nas będą wiatry północno-wschodnie. Idzie jesień, wiatry są coraz gwałtowniejsze, fala rośnie. Aż tutaj słysząc szum fal przyboju. Bez pomocy bogów nie dokonamy tego. Mamy dwa okręty. „Strzałę Artemidy” i „Mykeny”. Ty zarządzisz obmycie posągu w wodzie morskiej i obmycie naszych ciał. Nasze okręty podpłyną wówczas w to samo miejsce. Resztę załatwią nasi żeglarze.

– Dlaczego miałabym zarządzić obmycie posągu?

– Bo dotknie sukni bogini ręka obcego.

– Obcego?

– Będzie nim Damis, nasz tłumacz.

- Powinno się za to uciąć mu rękę.
- Ja nie chcę tracić ręki – odezwał się z kąta Damis.
- Głupi, ty nie stracisz ręki, a my nie stracimy głów – odezwał się Orest.
- Jeżeli dotknie ręką posągu Złotej Bogini, sama odrąbię mu rękę – powiedziała ponuro Ifigenia.
- Dobrze, pomyślmy więc, co uczynić, abyś nakazała oczyszczenie posągu. Miej na uwadze, że cześć oddawana Wielkiej Macierzy Bogów rozprzestrzeni się na morza za Bosforem Trackim. Czy nie leży ci to na sercu? To jest przecież cel tego, co robisz tutaj. Ważniejszą sprawą jest jednak zawiadomić załogi okrętów. Dokonać tego może tylko ktoś z nas.
- Nie będzie to takie trudne – odezwała się Ifigenia. – Jutro, gdy pójdziecie składać ofiarę, każę wydać wam płaszcze z kapturami. Pójdziecie tam wszyscy trzej, ale wróćcie we dwójkę.
- Nikt tego nie zauważy?
- Nie. Dam wam, jako trzecią osobę, kapłankę, która wzrostem przypomina Pylada.
- A Pylad?
- Dam mu przewodnika, aby go zaprowadził nocą ku okrętom.

I tu nagle odezwała się w Ifigenii krew Atrydy. Już nie była pełną gorącej wiary kapłanką, ale rozważnym, zimno rozumującym spiskowcem. Identycznie zachowywała się Elektra przed zabójstwem Ajgista. Nie mówiła o śmierci, ale czy wyobrażała sobie, że przy całym tym przedsięwzięciu nie będą musieli umrzeć ludzie?

Pytaliśmy ją jeszcze, czy królowi Toasowi nie wyda się dziwna ta jej nocna rozmowa z więźniami, ale zapewniła nas, że było

w jej zwyczaju rozmawiać z jeńcami, pragnęła bowiem dowiedzieć się od nich czegoś o Achai. A potem i tak więźniów tracono. Czy Toas był samotnikiem? Z tego co opowiedziała, wynikało, że jego żona umarła dawno. Dwaj synowie zginęli w czasie pirackich wypraw. Można było tylko wnioskować, że stary król uległ czarowi swej Wielkiej Kapłanki. A ona? Chyba była to kobieta zimna i zła. Wątpię czy zdecydowała się legnąć kiedyś przy starym królu, skoro miała zawsze do dyspozycji jeńców, z którymi „wiodła długie rozmowy”. O tym, co działo się w tej grocie, nikt nie wiedział poza nią, jeńców bowiem następnego dnia zawsze zabijano. Taka była więc tajemnica tej kapłanki-modliszki, taka tajemnica jej posłannictwa i stąd brała się zła sława Taurydy. To ona rządziła na tym skrawku lądu w imię Wielkiej Macierzy Bogów. A cześć oddawana Wiecznej Kobiecie pozwalała jej dzierżyć twardo swą władzę. Mając ją za swoim planem, mogliśmy być pewni zwycięstwa.

Rozstaliśmy się przed świtem. Mieliśmy omówiony cały plan ze wszystkimi szczegółami. Było coś osobliwego w tym, że w ciągu jednej rozmowy ta kobieta zdecydowała przekreślić całe lata swego życia na Taurydzie, swoje tutejsze przyjaźnie i miłość starego króla, swoją władzę, jaką miała w tym skalistym gnieździe i swoje marzenia. Bo jeżeli nawet były to marzenia o powrocie do Achai, nie była to Achaja, którą miała obecnie ujrzeć...

Złotą Boginię zobaczyliśmy następnego wieczoru.

Był to posąg wielkości dwóch ludzi, rosnących wojowników, przedstawiający postać ludzką w szerokiej szacie przypominającej szaty kobiet z Pylos. Podobno wykonano go z drewna, ale od tego czasu pokrywano jego powierzchnię coraz to nowymi złotymi

blachami, tak że nabierał ciężaru i tracił swoje rzeczywiste kształty. Nabijane, jedna na drugą, blachy, zniekształciły także rysy twarzy bogini i cały posąg przypominał duży złoty kloc.

Wszystko odbyło się zgodnie z naszą umową, a nawet udało się nam przekonać Damisa, aby dokonał świętokradztwa i dotknął ręką złotej sukni bogini, co wywołało panikę wśród kapłanek. W zamieszaniu, jakie powstało, ja zostałem odciągnięty od całego orszaku i wepchnięty przez czyjeś ręce do skalnej niszy. Nie widziałem więc, jaka to zakapturzona postać zajęła moje miejsce obok Oresta.

Gdy umilkły dookoła głosy i pogasły pochodnie, czyjaś ręka pociągnęła mnie w głąb nocy. Ta sama ręka podała mi w otwartą dłoń drewniany trzon broni. Poczułem, że serce bije mi gwałtowniej, gdy stwierdziłem, że jest to topór Dorów, który towarzyszył mi we wszystkich przygodach, topór, który z łatwością rozbijał j tarcze i tępił miecze z brązu. Wąskimi schodami wykutymi w skale dostałem się razem z nie znanym mi przewodnikiem na grzbiet Gór Taurydzkich i tam nagle owionął mnie chłodny wiatr z rozległych stepów.

Grzbiety gór stanowiły rozległe pastwiska i gdy znało się szlak, można było dość łatwo przebyć kawał drogi. Nad ranem zesliśmy do małej kotlinki i mój towarzysz dał mi do rąk kawał placka. Posililiśmy się i zasnęliśmy w skalnej szczelinie, ciasno obok siebie ułożeni, aby grzać się nawzajem własnymi ciałami, było bowiem zimno. Byłem tak pewny przewodnika, jakiego przysłała mi Wielka Kapłanka, że zasnąłem spokojnie, jak w domu. Jakież było moje zdumienie rano, gdy się obudziłem i

stwierdziłem, że trzymam w ramionach ładną, ciemnoskórą, młodą dziewczynę – zapewne jedną z kapłanek należących do świąty Ifigenii. Być może pasmo udręk i napięć tutaj właśnie znalazło swój finał, bo bez chwili namysłu odwróciłem dziewczynę na wznak i pospiesznie zacząłem zrywać z niej szaty. Obudziła się i próbowała bronić się, ale czyniła to tak nieskutecznie, jakby oganiała się od komara. Zresztą może była przekonana, że taki obrót sprawy został także pomyślany w jej obowiązkach przewodniczki.

Potem oboje zapadliśmy jeszcze raz w sen, aż słońce przesunęło się wysoko ku górze.

Było już południe, gdy ruszyliśmy w dół, ku urwistym brzegom wyspy. Mimo że przeszliśmy tego dnia wiele drogi, nie ujrzeliśmy jeszcze obu naszych statków. Zaczynało to być niebezpieczne, pozostawało bowiem niewiele już czasu do wyznaczonego terminu oczyszczenia posągu. Następnego dnia ruszyliśmy wczesnym świtem, trzymając się brzegów morskich. Pamiętam ów niesamowity moment, kiedy oto idąc plażą, zobaczyliśmy nagle wyskakujące spoza nadbrzeżnych skał postacie wojowników zbrojnych w długie włócznie i tarcze.

W pierwszym momencie strach ścisnął mnie za gardło, potem pomyślałem, że nie sprzedam tanio swego życia, odgarnąłem z głowy kaptur i ująłem za topór. Ale właśnie wtedy usłyszałem okrzyk w języku achajskim i to z wyraźnym akcentem fokijskim.

– To nasz pan, to szlachetny Pylad!

Jak łatwo odgadnąć, byli to włócznicy z Fokidy, z załogi mojego okrętu. Oba żaglowce – „Strzała Artemidy” i „Mykeny” – cumowały w zacisznej zatoczce wśród wulkanicznych czarnych

skał, tak niepodobnych do białych skał w głównej części Tauridy.

Zostałem powitany jak wódz i jak ojciec, a po nakarmieniu i obmyciu ciała, a następnie namaszczeniu go oliwą, zwołałem naradę, na której Amintorowi, Saonaszowi i Hattaszowi wyjaśniłem cały nasz plan. Należało niezwłocznie wyruszyć i w małej zatoczce – znanej mi tylko z opisu, ale Soanaszowi także z poprzedniego pobytu tutaj – poczekać na sygnał. Tak jak ustaliliśmy, miał to być w dzień dym, a w nocy blask łuny wielkiego ogniska. Wówczas to właśnie ku brzegowi morza ruszy pochód dźwigający posąg, aby dokonać rytuału oczyszczenia. Należało liczyć się z obroną ze strony Taurów, łuki i oszczepy powinny być więc znajdować się przy każdym w zasięgu ręki.

Moja przewodniczka była najwyraźniej spłoszona widokiem tak licznej zgrai mężów, ale mnie bawiło to tylko. Nie mogłem zresztą z nią się porozumieć – nikt z obu załóg nie znał tego jej barbarzyńskiego języka. Żeglarze dowcipkowali na jej temat, mówiąc coś, że mają dzielnego dowódcę, który potrafi szybko zapomnieć o stracie jednej kobiety i znaleźć drugą. Nie była to prawda, bo odejście Nikotele tkwiło mi jak sztylet w piersi dalej, ale oczywiście udawałem, że jest właśnie tak, jak mówią. Obiecałem także, że jeżeli na pokładzie naszego okrętu znajdą się kapłanki Wielkiej Macierzy Bogów, będą mogli nacieszyć się ich wdziękami do woli. Oczywiście z wyjątkiem samej Wielkiej Kapłanki. Nie była to z mojej strony nikczemność; gdybym tego im nie obiecał, mogliby zgwałcić i zamordować tę, która mnie przywiodła do okrętów, mogliby także zbuntować się przeciwko moim rozkazom. Zbyt długo trwała już podróż i niewiele dotąd im ona przyniosła.

Siedli więc do wiosła.

Kiedy zakotwiczyliśmy wreszcie w zatoczce, o której była uprzednio mowa, wystawiłem naokoło strażę, aby nie dać się zaskoczyć nieprzyjacielowi. Potem założyłem hełm i zbroję, wzięłem w dłoń włócznię i ulokowałem się na skale, skąd mogłem obserwować miejsce, gdzie miało się dokonać obmycie posągu. W momencie obrzędu oba nasze okręty powinny być popłynąć do tego miejsca. I tu zdecydowałem inaczej, niż ustaliłem pierwotnie, a moi ludzie przyjęli to z aprobatą – otóż postanowiłem załadować złotą statuetkę na pokład „Strzały Artemidy”, na pokład zaś „Myken” – kapłanki bogini. Tłumaczyłem to faktem, że mój okręt jest większy i może udźwignąć większy ładunek. Ale czy był to jedyny powód decyzji?

Wiatr wiał dość ostry, porywisty i mieliśmy duży przybój fal, co mnie mocno niepokoiło. Ale miejsce świętych obrzędów nad brzegiem morza było na tyle osłonięte, że wszystko powinno się być udać. Natomiast po wyjściu w morze mogliśmy śmiało rozpiąć żagle, dostalibyśmy bowiem wiatr z rufy. Czy będą nas gonić? Nie wiedziałem, nie oglądałem dotąd zresztą ich okrętów.

Przed wieczorem pióropusz dymu nad skalnym urwiskiem dał nam znać, że ceremonia się zaczyna. Niebo było pogodne, zachód słońca rozpalił więc wkrótce cały horyzont purpurą, a w tym świetle wspaniale rysował się przed nami obraz całego pochodu, który zstępował z gór. Taurowie byli tak pewni bezpieczeństwa, że nie wystawili żadnych straży – nie wierzyli, aby znalazł się ktokolwiek, kto mógłby zaatakować ich w tym skalistym gnieździe.

Byłem ciekawy, jak potoczyły się wydarzenia, kiedy ja wędrowałem z moją przewodniczką przez pastwiska na grzbietach Gór Taurydzkich. Niestety, tylko częściowo poznałem później szczegóły. Wracanie do tych spraw wydało mi się bowiem wobec nowych zdarzeń niepotrzebne, nieważne, zbyt błahe... A przecież w życiu skalnego gniazda Taurów była to sprawa niebagatelna. Nie wiem nawet, czy kiedykolwiek później Taurowie wrócili do tej zlej sławy, jaką miała ich skalna ziemia za panowania Toasa.

Ale dość o tym. Chcę przecież opowiedzieć, co nastąpiło wówczas, kiedy już biało ubrane dziewczęta z gałązkami mirtu zeszyły w dół, ku wodzie, a czterdzieści par rąk wojowników uniosło w górę posąg, sprowadzając go aż nad sam brzeg morza. Wyżej – na czymś w rodzaju tronu – siedziała Wielka Kapłanka. Teraz dziewczyny niosące tron klękły i Ifigenia zstąpiła także na plażę. Za jej tronem postępował Orest – nagi, o skórze lśniącej od oliwy.

Dzięki temu nikt nie może go chwycić, zatrzymać, gdy zacznie biec, a nawet ostrza oszczepów i strzał mogą ześliznąć się po jego ciele – pomyślałem. – A Damis? Był także Damis, ale – o zgrozo! – dojrzałem, że jego prawą rękę spowijają w kiści krwawe szmaty. A więc kapłanka-modliszka spełniła swoją groźbę – odrąbała mu dłoń, którą dotknął posągu. On także był nagi i namaszczony oliwą, ale słaby, niemal słaniający się na nogach. Żał mi się zrobiło pocziwego tłumacza, który znał tajemnicę pisma. Był dotąd jedyną ofiarą całej wyprawy, no, nie licząc moich Fokijczyków zmasakrowanych na stepie.

Był także król i uzbrojeni wojownicy, ale wysoko, na skalnych

zrębach, obserwujący z daleka ceremonię. Sprytnie to Ifigenia z Orestem wymyślili! Gdy rozpocznie się atak, tamci nie zdążą nawet zejść na dół.

A więc nadszedł czas działania.

Dałem znać moim ludziom ruchem ręki i spędziłem wszystkich ze skał na pokłady okrętów. Sam także wskoczyłem na pokład. Saonasz stał przy sterze, żeglarze ujęli za wiosła. Naoliwione dulki nie wydały żadnego dźwięku. Potem rozległ się plusk – jeden, drugi... „Strzała Artemidy” wychodziła pierwsza. Przez moment przebiegło mi przez głowę pytanie, czy Artemida istnieje w postaci, w jaką przyoblekli ją ludzie nad Morzem Niegościnnym, czy w takiej, w jakiej czczono ją w Achai – białonoga piękna mistrzyni polowań i patronka leśnych strumieni i górskich źródeł. Czy ogląda tę oto naszą wyprawę? Ba, czy istnieje?

Nie mogłem dłużej się nawet nad tym zastanawiać, bo już trzeba było działać. Okręt nasz wychodził spoza występu skalnego i pruł fale wprost na tłum zgromadzony na plaży. Zapadał mrok, ale setki pochodni czyniło taki blask, że można było znaleźć w nim złotą szpilkę, a nie tylko złoty posąg. Amintor był przy mnie, Saonasz przy sterze. Obejrzałem się i zobaczyłem za nami dziób „Myken”.

Pierwsi zobaczyli nasze okręty wojowniczy zgromadzeni na skalnym występie. Dopiero później dostrzegli je ludzie na brzegu. Ale już nasi łucznicy szyli powietrze strzałami, które wbijały się w szyje, piersi i ramiona niosących posąg. Już nie czterdzieści, ale tylko trzydzieści... dwadzieścia par rąk wznosiło złotego kolosa. Potem rozległ się huk padającego posągu i krzyk miazdżonych i rannych... Leczący oto dziób „Strzały Artemidy” rył już piaski plaży.

Na ląd wyskoczyli włócznicy, którzy mieli osłaniać cumowników. Nie było ich przed kim osłaniać. Kilkunastu żywych i mniej rannych Taurów – tych, którzy nieśli posąg – uciekało teraz ku swoim. Nie mieli przecież nawet broni.

Gdy obok nas zaszurał po żwirze dziób „Myken”, zobaczyłem, jak Orest wyrwał się z tłumu i wskoczył na pokład. Damisa porwali moi ludzie i wciągnęli na mój okręt. Ifigenia wolno i dostojnie skierowała się z orszakiem swych służek i kapłanek za Orestem.

W tym czasie niemal cała załoga „Strzały Artemidy” była już na lądzie i unosiła w rękach posąg. Byłem z nimi i sam odczułem nagle ponad sobą potęgę wagi tego kolosa.

Dziewczęta w wiankach na głowach trzymały nadal w dłoniach płonące pochodnie, oświetlając nam pole bitwy. Najwyraźniej ślepo słuchały Ifigenii, a poza tym chyba nie orientowały się, co się tu dzieje. Spojrzałem ku górze – Taurowie zbiegali z gór ku plaży, ślizgając się i wywracając. Razem z głazami leciały w dół ich tarcze, miecze, topory i włócznie. Nie strzelali z luków ani nie miotali oszczepów – bojąc się, że mogą trafić którąś ze świętych dziewczic lub samą Wielką Kapłankę.

A my już wstępowaliśmy na pokład, lokując na dnie złotego olbrzyma. Kilka młodych kapłanek rzuciło się z krzykiem do burty, aby bronić Złotej Bogini. Moi ludzie zawahali się co zrobić.

– Albo dziewczęta, albo złoto! – krzyknąłem. – Jeżeli weźmiemy posąg i dziewczęta zatoniemy!

Tylko w ten sposób można było przemówić do wyobraźni piratów. Wybrali złoto. Tej, która chwyciła się obu rękami burty,

odrabiał ktoś uderzeniami topora obie dłonie. Ta która przełaziła już przez reling, dostała cios włócznią w brzuch. Inne zatrzymały się, a woda zabarwiła się na różowo.

– Odbijamy! – wrzasnąłem na cały głos, a komendę moją powtórzył na rufie Saonasz.

Znów dziób szurał po piasku, ale w kierunku odwrotnym. Odpywaliśmy. Saonasz, zgadując moje dalsze komendy, kazał stawiać żagiel. Poszedłem na rufę, aby jeszcze raz ujrzeć ów obraz krwawy i straszny. Na brzegu leżało wiele ciał Taurów, to byli ci, którzy nieśli posąg bogini, a obok nich okryte białymi szatami ciała służebnic i kapłanek. Stało ich jeszcze na brzegu z pół setki, z płonącymi pochodniami, a ponieważ Orest doszedł do wniosku, że światła są już zbyt liczne, kazał swym łucznikom strzelać do nich, aby w ten sposób pogasić resztę ogni. I tak oto – razem ze świstem strzał – gasły jedna po drugiej pochodnie na brzegu.

– Jesteście mordercami – powiedział nagle za mną Amintor, który także przeszedł z dziobu na rufę. – Jesteście zwykłymi mordercami. Nie będą o was układać pieśni...

Saonasz słysząc te słowa zaśmiał się ochryple.

– Zawsze składano pieśni o mordercach, Amintorze – odpowiedział. – Składa się bowiem pieśni o zwycięzcach. A jak odróżnić wśród nich ludzi prawego serca od morderców?

– Jesteście także złodziejami – powtórzył Amintor.

Strzały z łuków szły dalej z gwizdem i jękiem powietrze, na lądzie zgasły ostatnie pochodnie... Jedyne w górze, na skalnym występie, paliło się ich kilka wokół tronu króla Toasa. A sam władca, słabnącym wzrokiem, próbował w ciemności wypatrzeć

okręty uwożące Złotą Boginię i Wielką Kapłankę, której bezgranicznie zaufał.

10. Lwia Brama

O Taurach-żeglarzach mówiła tylko legenda. Różne ludy dość łatwo zmieniają swe zajęcie, które z upodobaniem uprawiały. Achajowie słynęli z żeglarskich podróży, ale w czasach gdyśmy płynęli na Morze Niegościnne, niewiele już statków miała Achaja, a kupcykowic z Tyru i Sydonu, z Berytos i Ugarit – którego śmierć oglądaliśmy niedawno – zakładali swe faktorie handlowe aż za Słupami Herkulesa. Pasterze stawali się rolnikami, rolnicy – pasterzami. Taurowie zaś w tym czasie woleli używać koni niż okrętów. Gdybyśmy uciekali stepem, z pewnością doścignęliby nas łatwo, lecz na morzu my mieliśmy przewagę. Sądziłyśmy, że nikt nas nie ściga. A jednak wstrząśnięty utratą bogini i jej wiernej strażniczki król Toas ruszył na jedynym okręcie, jaki mu pozostał, w pościg za nami. Dogonił nas dopiero na wybrzeżu jednej z wysp. Tam stoczył bój na włócznie i miecze z Orestem, bój zacięty, ostateczny i tam legł z przebitym gardłem, a Orest odrał mu głowę.

Wystarczyło to, aby załoga Taurów odpłynęła, ale nasi żeglarze tak byli żądni krwi mimo zmęczenia podróżą, że rzucili się na tamtych i wszystkich pozabijali. Śmierć wodza odebrała Taurom męstwo – rzucali na ziemię broń i błagali o darowanie życia, lecz kompanię Oresta to tylko podniecało do mordu. Zresztą moi

wojownicy pobiegli im z pomocą. Wkrótce cała plaża nadmorska pełna była zabitych. Naszych padło niewielu.

Odpłynęliśmy co rychlej, jakby ścigani przez widma. Dowiedziałem się wówczas także, że na okręcie Oresta spośród licznych kapłanek zabranych na pokład została tylko jedna – Ifigenia, jego siostra. Gdy brakło żywności i wody w czasie rejsu – w każdą noc przebijano serca świętym dziewicom, a ciała wrzucano do wody. To szlakiem tych ciał płynął za nami Toas i jego drużyna.

Tak. Widzieliśmy gruzy Troi, pożar Ugarit i klęskę Taurów. Nie wiedzieliśmy wówczas jeszcze, że naszym udziałem będzie koniec Myken i achajskiej sławy.

Nawałnica morska, jaka rozszalała się nad nami, zmusiła nas do szukania co prędzej jakiegoś portu. Obawialiśmy się, że wichry i fale rozbiją nas na przylądku Sunion, postanowiliśmy więc nie płynąć do Pireusu, ale wylądować po zewnętrznej stronie lądu – przypadek rzucił nas w okolice Brauron. Mieszkańcy przyjęli nas gościnnie, a na życzenie Oresta posłali wnet kogoś do Aten, aby zawiadomić, że oto jesteśmy i to z posągiem Złotej Bogini z Efezu. Z posłańcem tym wyruszył razem Amintor.

Wyciągnęliśmy okręty na ląd i z pomocą obu załóg przenieśliśmy na ląd posąg Artemidy. Postawiliśmy wokół okrętów strażę, załogi nasze rozłożyły się obozem nad brzegiem morza, sami zaś, wraz z Ifigenia, skorzystaliśmy z gościny mieszkańców osady. Ale rano zawiadomiono nas, że okrętów nie ma. Udaliśmy się więc na brzeg, aby znaleźć potwierdzenie strasznej prawdy.

Na brzegu morskim leżał tylko odarty ze złotych blach, nagi, drewniany posąg. Obok siedział Damis, nasz tłumacz, jedyny człowiek znający się na sztuce pisania. Kikut jego prawej ręki wciąż owijały szmaty. Gdy podeszliśmy bliżej, Damis zaczął mówić, a w jego słowach była gorycz.

– Gdy odpływali, rzekł mi Saonasz: „Podziękuj Orestowi i Pyladowi za to, co uczynili mi, biorąc mnie na wyprawę. Jesteśmy jednak piratami – ja i moi kompani – i za opiekę rozbójników, płacimy rozbójniczą wiernością. Wyprawa nasza skończona. Posąg przywieziony. A łupów brak. Bogini niepotrzebne złoto, skoro władą całym światem narodzonym z jej łona. Bierzemy więc złoto, jemu zaś zostawiamy posąg”. A oto moja część złota. Czy mam ją zachować?

– Zachowaj ją – rzekł Orest. – Należy ci się to za dłoń, którą obcięto ci na Taurydzie.

– Oddałbym wszystko złoto za tę dłoń – odparł Damis. – Czy Wielka Kapłanka, twoja siostra, może wrócić mi dłoń, czy może prosić o to Artemidę lub, jak oni ją nazywają: Wielką Macierz Bogów?

– Idź w pokoju, Damisie. Idź do Aten. Może cię tam przyjmą – odparł wymijająco Orest.

Ifigenia, która w ciągu rejsu postarzała się o dziesięć lat i której włosy pokryła pajęczyna srebrnej przędzy, obchodziła dookoła nagi, drewniany kadłub posągu mruczając coś niezrozumiale pod nosem. Może hymny na cześć Artemidy, a może przekleństwa? Nie miała już na czole diademu i nie wiem, co się z nim stało.

Po kilku dniach wrócił Amintor z Aten wraz z posłańcem z Bxauron. Przyniósł wieść dziwną: Ateńczycy polecili zostawić

posąg tam, gdzie się znalazł – w Brauron. Niech mieszkańcy Brauron wystawią mu świątynię, a Ifigenia – jeśli zechce – niech zostanie przy posągu jako kapłanka. Obiecali, że dla upamiętnienia faktu przywiezienia posągu, co roku w miesiącu Munychion obchodzone będą tu specjalne uroczystości zaliczane do celebracji ateńskiej, jako że Brauron połączone jest węzłami synojkizmu z Atenami. Dla nas było jasne, że po prostu Ateńczycy nie chcą mieć tego posągu w swoim mieście.

Amintor przyniósł także wieść, że Orest może wrócić już na tron Myken i nikt mu w tym nie przeszkodzi. Ale powinien się spieszyć – Mykeny odparły ostatnio atak Dorów i sytuacja nie jest tam najlepsza.

Ciągnęło mnie do Fokidy, ale tyle już przygód przeżyłem z Orestem, że postanowiłem ruszyć z nim razem do Myken. Przyrzekł pomóc nam w tym dziele pewien rybak z Brauron, tym bardziej że został sownie wynagrodzony. Pożegnaliśmy więc Amintora i Damisa, którzy udawali się do Aten, podziękowaliśmy mieszkańcom za gościnę i zeszlismy na brzeg, gdzie wciąż jeszcze leżał posąg, odarty ze złota, szerniała kłoc drewna o przdziwnym kształcie. Obok posągu siedziała na piasku Ifigenia, kreśląc palcem na ziemi jakieś tajemne znaki. Musiała myślni być gdzieś daleko od nas, gdy bowiem Orest zawołał do niej: „Ifanassa!” – nawet nie uniosła głowy.

Widziałem na obliczu Oresta walkę, czy podejść do siostry i pocieszyć ją, czy nic już więcej nie mówić. Ostatecznie opuścił głowę i poszedł w innym kierunku, za rybakim, który obiecał zawieźć nas na Peloponez.

Na początku drogi Orest milczał, ale pod koniec nagle się ożywił. Mówił o planowanym małżeństwie z Hermione, córką

Pięknej Heleny i Menelaosa. Potem zaczął mnie pocieszać, opisując urodę Elektry i jej wyznania, jakie uczyniła mu – przed podróżą – na mój temat.

Umilkł dopiero, gdy zobaczyliśmy brzegi Zatoki Saronijskiej w pobliżu Koryntu.

Wylądowaliśmy szczęśliwie około przylądka i dalej ruszyliśmy już pieszo, przez dobrze znane Orestowi góry. Po kilku dniach zobaczyliśmy Mykeny, ale nie był to już słynny gród króla królów, Agamemnona, który powiódł kiedyś Achajów pod mury Troi.

Z początku myśleliśmy, że to mgły poranne omotały miasto, ale później zrozumieliśmy, że były to dymy pożarów.

Zeszliśmy na główną drogę wiodącą do grodu, w jej pyle leżały zwłoki. Dużo zwłok. Byli wśród umarłych wojownicy, ale były także kobiety i dzieci. Obaj pozostawiliśmy gdzieś nasze wędrownie worki i obaj nałożyliśmy na głowy hełmy. Orest wziął w dłoń włócznię, a ja ciężki topór Dorów, który ofiarował mi na drogę ojciec. Musieliśmy wyglądać dziwnie w tym wielkim mieście ruin, krocząc wśród ulic osnutych dymem, pełnych umarłych. U Lwiej Bramy mój przyjaciel nagle przystanął i wskazał ręką – dwa lwy strzegące wejścia do świętego grodu króla królów pozabawione były złotych łbów.

Na akropolu zniszczenia były jeszcze większe, ale ciał leżało mniej. Na megaronie spłoszyliśmy stada dzikiego, drapieżnego ptactwa o czerwonych od krwi dziobach i szponach.

Wiedziałem dokąd prowadzi mnie mój przyjaciel.

W sali tronowej było zupełnie pusto. Tu nie bronił się nikt. Zapewne samozwańczy władca uciekł lub został wyciągnięty z pałacu na arkanie. Tylko dym i bezsensowne ślady ciosów w malowidła ścienne mówiły o dramacie, jaki tu się rozegrał. U stóp

tronu, na pokrytym kobiercem podeście, leżał potężny topór Dorów, taki sam jak ten, który trzymałem w dłoni. A więc to oni – ci nie znani, groźni ludzie z północy, którzy jak lawina zalewali całą Achają – byli sprawcami tego zniszczenia i żniwa śmierci.

Orest wstąpił wolno na pokryty kobiercem podest i – zmęczony podróżą wędrowiec – ciężko siadł na zdobnym kamiennym tronie królów mykeńskich.

Pomyślałem wówczas, że moje zobowiązanie zostało spełnione. Pomogłem mu zdobyć Złotą Boginię i odzyskać tron. Tylko że bogini leżała teraz naga, bez złotego pancerza – na brzegu morskim – a tron króla królów stał wśród ruin, zgliszcz i krwi. Zresztą – krew zawsze płynęła tu obficie.

Wychodząc z sali, jeszcze raz odwróciłem się, aby popatrzeć na mego druha. Wciąż siedział tak, jak był usiadł, z głową lekko pochyloną do tyłu, z zamkniętymi oczami, gładząc palcami oparcie tronu. Wyszedłem na podwórze i powoli, omijając trupy, schodziłem w dół. Minąłem groby królewskie, gdzie leżały szczątki Agamemnona i Klitajmestry, i przeszedłem Lwią Bramą. Wtedy obróciłem się i jeszcze raz spojrzałem na umarłe Mykeny...

Od autora

Przyzwyczajiliśmy się trochę idealizować antyk. Grecja starożytna, nawet Grecja archaiczna – cyklopowych murów i barbarzyńskich obyczajów – jawi się nam często w wyobraźni jako kraina piękna i harmonii, gdzie wśród cyprysów i gajów oliwkowych stoją białe świątynie i białe posągi bogów i herosów. Jest to obraz zakłamany – nie był to bowiem kraj piękna i harmonii, nie było w okresie archaicznym smukłych kolumn, białych świątyń ani posągów bogów i bohaterów.

Nadzwyczaj trafnie scharakteryzował ten okres Arnold Hauser w swojej *Społecznej historii sztuki i literatury* (PIW 1974), gdy pisał: «Królowie i możni w archaicznych państwach XII wieku, „bohaterowie”, od których nazwany jest ten okres, są rabusiami i piratami – nazywają siebie dumnie „łupieżcami miast” – ich pieśni są świeckie i nienabożne, a legenda trojańska, korona ich sławy, jest niczym innym, jak poetycką gloryfikacją ich rozbójniczych i pirackich wypraw. Ich światopogląd, niczym nie skrzepowany i pozbawiony pietyzmu dla ludzkich wartości, wynika z nieustającego stanu wojennego, w jakim trwają, z następujących po sobie zwycięstw, które osiągają, i z nagłych zmian warunków kulturowych, jakie przeżywają. Jako zwycięzcy ludu bardziej od nich cywilizowanego i użytkownicy kultury o wiele bardziej zaawansowanej niż ich własna kultura, uniezależniają się od więzów religii swych ojców, lekceważą jednak również nakazy religijne

i prawa ludu zwyciężonego – już choćby dlatego, że udało się go zwyciężyć. Wszystko popycha tych niespokojnych wojowników do niepomowanego indywidualizmu, nie zważającego na żadną tradycję i żadne prawo. Wszystko staje się dla nich przedmiotem sporu i sprawą osobistych przygód, bo wszystko w ich świecie zależy od osobistej siły fizycznej, dzielności, zręczności i przebiegłości...»

Tematem „Skalistego gniazda Taurów” jest korsarski rajd dwóch mitologicznych herosów: Oresta – syna Agamemnona władcy Myken i jego przyjaciela Pylada – syna Strofiosa, władcy Fokidy. Celem rajdu jest Krym, antyczna Tauryda, gdzie istnieć miał złoty posąg Artemidy – cel rozbójniczej wyprawy i gdzie przebywała córka Agamemnona, Ifigenia. Jest to – obok wyprawy Argonautów po złote runo i wędrówki Odysa – najbardziej przygodowy morski epizod piracki okresu archaicznego, który przetrwał w legendzie „bohaterskiej”.

Podstawą tej opowieści jest mit, a w jego realistycznym przedstawieniu pomogła współczesna wiedza historyczna. Nigdy jednak mit i rzeczywistość nie przylegały do siebie ściśle. Tam, gdzie zaistniała pustka, musiała wejść fikcja – i tej nie wolno ocenić ani pod względem zgodności z mitem, ani z historią. Fikcję zakłada już sama forma książki – jest to opowieść Pylada, opowieść prowadzona współcześnie o czasach archaicznych, prowadzona z rezerwą, dystansem, a nawet z lekką ironią traktująca „przeszłość bohaterską”, choć pozostająca na ogół w zgodzie z ówczesnymi zasadami moralnymi. Uniknąłem w ten sposób,

wydaje mi się „sposobu opowiadania o „bohaterskiej Achai” jako o rzeczywistości rozgrywającej się ciągle na scenie i to w dramacie, w którym aktorzy chodzą na teatralnych koturnach i wygłaszają długie, patetyczne zdania, wtrącając co jakiś czas złote myśli. Moi bohaterowie (jeżeli w ogóle można ich mianować bohaterami – chyba tylko umownie) często przypominają bardziej współczesnych komandosów niż rycerzy – jest to zamierzenie celowe, a nie błąd. Używam także współczesnej terminologii morskiej. Jest to bowiem powieść współczesna, nie zaś próba tworzenia apokryfów.

Idealizować antyk zaczęto w czasach starożytności. Wyprawę bandy achajskich „desperados” do Kolchidy, na Troję lub – jak w prezentowanym przypadku – na Taurydę, próbowali upiększyć już autorzy starożytnej Hellady. O wyprawie Oresta i Pylada na Taurydę wspominali w swych dramatach – Ajschylos, Sofokles i Eurypides. W czasach nowożytnych – Racine i Goethe, a Gluck, Cherubini, Jomelli i Scarlatti skomponowali na ten temat opery. Często zapominano, że królowie, o których śpiewał Homer, byli tylko naczelnikami plemion, a bogowie, w których wierzyli – zgrają przekupnych, prymitywnych pyszałków i oszustów, że rzeczą naturalną było dla nich porwanie i zgwałcenie dziewczyny, czy zadawanie okrutnych mąk ludziom usiłującym uszczknąć odrobinę ich czarodziejskich mocy (Prometeusz). Ci bogowie kierowali się nie tyle sprawiedliwością, co sympatią lub antypatią do wodza i jego państwa, można ich było oszukać, namówić i przekupić, nawet podstawiając im w tym celu własną córkę lub syna.

Ile w opowieściach o przygodach Oresta jest prawdy historycznej, ile mitologii, a ile zmyśleń literackich – nie sposób odgadnąć. Wiadomo na przykład, że we wczesnym malarstwie wazowym Orest przedstawiany jest zazwyczaj w towarzystwie Pylada, w obecności Elektry lub w scenie zabójstwa Klitajmestry i Ajgistosa oraz oczyszczenia w Delfach. Dopiero po utworach Eurypidesa (IV wiek p.n.e.) pojawia się temat wyprawy na Taurydę i uwolnienia Ifigenii.

Niewątpliwie na Taurydzie istniała około roku 1200 p.n.e. już jakaś cywilizacja, ale trudno mówić o jej charakterystyce z całą pewnością. Z tego okresu pochodzą między innymi antropomorficzne stele nagrobkowe z Tiritaki (nad cieśniną Kercz, czyli tak zwanym w starożytności Bosforem Kimmeryjskim). Odnaleziono je wmurowane w mur greckiej cytadeli z V wieku p.n.e. Nie mając żadnych wzorów dla zaprezentowania posągu Artemidy z tego okresu, posłużyłem się hipotezą, że był to posąg zrabowany z obszarów kręgu kulturowego Anatolu, jak starożytni Grecy nazywali Azję Mniejszą, lub Mezopotamii i mógł to być wizerunek Isztar, której cechy bóstwa pozwalają wysnuć pewne analogie z kultem Artemidy.

Świątynia Artemidy w Efezie, tak jak nam ją przekazała historia, to dzieje późniejsze, ale jeżeli przyjąć, że Efez jako kolonia jońska założony został w IX w. p.n.e. – jak podają historycy – to w opisywanym okresie mógł tam już istnieć ośrodek kultowy, w którym następowały przemieszania kultów plemion dawnej Grecji i wschodnich, a sam posąg mógł wyobrażać żeńskie bóstwo, które dla jednych mogło uosabiać Isztar, dla innych – Artemidę.

Upadek Ugarit określają historycy na XII wiek p.n.e. Dokonać miały tego ludy morza, które tak bardzo dały się we znaki wybrzeżom całego wschodniego zakątka Morza Śródziemnego. Nie zachował się żaden dokument mówiący o tym, jak wyglądało zdobycie miasta, ale ślady najazdu odnaleziono w ruinach grodu.

Zwiedziłem większość miejsc opisywanych.

Wędrowałem wybrzeżami Zatoki Korynckiej, wśród ruin Akropolu, przechodziłem przez Lwią Bramę w Mykenach i penetrowałem labirynt ruin Ugarit, na brzegach Syrii. Znam brzegi Morza Czarnego i przepływałem Bosfor. Sądzę więc, że chociaż nie stawiałem tej książce zadania wiernego odtworzenia przeszłości tak odległej, bo tego dokonać nie sposób, a jedynie chciałem w niej skomentować współcześnie zmitologizowaną jej część – to jednak postarałem się osadzić całość w bliskich autentykowi realiach.

Inaczej tę myśl wyrażając – zdarzyć się to wszystko miało bardzo dawno, ale równie dobrze mogło zdarzyć się wczoraj, a nawet nie zdarzyć się nigdy.

Krótką informacją o ważniejszych postaciach występujących w książce

Agamemnon – syn Atreusa (stąd epitet Atryda), króla Myken i Argos. Brat Menelaosa. Poślubił Klitajmestrę; dziećmi ich byli: Ifigenia, Elektra, Chrysothemis i Orestes. Agamemnon był naczelnym wodzem greckim w wojnie trojańskiej. Po powrocie ze zwycięskiej wyprawy został zamordowany w swoim zamku w Mykenach przez swą żonę Klitajmestrę i jej kochanka Ajgista.

Ajgistos, Ajgist lub **Egist** – syn Tyestes i córki Tyestes Pelopii, bratanek Atreusa ojca Agamemnona. Mszcząc się za śmierć braci zabił stryja Atreusa. Podczas pobytu Agamemnona pod Troją uwiódł mu żonę Klitajmestrę, a potem przy jej pomocy zabił Agamemnona. W końcu sam został zabity przez Oresta syna Agamemnona i Klitajmestrę.

Aletes – syn Ajgista, mordercy Agamemnona. Po zabójstwie Ajgista przez Oresta zasiadł na tronie Myken. Tron ten odzyskał Orest po powrocie z wyprawy na Taurydę, ale odzyskał w tragicznym okresie, kiedy na Achają rozpoczęły się już najazdy Dorów. Razem z najazdami Dorów mija na tym obszarze okres brązu, a rozpoczyna się okres żelaza.

Amazonki – wojownicze plemię niewiast. Mity o Amazonkach zawiera echa ustroju matriarchalnego. Ojczyznę Amazoнок lokowali pisarze greccy na południowych wybrzeżach Morza Czarnego

oraz na stepach między Krymem a Kaukazem. Mit ten łączono także z Afryką Północną i Środkową Azją. Temat walk z Amazonkami – „Amazonomachia” – występuje często w rzeźbie i malarstwie greckim. Walczyć miał z Amazonkami Herakles, aby zdobyć czarodziejski pas królowej Hipolity i Achilles – z królową Amazonek Pentesileą.

Dioskurowie – synowie Zeusa, zrodzeni – jak chce legenda – z miłości Zeusa do Ledy (którą zdobył wcielając się w łabędzia). Legendy o Dioskurach były popularne nad Morzem Czarnym w okresie antyku, a jak piszą starożytni – Oresta i Pylada na Taurydzie wzięto na początku właśnie za Dioskurów – Kastora i Poluksa (Polydeuksa).

Elektra – siostra Oresta, a córka Agamemnona. Dopomagała Orestowi w dokonaniu aktu zemsty na zamku w Mykenach – podwójnej śmierci: Ajgista i Klitajmestry, jej matki. W mojej powieści ta druga zbrodnia nie zostaje jednak potwierdzona, a oskarżenie o jej dokonanie Oresta i Elektry wydaje się czyjąś intrygą.

Hermione – córka Heleny (Pięknej Heleny) i Menelaosa (Menelaja). Obiecana była Orestowi, ale po oskarżeniu go o zamordowanie matki zgodę na jej zaślubienie uzyskał Neoptolemos – syn Deidamei i Achillesa. Orest zabił jednak, lub polecił zabić, Neoptolemosa, co pozwalało mu zrealizować zamiar małżeństwa z Hermione.

Ifigenia lub **Ifanassa** – siostra Oresta, a córka Agamemnona, którą wyrocznia poleciła Agamemnonowi złożyć w ofierze bogom przed wyprawą na Troję. Artemida miała porwać ją z ołtarza ofiarnego, kładąc w jej miejsce łąnię, a żywą Ifigenię przeniosła na Taurydę jako strażniczkę i kapłankę swej świątyni.

Jazon – królewicz z Jolkos, dowódca wyprawy Achajów na Kolchidę w celu zdobycia złotego runa. W mojej książce wyprawa ta wraca jedynie jako temat pieśni aojda (pieśniarza) Amintora. Kolchida leżała prawdopodobnie u stóp Kaukazu – na wschodnich krańcach Morza Czarnego. O wyprawie Jazona wspomina już Homer. Prawdopodobnie była to piracka ekspedycja, jakie często przeprowadzali Achajowie na bogate miasta nadmorskie. Od nazwy okrętu „Argo” uczestnicy wyprawy nazywani są „Argonautami”. Złote runo – po przywiezieniu przez Jazona – miało zostać złożone w świątyni miasta Orchomenos w Beocji.

Kleant – tu postać fikcyjna, nie związana z przekazem mitologicznym. Prawdą jest jednak, że na miejscu przyszej świątyni w Efezie, poświęconej Artemidzie o cechach wschodniej Wielkiej Macierzy Bogów, istnieć mógł już wówczas jakiś przybytek kultu. Sam Efez założony został ok. IX w. p.n.e., a wielka świątynia Artemidy w Efezie powstała ok. VI w. przed naszą erą. Zniszczył ją w r. 356 Herostrates, aby w ten sposób... uwiecznić w historii swoje imię.

Klitajmestra lub **Klitemnestra** – małżonka Agamemnona, siostra Pięknej Heleny i Dioskurów. Mszcząc się za to, że Agamemnon złożył ich córkę Ifigenię w ofierze Artemidzie (co miało mu zapewnić pomyślność w wyprawie na Troję) zamordowała swego męża po jego powrocie z Troi, przy współudziale swego kochanka Ajgista (Egista).

Orest lub **Orestes** – syn Agamemnona. Po zamordowaniu ojca Orest wychowywał się do pełnoletności na dworze Strofisa, ojca Pylada, a następnie z pomocą siostry Elektry i przyjaciela

Pylada przybył do Myken, aby zabić Ajgista. Przypisuje mu się także zamordowanie matki, co musiał odpokutować tułaczką, a następnie przywiezieniem z Taurydy złotego posągu Artemidy. W zabójstwie Klitajmestry dopatrują się niektórzy historycy symbolu upadku stosunków matriarchalnych w obyczajowo-plemiennej tradycji Achajów.

Pylad lub **Pylades** – był synem Strofiosa, władcy Fokidy, niewielkiej krainy położonej w centralnej Grecji, nad brzegami Zatoki Korynokiej. Na obszarze Fokidy leżały Delfy ze słynną wyrocznią oraz pasmo górskie Parnas. Pylad był przyjacielem Oresta, wychowywanego po śmierci Agamemnona na dworze Strofiosa. Razem z Orestem wybrał się Pylad do Myken, aby pomścić Agamemnona, i razem wyruszył na Taurydę (Krym) po złoty posąg bogini Artemidy.

Saonasz – postać nie związana z mitologią lub historią, ale w brzmieniu odpowiadająca imionom, jakie nosili mieszkańcy Ugarit – jednego z wielkich emporiów handlowych nad Morzem Śródziemnym. Ruiny Ugarit – które zostało zburzone w czasie najazdu ludów morza, odnaleziono stosunkowo niedawno w okolicy miejscowości syryjskiej Tel-Ras-Szamra, na południe od Latakii.

Toas, Troas lub **Throas** – władca plemienia Taurów, zajmujących południową część Taurydy (Krymu). Faktem jest, że Krym był już wówczas zamieszkały, a słynne stele z Tiritaki wskazują nawet na wcześniej istniejącą tu kulturę. Konkretnych śladów kultury materialnej dotyczących tego okresu znaleziono jak dotąd jednak niewiele. Natomiast u Herodota możemy przeczytać, że

przedscytyjskie plemiona Taurów stanowiły postrach dla żeglarzy. Jak po daje Herodot – Taurowie składali na ofiarę dziewiczej bogini rozbitków okrętowych oraz wszystkich pojmanyh Greków.

Spis treści

1. Pokusa Złotej Bogini	5
2. Żegnajcie, brzegi Achai!	26
3. Ku wschodowi słońca	42
4. Purpurowa mgła	56
5. Widma	84
6. Morze Niegościnne	103
7. Amazonki	117
8. Tauryda	133
9. Złota Bogini	152
10. Lwia Brama	170
Od autora	176